

CARPENTER LEONARD  
CONAN  
BOHATER

CONAN THE HERO

Przekład:  
Leszek Krowicki

Data wydania oryginalnego: 1989  
Data wydania polskiego: 1998

Dla Torre i Grupy

I

Świątynia

Jeziorko w dżungli było mroczne i spokojne, ocienione gęstym listowiem. Ledwie dostrzegalna fala zmarszczyła pokrytą zieloną rzęsą powierzchnią wody, by chlupnąć o błotnisty brzeg. Nagle z poplątanej gęstwiny sitowia wyłoniła się twarz ciemna, zniekształcona półmrokiem, w pierwszej chwili mogła przywieść na myśl pysk zaczajonego zwierzęcia. Ale przeczyły temu wrażeniu oczy błękitne jak niebo północy – kolor rzadko widywany tu, w głębinach dżungli.

Niezwykłe, jasne oczy przeszukały brzeg jeziorka, dobrze widoczny w sączącym się przez gałęzie drzew świetle dnia. Nie dostrzegłszy niebezpieczeństwa, nieznajomy wysunął się spomiędzy trzcin. Był to potężnie zbudowany mężczyzna.

O ogorzalej, szerokiej piersi i barczystych ramionach. Brodząc, zanurzony po uda w wodzie, balansował ciałem jak akrobata, stale gotowy do zwinnego skoku. Twarz przybysza pokrywały malowidła w tonacji błotnistej sadzy i czerwono-brunatnej umbrzy. Przepaska na czole przytrzymywała maskujące pęki liści paproci i gałązki, wplątane też w czarną grzywę włosów. Poza tym mężczyzna miał na sobie niewiele: wąską skórzaną przepaskę biodrową i pas, u którego zwisał długi nóż. Miecz przytroczony był do drugiego, biegnącego na ukos przez naga pierś, pasa. Gdyby nie połyskująca stal oręża i brązowe ćwieki pochw, nieznajomy mógłby uchodzić za dzikiego mieszkańca dżungli. Zatrzymał się i długą, podwójnie zakrzywioną klingą jatagana odsunął żółto-zielonego węża wodnego od swoich nagich ud. Potem znów ruszył posuwistym krokiem, a jego muskularne nogi i obute w sandały stopy ociekały błotem i brunatnym szlamem. Wydostawszy się na brzeg pochylił się, by oderwać pijawki od błyszczących wilgocią łydek. Wreszcie wyprostował się i przywołująco skinął mieczem.

Następny mężczyzna, który wysunął się spośród sitowia, nie potrzebował maskującej sadzy, gdyż jego skóra była czarna niczym noc. Równie rosły jak błękitnooki wojownik, miał twarz pomazaną białą gliną, a pierś okryta kolczugą. W dłoni ścisnął jatagan o esowatej klindze. Zapewne ciemnoskóry pokonałby znacznie sprawniej błotnistą głębinę, gdyby jego uwagi nie odciągali brnący w ślad za nim towarzysze.

Było ich pół tuzina. Drobniejszej niż ich przywódca budowy, mieli oliwkową skórę i orle, typowe dla Turańczyków nosy, wyraźnie widoczne pod prymitywnym makijażem. Nosili skomplikowane warianty turańskich uniformów wojskowych – tu spiczasty hełm, tam krótka purpurowa tunika czy kolczuga. Mundury zdobiły dodatkowo liście palm, jasne kwiaty oraz ptasie pióra, mieniące się wszystkimi kolorami tęczy. Miecze wojowników pobrzękiwały często, a przemarszowi przez bagnisko towarzyszył chlupot i stłumione przekleństwa. Te odgłosy powodowały, że czarnoskóry oficer wciąż obracał się, gniewnie sykać, by zachowali ciszę.

Tymczasem niebieskooki zwiadowca wspiał się wyżej na stromy brzeg bajorka. Miejscami musiał pełznąć na kolanach, więc jatagan wsunął do pochwy na

plecach. Z pewnej odległości można było dostrzec jedynie sporadyczny refleks światła na wilgotnej skórze. Czasami zadrżała poruszona gałązka, czy zawirowała spiralnie w powietrzu przerażona ćma. Nie dawało się zauważyć obecności żadnych większych zwierząt. W dżungli panowała pełna napięcia cisza.

Droga okazała się niełatwa. Wiodła przez zwarty gąszcz ociekającego wilgocią listowia, pod luźno zwisającymi pędami pnączy o zawierających truciznę kolcach. Nad pełznącym człowiekiem unosił się rój krwiożerczych much i komarów, który uniemożliwiał choćby najkrótszy odpoczynek.

W pobliżu szczytu górującego nad jeziorkiem wzniesienia, gęstwina nagle się kończyła. Zwiadowca mocniej wparł dłonie w pokrytą ściółką ziemię, by podciągnąć się i spojrzeć nad krawędzią zbocza. Wtem z tłumionym przekleństwem, gwałtownie cofnął ręce i odtoczył się na bok. Zerkając z ukosa w zielony półmrok, wpatrywał się w to, czego przed chwilą dotknął. Wyrzeźbiona w kamieniu mała szczyrzyła do niego kły. Jej okrągłą głowę pokrywało futro z wilgotnego mchu.

- Wszystko w porządku Conanie? - dobiegł go szept z oddalonego o kilka długości człowieka miejsca na stoku, gdzie przykucnął czarnoskóry wojownik.

- W porządku, Jumo - normalnym tonem odpowiedział zwiadowca, unosząc rękę, by uciszyć pomruki zaniepokojonych mężczyzn. - Nic się nie stało.

- To dobrze. Ale niech to szlag trafi, Conanie! - głos czarnoskórego oficera był cichy, chociaż przenikliwy. - Podczas następnego patrolują będę zwiadowcą, a ty zajmiesz się tymi niezdyscyplinowanymi ciołkami!

Szczerząc zęby w uśmiechu, Conan skinął głową i ponownie odwrócił się ku odrażającej rzeźbie. Przyjrzawszy się uważnie uznał, że jest ona częścią ogrodzenia lub wolno stojącym posągiem, który zdobył ongiś posiadłość z biegiem stuleci pogrzebaną przez dżunglę. Oznaczało to, że znaleźli się blisko celu. Chwyciwszy ponownie za omszały czerep, mężczyzna ostrożnie wysunął głowę ponad porośniętym krzakami grzbietem kamiennego monstrum.

Budowla, którą ujrzał była zbyt wielka, by nawet najbardziej żarłoczna dżungla zdołała ją całkowicie pochłoniąć. Wyciosana w litej skale, potężna świątynia zwężała się cebulasto od szerokiej, jakby obrzmiałej podstawy do smukłego, wysoko wznoszącego się wierzchołka. Conan mógł dojrzeć spiczasta, błyszcząca iglicę, przebijającą się ku niebu przez gęste korony drzew. Każdy łokiec powierzchni ścian zdobiły misterne płaskorzeźby. Pokrywały one szerokie krużgankowe galerie, zwieszające się nad skłębionymi krzewami, wśród których ukrywał się Conan. Delikatne fryzy biegły pasmami wokół budowli aż po sam odległy wierzchołek.

Tematyka rzeźb była trudna do rozpoznania nawet z tak niewielkiej odległości. Naturalnej wielkości ludzkie postaci zdawały się toczyć gwałtowną walkę. Niektóre ciała natomiast leżały splecione w zmysłowych pozach. Sceny te, jak domyślał się Conan, ilustrowały historie królów i człekokształtnych bogów. Wszędzie jednak wdzierały się i przesłaniały je żarłoczne, zielone macki pnączy. Miejscami trudno było rozpoznać zarysy ludzkich ciał pośród skrętów i wybrzuszeń oplatających je korzeni i łodyg.

Jednakże świątynia wciąż nadawała się do zamieszkania... i była zamieszka, co od razu rzucało się w oczy. Nieco z boku pięły się ku górze kręte, porośnięte chwastami schody. Wśród filarów pograżonego w cieniu tarasu, do którego prowadziły, Conan spostrzegł jakiś błysk. Z pewnością odbłask słonecznego światła na wypolerowanym metalu klingi. Wytężywszy wzrok, dojrzał niewyraźny blady owal twarzy. Jakby dla potwierdzenia tego wrażenia, w wyczulone nozdrza zwiadowcy uderzyła delikatna woń kadzidła. Bez wątpienia napływała od strony świątyni.

Do Jurny i Turańczyków, którzy wczołgali się na górę w ślad za oficerem, Conan gestykulując przemówił szeptem. Mieli przedostać się do stóp schodów i zaczekać z rozpoczęciem ataku na jego sygnał. Sam, wijąc się jak wąż, popełznął w dół, ukryty wśród traw i zarośli porastających stok.

Przez długi czas posuwał się niepostrzeżenie i szybko. Gdzieniegdzie jedynie zadrżała gałązka czy pogłębił się zielony cień. Wtem wychynał z gąszczu u stóp świątyni i żwawo zaczął wspinać się po kamiennej ścianie. Z początku wspinalczka wyglądała łatwo. Masywna bryła zwężała się stopniowo ku górze, a rzeźbione ornamenty dawały wiele dogodnych punktów zaczepienia dla rąk i nóg. Wkrótce jednak bulwiasty kształt budowli zaczął się rozszerzać. Mimo płaskorzeźb i pnączy, wybrzuszona fasada świątyni przez większość ludzi uznana zostałaby z pewnością za niemożliwą do zdobycia, szczególnie bez pomocy liny i w całkowitej

ciszy.

Lecz Conan, zatrzymawszy się na chwilę w załomie muru, przytroczył sandały do pasa i bez obawy zaatakował występ ściany. Wspinał się jak małpa, wczepiając nagimi palcami rąk i nóg w rzeźbione fryzy i sieć pnączy. Gdy tak podciągał się w górę, ręka za ręką, nogi często nie znajdowały żadnego oparcia. Giętkie ciało przywierало do kamiennych kształtów, zarówno tych świętych, jak i frywolnych. Wyglądało niemal jakby wspinający się mężczyzna brał udział w morderczych i orgiastycznych zmaganiach, jakby był jeszcze jednym herosem lub bożkiem, wyrzeźbionym z bledszego kamienia.

Po dłuższej chwili dotarł wreszcie do balustrady galerii na najszerszym poziomie świątyni. Objął obydwoma rękami kamienną tralkę i płytko dyszał. Głębsze westchnienie mogło zdradzić jego obecność. Znajdował się zaledwie kilka kroków od szczytu schodów. Tylko szeroki, pokryty ornamentami filar dzielił go od stanowiska strażnika.

Conan ostrożnie zerknął przez szczeliny między szerokimi tralkami balustrady. Potem ostrożnie wysunął głowę ponad jej brzeg. Z tej odległości półmrok wnętrza z łatwością dawał się przeniknąć wzrokiem. Nikogo nie było widać. Bogato zdobione przejście zaśmiewały kawałki skał i zeschnięte szczątki roślin. Conan wyprostował się, lecz nagle, na dźwięk niespokojnego szurania stóp, musiał znowu przykucnąć. Nikt się jednak nie pojawił. Widocznie samotny strażnik spacerował tam i z powrotem u szczytu schodów. Błękitnooki zwiadowca przechylił się przez balustradę i oparł o nią brzuchem.

Stopniowo przesuwając się wokół spiralnie żłobionego rzeźbienia filaru, dostrzegł ramię - nagie i muskularne, owinięte powyżej łokcia kolorowymi sznurkami. Takich ozdób używało dzikie plemię Hwong. Spiżowy kordelas strażnika zatknięty był za pas, dłonie spoczywały na balustradzie. Mężczyzna obserwował dżunglę.

Głęboko, bezgłośnie wciągnawszy powietrze, Conan przesunął się bliżej. Rozluźnił mięśnie ramion i zacisnął w dłoni nóż. Miał zamiar przytrzymać od tyłu twarz wartownika i poderżnąć mu gardło. Nagle jednak poczuł więź z tym prostym żołnierzem, obrócił więc nóż w dłoni i trzasnął mężczyznę w ciemną srebrną rękonożką. Wolną ręką chwycił osuwające się ciało i bezgłośnie opuścił je na ziemię.

W tym momencie za plecami zwiadowcy rozległ się krzyk, po którym nastąpił przenikliwy potok słów w mowie Hwong. Conan odwrócił się błyskawicznie i dostrzegł w wewnętrznym przejściu drugiego strażnika. Wywijał on pałką o ząbkowanych krawędziach z twardego drewna. Nie mając czasu na dobyte miecza, przybysz z Północy uniósł sztylet, by odparować uderzenie. Cios pałki został odbity, lecz jego siła wykręciła nóż z dłoni Conana i zdarła naskórek z kłykci zaciśniętych pięści.

Zanim napastnik zdołał oprzytomnieć, Conan rzucił się na niego gołymi rękami. Chwyciwszy za gardło i krocze, uniósł mężczyznę w górę i cisnął nim nad balustradą, głową do przodu. Gniewny, alarmujący krzyk Hwonga przeszedł w ciche westchnienie, gdy ciało mężczyzny uderzyło o kamienne przedmurze.

Przeklinając w duchu hałas i rwący ból w kłykciach, Conan odszukał swój nóż i wetknął go za pas. Dobywszy jatagana z pochwy na plecach, stanął na schodach i uniósł kindżał nad głową w milczącym wezwaniu. Turańczycy byli już w połowie drogi, wspinając się na wyścigi po wytartych, wąskich stopniach. Jurna poganiał ich, wymachując mieczem. Conan obrócił się w stronę wewnętrznego, biegnącego w dół przejścia. Kolejni obrońcy nie pojawiali się, ale z niższych kondygnacji dobiegały przerażone głosy. Przez moment u wylotu korytarza mignęła jakaś twarz, która szybko skryła się w cieniu. Conan omiótł wzrokiem przedsiónek świątyni. Odległa część krużganka i wznoszące się dalej porośnięte zieliskiem rampy wyglądały na z dawna opuszczone. Nie warto było się nimi zajmować. Aromatyczny dym wydobywał się z dołu, więc gdy tylko wojownicy pod wodzą Jurny dostali się na taras, Conan rzucił się do biegnącego w dół korytarza.

Przeskakiwał po cztery, pięć małych stopni. W myślach przeklinał ciasnotę korytarza, niepozornego w porównaniu z olbrzymimi rozmiarami budowli. Wąskie przejście pozwalało tylko pierwszemu z wojowników na stawienie czoła wrogowi, a nawet wtedy nie starczało miejsca, by żądał cios mieczem. Co gorsza, w miarę gdy Conan schodził w dół, własnymi barami przesłaniał dopływ światła. Tłoczona się za nim, gromada mężczyzn, szybko zatarasowała wyjście. Zmuszony do zwolnienia kroku, błękitnooki zwiadowca po omacku badał klingą miecza mrok przed sobą.

Starając się przebić wzrokiem ciemności, znalazł się u podstawy schodów, w korytarzu o kształcie litery T. I tam właśnie nastąpił atak. Niewidoczna pałka trafiła w wyciągnięty miecz przybysza z Północy, gdy równocześnie napastnik przycajony w drugim z ramion rozwidlenia, usiłował pchnąć wroga krótką dzidą. Dojrawszy błysk ostrego jak brzytwa grotu, Conan szarpnął się do tyłu, desperacko zaciskając dłonie na rękojeści jatagana. Jednym ciosem ciał groźne spiżowe ostrze tak gładko, jakby odrąbywał łeb atakującego węża. Potem, ubezpieczony przez posuwających się za nim wojowników, skoczył w głąb przejścia, by zmierzyć się z pałkarzem.

Skry poszły z kamiennych ścian, gdy Conan natarł na ledwie widocznego w mroku wroga. Metal dźwięczał przenikliwie. Przeciwnik zaczynał słabnąć. Wreszcie brzeszczot uwiązał w głęboko ponacinanym brzegu pałki. Jeden jej skręt wyrwał jatagan z dłoni zwiadowcy. Krajowiec rzucił się naprzód, desperacko próbując schwycić broń wroga, ale wówczas nóż Conana zagłębił się w boku mężczyzny aż po rękojeść.

Hwong osunął się z jękiem. Conan dobił go szybkim ciosem miecza. W mroku nie czaił się już żaden wróg. Z tupotu nóg zwiadowca zgadywał, że jego towarzysze przebijali się w przeciwnym kierunku. Przekroczył zwłoki i ruszył przed siebie. Odblask żółtawego światła zaznaczał wlot znajdującego się przed nim zakrzywionego przejścia.

Z kilkoma zaledwie Turańczykami dyszącymi ciężko za jego plecami Conan dobrnął do końca korytarza, który otwierał się na ciemną, nisko sklepioną izbę. Pośrodku na posadzce płonęło ognisko. Jego blask wydobywał z mroku kształty starożytnych bóstw, kamienne kolumny i postaci ludzkie. Z oddalonego końca izby dochodziły krzyki i szcęk oręża. Dwóch włóczników usiłowało powstrzymać atakujących Turańczyków, tłoczących się w drzwiach, ale wejście, którym przedostał się Conan i jego kompani nie było strzeżone. Za nim młodzieńki Hwong zdążył okrążyć ognisko, by stawić wrogom czoło, został zaatakowany przez Turańczyków, co dało Conanowi czas na rozejrzenie się po mrocznym wnętrzu.

W blasku ognia zwiadowca dostrzegł pochyloną postać w sztywnej, błyszczącej szacie. Peleryna z piór i migocące ozdoby wskazywały na godność szamana. W zaciśniętej dłoni czarownik unosił długi drag, uwieńczony wysadzana klejnotami czaszką. Z tej odległości Conan nie potrafił powiedzieć, czy czaszka ta była prawdziwa, czy odlana z jasnego metalu. Szaman, pochłonięty mamrotaniem i ciskaniem ziół do ognia, uniósł na moment głowę i w padającym od ogniska świetle Conan ujrzał wysuszoną, pomarszczoną twarz. Po chwili starzec spokojnie, jakby nie dotyczyło go najście uzbrojonych wrogów, powrócił do swoich modłów.

W pobliżu ogniska stała wyprostowana inna jeszcze, choć równie niezwykła, postać – smukła kobieta, poza kilkoma niewielkimi ozdobami na szyi całkowicie naga i o oczach w kształcie migdału i złocisto-brązowej skórze. Ta złocista karnacja szczególnie pociągała Conana w kobietach Południa. Oświetlone blaskiem ogniska, ciało dziewczyny drżało jak żółty płomień. Dwóch wojowników Hwong trzymało ją pod ramiona tak blisko żaru, że skóra błyszczała od potu. Wyraz ciemnych oczu i zaciśnięte wargi nieznanym świadczyły o rozpaczy i rezygnacji.

Conan nie wiedział, czy to ogień budził taki lęk kobiety, ale ognisko wyglądało nader dziwnie. Płomienie buchały do wysokości kolan. Tam gdzie powinny być ułożone polana stosu, falowały leniwie opary dymu. Być może ogień pochodził z rozsiewanego przez starego kapłana połyskliwego proszku, lub z ziaren drażniącego nos kadzidła, którego ostra woń wypełniała komnatę. Płomienie miały dziwnie jasną i zmienną barwę. Czasami zdawały się przybierać kształty organiczne, przypominały rozwijające się i zamykające drapieżne morskie kwiaty, rozkołysane prądami oceanu.

Podczas kilku uderzeń serca, których Conan potrzebował na objęcie wzrokiem tej sceny, Turańczycy uderzyli z dwu stron równocześnie. Gdy siekli wrogów bezlitosnymi ciosami, Conan ruszył ku uwięzionej kobiecie. Tymczasem Jurna, rycząc obrzydliwe przekleństwa w języku kush, przedarł się przez arkadę na drugim końcu izby. Stawiających mu opór strażników odrzucił na bok jak ogryzione kości.

Wojownicy trzymający nagą kobietę cofnęli się w obliczu furii Jurny. Jeden z nich dobył zza pasa długi nóż o wąskim ostrzu. Raz i drugi zadźwięczał jatagan Conana, aż potężne cięcie otworzyło gardło przeciwnika i cisnęło go w ogień. W międzyczasie drugi ze strażników zaczął wlec swą brankę w stronę ciemnego krańca izby. Gdy Conan ruszył za nim, pchnął kobietę, aż upadła na

posadzkę i rzucił się do ucieczki. Chwyciwszy nieszczęsną pod ramię, Conan postawił ją na nogi. Jedno spojrzenie upewniło go, że jej szczupłe ciało nie odniosło ran. Dziewczyna zacisnęła wilgotne od potu palce na dłoni wybawcy, a on obrócił się w stronę, skąd dobiegała kakofonia wrzasków.

Tymczasem szaman wycofał się od ogniska. Udało mu się pokonać dwóch Turańczyków, którzy towarzyszyli Conanowi. Jeden z wojowników porzuciwszy broń, miotał się, wyjąc z bólu. Plamy kolorowych płomieni pełzały po jego tunice, a nawet po nagim ciele. Drugi Turańczyk tarzał się z wrzaskiem po posadzce, próbując ugasić ubranie, z którego wydobywały się kłęby dymu. Tymczasem sprawca tych niezwykłych efektów żwawo uciekał, wlokąc za sobą zakończony czaszką drag. Odwrót maga ubezpieczał jeden z ocalałych strażników. Szlak ucieczki znaczyły płonące iskierki ognistego pyłu, który wciąż sypał się spomiędzy palców pomarszczonej dłoni.

- Za nim! To Mojurna! Dalej, turańskie psy, zabić go! - Jurna krzykiem usiłował zmusić żołnierzy do pościgu, ale oni się ociągali. Niektórzy ścierali się jeszcze z rannymi, lecz nie składającymi broni wojownikami Hwong, inni próbowali pomóc swym towarzyszom gasić kasające ich płomienie.

Conan chciał rzucić się za uciekającym czarownikiem, ale powstrzymała go zaciśnięta kurczowo na jego ramieniu dłoń branki. Nie chcąc wlec ze sobą nagiej, bezbronnej kobiety, próbował się od niej uwolnić.

- Na święte piersi Astoreth, kobieto - ryknął w końcu. - Daj mi ukarać twych przesładowców!

Kiedy wreszcie strząsnął z siebie ręce dziewczyny, zauważył jej puste spojrzenie. Nie był w stanie pojąć, czy przywarła do niego w obawie o siebie, o swego wybawcę, czy też próbowała chronić czarownika. Nie zastanawiając się nad tym dłużej, Conan rzucił się za Jurną, któremu towarzyszyło niechętnie kilku turańskich żołnierzy. Ruszyli poznaczonym płomieniami tropem Mój urny.

Pościg był krótki. Kiedy zbliżyli się dostatecznie blisko, ujrzeli jak szaman znika za zakurczonym ołtarzem i olbrzymim posągami lwiołowego wojownika, w głębokiej szczelinie na tyłach krużganka. Jurna zgiał się niemal w pół, by wcisnąć się za starcem do szczeliny. Nagle nad jego głową rozległ się głośny zgrzyt. Wódz Turańczyków cofnął się błyskawicznie. Zaraz potem na wejście opadła z hukiem masywna płyta, krzesząc iskry z kamiennego nadproża. Ukryte drzwi, nie wiedzieć, czy za pomocą jakiegoś mechanizmu, czy na skutek czarów, skutecznie zamknęły tajemne przejście.

- Na Otumbe i Ijo! - zaklął siarczyście Jurna, kopiąc z wściekłością zdobioną płaszczyznę płyty i próbując jej twardości swym mieczem. - Staruch uciekł! Jestem pewien, że to był Mojurna, ów zbuntowany wódz, którego szukaliśmy, Conanie! - Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na oświetlony przyćmionym blaskiem ogniska kamień, wrzucił ramionami i zwrócił się do żołnierzy.

- Chodźmy, może zdołamy złapać jego trop w lesie.

- Racja - Conan poparł przyjaciela. - W każdym razie tu nie mamy na co czekać. Jeśli czarownik potrafi poruszyć swą mocą kamienną płytę, może również spróbować uwięzić nas w tej komnacie.

Obejrzał się ku nagiej kobiecie. Czekwała tam, gdzie ją zostawił. Conan ujawszy ją za rękę, ruszył do wyjścia. Przechodząc koło turańskich żołnierzy, dziewczyna nie okazywała żadnych oznak zawstydzenia. Mężczyźni gapili się na nią pożądliwie. Nawet ranni przestali jęczeć, gdy się zbliżała. Ale ona nie reagowała na spojrzenia i grubiańskie uwagi.

W pobliżu dogasającego paleniska Conan zatrzymał się, by popatrzeć na szczątki mężczyzny, którego w ferworze walki wepchnął do ognia. Zwiadowcę zdumiało, że tak niewielkie płomienie w równie krótkim czasie mogły strawić ciało. Po wrogu pozostało jedynie kilka zmatowiałych metalowych zapinek oraz kupka nie dopalonych kości, wśród wciąż jeszcze pobłyskujących popiołów.

- Na Croma, niebezpieczne czary! - wymamrotał Conan, pochylając się nad zwęglonymi szczątkami.

- Nie, nie na Croma. To nasza starożytna bogini, Sigtona - odezwała się nagle kobieta w śpiewnie brzmiącej mowie turańczyków. - Taka jest moc Jaśniejącego. - Potrząsnęła głową; odwróciła oczy od dymiących resztek i dodała:

- Ciesz się, że to nie ja zostałam rzucona na żer bogini.

- Z drogi! Idę w sprawach imperatora!

Zakasawszy poły łopoczącego nieprzystojnie kaftana, akolita Azhar spieszył wykładanym kafelkami korytarzem. Przepchnął się przez tłum eunuchów o nagich torsach i wygolonych głowach. Minał, niosące dzbany z wodą i ręczniki, spowite w jedwabie niewolnice. Powtarzany donośnym głosem okrzyk torował młodzieńcowi drogę, choć trudno było uniknąć nieustannego ocierania się o błyszczące od oliwy ciała. Widok akolity wywoływał na twarzach mijanych dworaków ironiczne uśmieški. Zadzierający nosa młody człowiek nie był nawet niewolnikiem potężnego monarchy, a zaledwie sługą czarnoksiężników.

Azhar skręcił za róg i znalazł się na długim, osłoniętym dachem balkonie, poznaczonym jasnymi smugami słonecznego światła, które przenikało przez misternie rzeźbioną kamienną balustradę. Sandały młodzieńca stukwały po wzorzystej, mozaikowej posadzce. Przed jego oczyma rozciągała się panorama Aghrapuru, stolicy Turanu, ujęta w ramy smukłych, podtrzymujących łukowate arkady kolumn. Wyżłocony południowym słońcem chaos dachów i skrzących się kopuł rozciągał się aż po horyzont. Nad miastem unosiła się dymna czerwono-brązowa mgiełka, rodząca się w dziesięciu tysiącach pieców i palenisk.

Azhar wiedział, że gdyby nie owe opary, zapierający dech w piersiach widok z balkonu sięgałby odległych równin i gór. A w poczuciu lojalności dopowiadał sobie, że pan tego pałacu, najjaśniejszy imperator Yildiz z Turanu, panował nad obszarem większym niż można było objąć wzrokiem z najwyższego szczytu górskiego, nawet przy najlepszej widoczności.

Arkady prowadziły do przykrytego kopułą masywu centralnego pałacu. Azhar ponownie zanurzył się w chłodnym cieniu i skręcił w korytarz, prowadzący do apartamentów imperatora. W końcu zatrzymał się zdyszany przed dwuskrzydłowymi, złoconymi drzwiami. Drogę zatarasowało mu dwóch czerwono odzianych gwardzistów cesarskich. Ich obosieczne topory skrzyżowały się na wysokości piersi przybysza.

- Przepuście mnie! - wydyszał Azhar. - Przynoszę Jego Światłości wieści z Dworu Proroków. Chcę mówić z imperatorem Yildizem...

- Dość! - Poznaczona szramami twarz strażnika pozostała kamienna. - Zejdź niżej, do sali ogólnej, i złóż prośbę u eunucha, Dashibt Beya. Jeśli twoja sprawa jest istotna, zostaniesz przyjęty na audiencji.

- Ależ panie... Chciałem powiedzieć, żołnierzu! Ibn Uluthan, najdostojniejszy mag, powiedział mi...

Zdyszany, zmieszany akolita czuł się coraz bardziej niepewnie. Nagle coś sobie przypomniał. Sięgnął w zanadrze kaftana i czegoś w zdenerwowaniu szukał. Strażnik stał przed nim nieporuszony, widać nie obawiając się, iż tak wątły młodzieniec mógłby wydobyć zniemacka broń.

Tymczasem przybysz spod bogato zdobionego okrycia wydobył ciężki amulet, błyszczącą złotą bryłkę na pętli z jedwabnego sznureczka. Zamachał nią w powietrzu, by strażnik zdołał się przyjrzeć.

- Muszla w kształcie rogu... symbol Proroków Khitaju. - Dowódca warty popatrzył chłodno na Azhara. Potem zwrócił wzrok na swego towarzysza, który skinął ze zrozumieniem głową. Bractwo miało wstęp wszędzie, nawet przed oblicze imperatora.

Bez zbędnych słów oficer cofnął topór. Zawiesiwszy jego ciężki obuch na uchwycie u pasa, odwrócił się, by otworzyć ozdobne drzwi. Uchylił jedno skrzydło i ruszył szybkim krokiem, z Azharem deptającym mu po piętach. Drugi ze strażników zamknął za nimi drzwi.

Azhar, próbując nadażyć za ciężkimi stąpnięciami gwardzisty, ledwie ośmielał się rozejrzeć, by podziwiać otaczający go przepych królewskich apartamentów. Olśniewająca tęcza kobierców i poduszek pokrywała szachownicę posadzki. Ich delikatna miękkość kontrastowała z masywnymi kolumnami z różnokolorowego marmuru i ciężkimi stołami, inkrustowanymi złotem i onyksem. Tu i tam pośród tych wspaniałych komnat czekali lokaje - milcząco i nieruchomo - o twarzach pozbawionych nawet śladu zuchwalstwa typowego dla niewolników pałacowych. A to, mówił sobie w duchu Azhar, czując dreszcz strachu, był zaledwie przedsiónek apartamentów Wielkiego.

Gwardzista zatrzymał się, by zamienić kilka cichych słów z brodatym niewolnikiem, którego wspaniałały turban świadczył o wysokiej randze. Potem poprowadził Azhara przez jedne z wykończonych łukiem drzwi do wysoko sklepionej komnaty wyglądającej jak sala balowa. Jednakże podłoga opadała ku środkowi szerokimi stopniami, przypominając stadion czy amfiteatr.

Na najwyższym poziomie tego amfiteatru, wyłożonym kosztownymi

jedwabiami, spoczywali eunuchowie i urzędnicy dworscy. Po drugiej stronie, na wyściełanej sofie zasiadał sam Świetlisty. Wachlowało go dwóch klęczących u jego stóp niewolników. Azhar stwierdził jednak, że nie jest w stanie marnować oczu na ten boski majestat, tak wyjątkowej natury widowisko rozgrywało się w płytkim zagłębieniu pośrodku komnaty.

Dwie kobiety, młode i zgrabne, toczyły dziwny pojedynek za pomocą pary szerokich szczyptec i tępych haków. Obie zawodniczki były bose. Za cały strój służyły im luźne koszule i pantalone z cienkiej, przypominającej pajęczynę, tkaniny, teraz już mocno podartej. Najwyraźniej każda z nich próbowała zderzyć odzież z przeciwniczki.

Akolita patrzył zdumionym wzrokiem. Kruczowłosa dziewczyna właśnie oddarła kleszczami pas materiału, obnażając spory fragment kształtnego uda swej rudej rywalki. Ale tamta szybko odpłaciła pięknym za nadobne i rozszarpała hakiem koszulę przeciwniczki. Po tym sukcesie przez krąg obserwatorów przebiegły stonowane, kulturalne oklaski.

Walka niespodziewanie została wstrzymana. Azhar, podążając za pytającymi spojrzeniami widzów i zawodniczek, wlepił wzrok w imperatora. Władca strzelił palcami, przyzywając strażnika. Obie kobiety posłusznie opuściły arenę i przysiadły na najniższym stopniu.

Imperator Yildiz Świetlisty, którego akolita nigdy dotąd nie miał przywileju oglądać z tak bliska, był niskim, pulchnym mężczyzną o oliwkowej cerze. Azhar bezskutecznie próbował doszukać się w nim jakichkolwiek oznak cesarskiego dostojenia. Bez wątpienia jedwabna szata i spiczaste pantofle kosztowały majątek, a paznokcie i fryzura zostały najstaranniej przycięte. Lecz rysy oliwkowej twarzy i postawa monarchy nosiły piętno mdłej pospolitości, jakże różnej od wyobrażeń Azhara o królewskim majestacie.

- Z czym przybywasz? - Imperator przeniósł spojrzenie małych, ciemnych, znudzonych oczu z klęczących strażników na speszonego akolitę. - Jakież wieści przesyła mi dziś Dwór Proroków? Czarnoksiężskie ostrzeżenie o jakiejś nowej klęsce w kampanii południowej? Czy tylko jeszcze jedną niezrozumiałą interpretację mego horoskopu? - Yildiz beznamietnie wpatrywał się w oblicze Azhara.

- O, Wasza Światłości! - Oszołomiony strachem i wstydem za swe bluźniercze myśli, a jednocześnie uspokojony łagodnym głosem wielkiego władcy, akolita zachwiał się jak trzcina na wietrze i osunął na podłogę, uderzając czołem przed imperatorem. - Wielki Panie, wybacz to wzruszenie! - Palce młodzieńca z czią dotykały zadartych czubów naszywanych rubinami cesarskich pantofli. - Moi uczeni panowie kazali mi przekazać wieść o wydarzeniu z dzisiejszego ranka... Nie ośmieliłbym się niepokoić cię, Panie... - Jego głos zadrżał i ścichł, ostatni dreszcz strachu wstrząsnął zgarbionymi ramionami.

- Tak, tak, wiem. Ale co to za wieść? Możesz wstać. - Yildiz w zniecierpliwieniu skinał w stronę asystującej straży. - Pomóżcie mu!

- O, Wasza Światłości! - Usiłując pokonać niemoc kończyn słabiutkim głosem odezwał się Azhar. Czuł, że silne dłonie dźwigają go z posadzki. - Mój pan, Ibn Uluthan, widział przez Kryształowe Okno militarne wydarzenie, związane z Waszym Majestatem. - Czuł, że dusi go ciasny kołnierz kaftana. Wciąż nie ośmielał się spojrzeć w oczy Wielkiego. - Imperatorze, powiedzieli mi, bym poprosił... Błagają o twą boską obecność, o Panie całego Turanu!

- Czy to wszystko? - Yildiz energicznie wstał. - Może, z woli Tarima, uczynili chociaż jakieś postępy! Jeśli tak, chętnie to zobaczę. - Złotowłosy służący poderwał się spod ściany, by na głowie imperatora umieścić masywny, wysadzany klejnotami turban, który znacznie dodawał władcy wzrostu i majestatu. Imperator strzelił palcami na Azhara i oficera straży. - Chodźcie. Pójdziemy wewnętrznym przejściem. A tymczasem niech walka toczy się dalej, dla uciechy moich gości.

Gdy zawodniczki w poszarpanych szatach powstały, by znowu się ze sobą zmierzyć, Yildiz wyprowadził Azhara z komnaty. Szereg coraz węższych arkad i podwójnie strzeżonych drzwi doprowadził ich w końcu do długiej, pozbawionej okien sieni. Oświetlały ją lampki oliwne, zwieszające się z sufitu w miejscach skrzyżowania korytarzy. Azhar wiedział o istnieniu tajnego przejścia, zarezerwowanego do prywatnego użytku imperatora, ale nie miał pojęcia o jego rozległości. Zdawało się ono biec przez całą długość olbrzymiego pałacu, ze schodami i odgałęzzeniami docierającymi do najodleglejszych skrzydeł budynku.

Zdjąwszy z haka lampę, towarzyszący władcy gwardzista powiódł ich po

długich, spiralnych schodach aż pod okute mosiądzem drzwi. Tu Yildiz wydobył z zanadru wielozębną kluczyk, który wsunął do ukrytej szczeliny. Z cichym szczeniściem drzwi otworzyły się na rozległe atrium Dworu Proroków.

Weszli do wysokiej, nakrytej kopułą komnaty. Cisza, niezbędna wiekowym mędrcom do ich medytacji, aż dźwięczała w uszach. Kąty ośmiobocznego pomieszczenia zastawione były półkami z zakurzonymi fetyszami i zwojami pergaminu, dobrze schowanymi przed światłem. Ale środową część komnaty rozświetlały promienie słońca, wpadające przez oszkloną kopułę. Zainstalowana pod nią drewniana antresola służyła do obserwacji gwiazd.

Do komnaty wiodło kilka wykończonych łukiem wejść, lecz było tu tylko jedno okno. Wpatrywało się w nie dwóch mężczyzn - stary czarnoksiężnik i oficer, który z szacunkiem obrócił się ku przybyszom. Kiedy Yildiz z wystraszonego Azharem u boku wkroczył do komnaty, obydwaj mężczyźni zamarli w głębokim pokłonie.

- Witaj, o Pełen Łaski! - Ibn Uluthan był wysokim mężczyzną, odzianym w ciemny, z kapturem odrzuconym na plecy, burnus radcy dworu. Nad czołem kłębiła się burza siwych włosów. - Prosimy cię o przybycie, Panie mój, z powodu ważnych spraw rysujących się na horyzoncie. Teraz Wasza Wysokość może docenić działanie naszych zaklęć.

- Zaprawdę, o Imperatorze. Uluthan i jego magowie tym razem nas nie zwodzą. Wszystko tu widać. - Ubrany na czarno oficer, generał Abolhassan, przytaknął i zazdrośnie zerknął na czarnoksiężnika, a jego mocne, żółte zęby zabłysnęły w fałszywym uśmiechu pod ciemnymi wąsami. - Wygląda na to, że wreszcie mamy wiadomości z południowej kampanii. - Gdy obrócił się do jasnego okna, wojskowe odznaki zamigotały na czarnym kopcu turbanu.

Prostokąt okna był dobrze widoczny, gdyż świecił błękitno-zielonym blaskiem, odmiennym od bladych promieni słonecznych, wpadających przez szklaną kopułę. Zafascynowani przybysze podeszli bliżej. Widok, jaki ujrzeli, był jeszcze bardziej zaskakujący. Zamiast zadymionego miejskiego krajobrazu, który Azhar uprzednio widział z tarasu, rozciągała się przed ich oczami dżungla pod parnym tropikalnym niebem, gdzie wśród gęstwiny roślinności majaczyły kopce i szczyty starożytnych ruin, a małe ludzkie postacie kręciły się wokół.

Aczkolwiek cesarski pałac był ogromny, nie wydawało się możliwe, by taka przestrzeń mogła pomieścić się w jego murach. Nawet gwardzista o nieporuszonej twarzy, przeklęwszy w myślach, stwierdził, że jest świadkiem niesamowitych czarów. Okno samo w sobie było jedynie solidną, wykładaną czarnymi kafelkami framugą, w której osadzono szybę z zadziwiająco gładkiego kryształu. Niemniej rozciągał się z niego widok nie na dziedziniec czy ogród, ale na obce miejsca, bardzo odległe od rojnej stolicy.

- Faktycznie, fascynujące! Dobra robota, Ibn Uluthanie. - Imperator, przysuwając się bliżej framugi, skinął głową uśmiechniętemu czarnoksiężnikowi. - Poprzednio ledwie zwróciłem uwagę na moc tych czarów. Ale też nigdy nie było to nic tak zadawalającego jak to! - Wskazał w dół, na ludzkie postaci widoczne w głębinach dżungli. - Nieprzebyta dżungla Venjipuru! A to, jak mniemam, są nasze oddziały przeprowadzające operację wojskową?

Promieniejący z dumy Ibn Uluthan przytaknął. - Tak, Wasza Światłości. Aby uzyskać ten efekt, wzmocniliśmy projekcje siły astralnej, nad którymi pracowaliśmy od miesiąca. Jak ci, Panie, wiadomo, przeszkadzały nam fałszywe obrazy emitowane przez wroga. Ale dzisiejszego ranka, z nie całkiem jasnych dla nas powodów, czary Venji zaczęły słabnąć. Śledząc powrót ich emanacji do wygasającego źródła, zdołaliśmy uchwycić tę akcję.

- Nie wiesz, dlaczego opór zniknął?

- Nie, Imperatorze. Mam nadzieję, że oznacza to śmierć arcymaga, Mojurny. Bez jego mocy buntownicy Venji już nigdy nie zdołają oprzeć się naszym czarom.

Kiedy Ibn Uluthan mówił, widok z okna przesunął się nagle do przodu i w dół. Obserwatorzy gwałtownie chwycili się parapetu. Światło zafalowało i przyćmiło, a liście drzew rozpląwały się pod framugą, jakby w magiczny sposób dżungla wdzierzała się do komnaty. Ale uczucie ruchu było jedynie złudzeniem. Ibn Uluthan, zanurzwszy palce w małej miseczce z czarnym olejkim, zmienił kąt i kierunek widoku z okna. Generał Abolhassan przysunął się bliżej Yildiza, wskazując na poruszające się postaci, które były teraz bliższe i lepiej widoczne.

- Ci ludzie to Turańczycy, jeden z naszych specjalnych patroli w



dżungli. Pół miesiąca temu wysłałem na południe rozkazy. Unicestwienie Mojurny było zadaniem tych żołnierzy. Może właśnie ubili starego łajdaka i oczyścili nam drogę? Jeśli ten rodzaj łączności z frontem w Venjipur zostanie utrzymany, a Ibn Uluthan mówi, że zostanie, to skończą się nasze kłopoty z dowodzeniem. W takiej sytuacji możliwa jest niemal nieograniczona ekspansja...

- Rzeczywiście, teraz mogę dowodzić osobiście. Nie potrzebuję już twojego pośrednictwa, generale! - Zaledwie rzuciwszy okiem na Abolhassana, Yildiz wpatrzył się w zdumiewający obraz przed sobą. Dzięki mocy Ibn Uluthana, mogli podążać wzrokiem przez głębiny dżungli za grupą Turańczyków. Najbliżej ich punktu obserwacyjnego znalazł się ostatni z żołnierzy - wielki, poruszający się z lekkością tygrysa wojownik, który widocznie rozmyślnie pozostał w tyle, rozglądając się w poszukiwaniu oznak pogoni.

- Ten olbrzym jest północnym barbarzyńcą, prawda? - Yildiz raczej stwierdził, niż pytał. - Sądząc z wyglądu to Vanir. Oni tak wspaniale prezentują się w mundurze. Trzeba ich więcej zwerbować!

Ostrożność zamykającego pochód wojownika okazała się uzasadniona. W liściastym cieniu mignęły trzy ciemne, wpółnagie sylwetki. Klinga miecza błysnęła raz i drugi w mroku. Liście posypały się z krzewów. Potem jatagan zatoczył szybki krąg, dosięgając trzeciego ze ścigających, który padł na skręcone ciała swoich towarzyszy. Nie oglądając się za siebie, samotny olbrzym opuścił miejsce potyczki i podążył za swym oddziałem.

- Sami widzieliście - przemówił generał Abolhassan. - Ci zbuntowani Hwongowie są marnymi wojownikami. Nasze oddziały cesarskie z łatwością ich pobijają, czy to z pomocą sił nadprzyrodzonych, czy bez nich! Czary, takie jak ten, są zadziwiające, to prawda. Ale nawet to okno ma w gruncie rzeczy niewielką przydatność, bo brak nam możliwości szybkiego porozumiewania się z frontem. - Patrzył na maga, którego oczy błyszczały zielonym światłem, odbitym z czarodziejskiego okna. - Dotychczas służyły nam gołębie pocztowe i one właśnie dalej pozostaną najlepszym środkiem łączności, chyba że zostaną powołane do działania silniejsze czary.

Yildiz nie reagował na słowa generała. Imperator nie odrywał wzroku od dżungli, a w jego oczach odbijało się zadowolenie, jak wówczas, gdy przyglądał się zapasom na swej prywatnej arenie. - Ależ to cudowne, Ibn Uluthanie, widzieć to wszystko tak wyraźnie! Myślę, że możemy wykorzystać twoją magię do silniejszego zaangażowania naszych kapłanów i szlachty w kampanie pograniczne i wzbudzenia bardziej wojowniczych nastrojów na dworze. Potrzeba nam czegoś tak dramatycznego, jak widok z tego okna, by wzbudzić u ludzi ducha walki! - Uśmiechnął się, po czym z zadowoleniem wrzucił ramionami. - Oczywiście, w każdym wypadku musimy bronić naszych praw do Venjipuru. Nic tego stanu rzeczy nie zmieni. Ale możliwość pokazania naszych sukcesów może pomóc w jednoczeniu dworu.

- Zaprawdę, Wasza Światłości, doskonały pomysł - przytaknął generał Abolhassan, choć jego ton brzmiał nieprzekonująco. Trącił łokciem Ibn Uluthana. - A teraz, magu, kiedy już ten wypad do dżungli spełnił swoje zadanie, a dalsze losy tak małego oddziału nie mają żadnego znaczenia, czy potrafisz wyczarować nam widok bram miasta Venjipur, byśmy mogli sprawdzić prezencję tamtejszych cesarskich wartowników? Wierz mi, nic lepiej nie ujawnia morale walczących... Ale powiedz, co to takiego?

Piątka mężczyzn obróciła się w stronę jaśniejącego okna. Znad brzegów framugi atakowały zielen dżungli smugi bladej mgły. Rozszerzając się gwałtownie, mgła nie tylko zaciemniła widok, lecz zdawała się pożerać i rozwadniać zarysy gałęzi i zwisających pnączy. Na ich oczach cały widok stopił się w bezkształtną biel, jakby przecinaną skośnymi strugami deszczu.

W zamglonym centrum tego widowiska pojawiło się nagle coś małego i szarego. Przedmiot ten, szybko się powiększając i nabierając ostrości, zdawał się mknąć w kierunku widzów.

Akolita Azhar nerwowo szarpnął się do tyłu, a pozostali sprężyli się do skoku, gdy ów przedmiot nagle zatrzymał się. Wypełniał teraz większą część okna. Wspaniale zdobiona srebrna czaszka, błyskała kryształami i drogimi kamieniami. W jej ustach osadzone były diamenty, złymi iskierkami w oczach żarzyły się rubiny. Zielone jadeity i żółte topazy układały się w twardę, zapadniętą rysę twarzy.

- Bismillah! - Czarnoksiężnik Ibn Uluthan, tłumiąc przekleństwo, przestał mieszać w mózdzierzu z czarnym płynem. - Ta czaszka jest godłem Mojurny, jego osobistym fetyszem, niech go Tarim obróci w proch! Imperatorze,

przebacz mi!

- Hmm... czy to oznacza, że wróg znów przejął kontrolę nad czarodziejskim eterem? I to tak szybko? - Yildiz spoglądał to na okno, to na maga, z wyrazem lekkiego rozczarowania. Czarnoksiężnik zamilkł, obserwując Yildiza. Wszyscy obecni wiedzieli, że cesarskie rozczarowanie, nawet niewielkie, łatwo może zamienić się w śmiertelny gniew.

Wreszcie ośmielił się przemówić akolita Azhar.

- To mocny czar, Wasza Światłości, rzucony albo przez Mój urnę, albo przez któregoś z jego przerażających uczniów.

- Prawdopodobnie przez samego czarnoksiężnika - odzyskał głos Ibn Uluthan - ponieważ słynie on z zawistnego ukrywania źródeł swej mocy. Widać desantowi generała nie udało się starego zabić.

- Niech szlag trafi twoje domysły, magu! - Abolhassan, w odróżnieniu od imperatora, gwałtownie wybuchnął. - Nie ma żadnych powodów do przypuszczeń, że moim żołnierzom się nie powiodło. A swoją drogą, to czy twoja moc jest tak słaba, że bezzębny staruch, mamroczący nad suszonym zieleciem i skrzydłami ciem, może cię pokonać, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota?

- Wyrażasz zbyt pochopne opinie, generale! - Ibn Uluthan, wciąż stojąc na swym podium, popatrzył jakby przepraszająco w jaskrawe oblicze czaszki. - Weź pod uwagę, że Zatoka Tarqheba leży bardzo daleko od Aghrapuru. Mistyczne moce Dworu Proroków mają korzenie tutaj, w wierze naszego ludu w boga Tarima, w naszych świątyniach i cesarskich relikwiach, naszych modłach, nawet w świętych kamieniach tego pałacu. Te moce są olbrzymie, ale nie absolutne. Z każdą milą na południe od Turanu, przez Góry Kolchidzkie i w głąb dżungli, nasze moce słabną, a moce naszych wrogów zyskują na potęgę!

- Fe, kiepskie usprawiedliwienie! - Generał rzucił pewne siebie spojrzenie na Yildiza, a potem ponownie odwrócił się, by ostatecznie upokorzyć maga. - Otrzymałeś pieniądze i władzę, jakich zażądałeś, Ibn Uluthanie... A nawet więcej, wbrew opinii wielu z nas. To powinno cię zobowiązywać do lepszych starań! Czyżbyś chciał powiedzieć, że najpotężniejsze imperium świata nie może narzucić swej mistycznej woli bandzie dzikusów z dżungli i błotnistych ryżowisk?

- Generale Abolhassan - głos Yildiza, łagodny i dźwięczny, powstrzymał rozwścieczonego oficera. - To chyba niezbyt na miejscu, że jesteś tak zły, kiedy ja, twój imperator, zachowuję spokój. Z pewnością i tak jesteśmy na najlepszej drodze do zwycięstwa w Venjipur? Wszyscy doradcy ciągle zapewniają mnie o tym. Od ciebie również słyszałem to samo. - Imperator skinął głową czarnoksiężnikowi i obrócił się ku drzewom. - Kiedy uznam za stosowne skarcić Ibn Uluthana, zrobię to. Ale na razie mam nadzieję, że będzie on ofiarnie kontynuował swe wysiłki.

- Z pewnością, Wasza Światłości! - Zmarszczywszy brew, generał skłonił się zdawkowo czarnoksiężnikowi i podążył za Yildizem i jego gwardzistą do wewnętrznego przejścia. Azhar i Ibn Uluthan w milczeniu przyglądali się odejściu gości. Na plecy trójki mężczyzn padał groteskowy blask z okna, gdzie promieniał straszliwy uśmiech wysadzanej klejnotami czaszki.

III

Fort Sikander

W miarę jak tropikalne słońce wspinało się na nieboskłon, jego przytłaczający żar wzmagał się nieubłaganie. Bezlitosna kula przypominała zlane potem ciało zapaśnika, który z wolna przytłacza rywala do gorącej, suchej ziemi.

Od momentu przybycia do Venjipur, Conan często podziwiał kontrast między wilgotnymi wyziewami parnej dżungli, a suchym skwarem panującym na otwartych przestrzeniach. Tutaj, gdzie najeźdźcy wycięli drzewa i pnąca, by wznieść palisadę, obnażona ziemia poznaczona była bruzdami i wykrotami skamieniałymi od upału... co najmniej do popołudnia, kiedy dżdżysty szkwał znad Zatoki Tarqheba zamieni jaz powrotem w grzaskie błoto.

Zbliżało się południe. Promienie, odbite od żółtego gruntu, stawały się nie do wytrzymania. Conan wsunął się pod markizę przed wejściem do namiotu-kantyny. W jego wnętrzu tłoczyli się zmęczeni upałem żołnierze i wielkookie dziewczyny z Venji, ciągnące za wojskowym taborem. Przybysz z Pomocy spoczął na tyle blisko wejścia, by mieć nie zakłócony widok na obozowisko oficerów sztabowych po drugiej stronie placu. Wokół unosił się mdły zapach kwasu chlebowego i odór obozowej kantyny.

Jurna precyzyjnie się bliżej przyjaciela, sarkając, jak to było w powszechnym zwyczaju. - Niezbyt serdecznie nam podziękował kapitan Murad za najazd na świątynię demona. Niepotrzebnie Conan, powiedziałeś im, że stary uciekł! - Czarnoskóry żołnierz uśmiechnął się, a jego zęby i oczy zabłysły w cieniu złotym blaskiem. - Powinniśmy byli ściąć głowę najbrzydszemu wojownikowi i pokopać ją parę mil przez dżunglę. Nikt by nie wątpił, że nie jest to głowa Mojurny. Nagrodziliby nas tygodniową przepustką do stolicy!

Conan potrząsnął głową i po przyjacielsku położył rękę na ramieniu Jurny.

- Nie, chłopie. Ten stary pożeracz jaszczurek jest zbyt groźnym nieprzyjacielem, by go lekceważyć. Gdyby nasi dowódcy uznali, że on nie żyje, mogliby stać się jeszcze bardziej beztroscy i niedbali. A kto by potem ponosił konsekwencje ich niewydarzonych planów? - Osuszył kubek kwaśnego piwa i skrzywił się. - Ale na wszystkich bogów śnieżnych gór, Venjipur jest parszywym miejscem! Zaciągnąłem się do turańskiej armii, bo służba na południu zdawała mi się łatwa. A teraz uważam się za szczęściarza, gdy udaje mi się przeżyć kolejny dzień!

- Tak jest, Conan, to prawda. Pamiętasz, kiedyś walki w Venji zdawały się dobrą okazją do awansu? - Uśmiech Jurny błysnął ponownie, tym razem marzycielsko. - Ale tu wszyscy to arystokratyczne orlęta o ostrych dziobach, urodzone do dowodzenia. - Zmarszczył ponuro brwi. - Jeśli nigdy nie wystawiają się na niebezpieczeństwo, to skąd miałyby się wziąć wakaty? Oj, to zbyt przygnębiające, by o tym myśleć! - Wojownik z Kush rozejrzał się smutno po żołnierzach, wylegujących się w pobliżu. Zatrzymawszy wzrok na największym z nich, który przewyższał wzrostem nawet Conana, zapytał: - A ty, Orvad? Co ciebie sprowadziło do Fortu Sikander?

Zagadnięty był naprawdę potężnym mężczyzną, tak wysokim, że jego potargana czupryna szorowała po brudnym sklepieniu namiotu. Proste, czarne kłaki z jednej strony w nienaturalny sposób przylegały do czaszki, zdradzając brak ucha, być może utraconego w jakiejś bitwie na północy - nikt nawet nie ośmielił się o to zapytać. Rysy twarzy Orvada, choć zgrubiałe i zniekształcone szramami, pozwoliły rozpoznać w nim mieszkańca Turanu lub Hyrkanii. Marszcząc pełne blizn czoło, wojownik długo wpatrywał się w Jumę. Wreszcie przemówił.

- Zabiłem karczmarza w Sultanapurze - zagrzmiał. - Łajdak próbował zaprawić mi wino i ukraść żołądek. Potem zatłukłem kilku krewniaków karczmarza i jakichś strażników miejskich. - Orvad zmarszczył brwi w zamyśleniu. - Kiedy wróciłem do garnizonu, to wezwał mnie komendant. Powiedział, że jak tak lubię zabijać, to Venjipur będzie dla mnie dobrym miejscem. Więc tu jestem. - Olbrzym spuścił wzrok i potrząsnął głową z dziecięcym rozczarowaniem. - Ale komendant mi nie powiedział, że będę tu zabijać tylko Hwongów, takie małe, złote małpy. To nie to samo, co zakatrupić mężczyznę!

Jego spostrzeżenie zostało przyjęte gromkim śmiechem. Do gardłowego, basowego rechotu wkrótce dołączyły się damskie chichoty, gdy żołnierze przetłumaczyli dowcip dziewczynom obozowym. Orvad potoczył wzrokiem po swoich towarzyszach. Zmarszczył brwi w podejrzeniu, że kpią z niego, a dłonie powoli zacisnęły mu się w pięści. Jurna, widząc co się dzieje, położył rękę na jego ramieniu.

- Tak, Orvadzie! Masz rację! Wszyscy tu czują to samo! Na szczęście, Hwongowie są niełatwą zwierzyną, więc mamy tu trochę rozrywki.

Gdy Orvad głupkowato się uśmiechnął i przytaknął, zebrani ponownie wybuchnęli serdecznym śmiechem. Jurna, powtórnie uspokoiwszy olbrzyma, zamówił dla niego następne piwo i powrócił do boku Conana. Cymmerianin nie przyłączył się do ogólnej wesołości. Przyglądał się usytuowanemu naprzeciwko kantyny budynkowi o ścianach z kłoców drewna i płóciennym dachu.

- Nawet głupkowaty Orvad jest niezadowolony! - Westchnął Jurna. - Czyż w ogóle jest jakkolwiek żołnierz na tyle ciemny, by być zadowolonym ze służby w Venjipurze?

- Nie masz racji. - Conan wskazał głową narożnik namiotu, gdzie grupa mężczyzn siedziała wśród wyziewów z długich, dymiących na żółto fajek. - Pamiętaj, że dla miłośników lotosu, ten kraj jest rajem - przypomniał przyjacielowi. - Mędrcy Venji odkryli źródła radości, które - jak sami twierdzą - czynią ich nieprzydatnymi do innych rodzajów służby. Może pewnego dnia ty i ja również nauczymy się kochać Venjipur!

Spokojny, poważny głos wtrącił się obok nich.

- Często myślę, bracia, że jesteśmy tu tylko z powodu handlu lotosem. -

Szczupły, ogorzały żołnierz, znany Conanowi jako Babrak, dołączył do nich bezceremonialnie. - Ekstrakty z czerwonego i purpurowego lotosu osiągają olbrzymie ceny w krajach Hyborejskich. Obok innych narkotyków, ta grzeszna używka jest jednym z najważniejszych towarów wysyłanych z Turanu. Wstydliva sprawa dla kraju, który deklaruje przestrzeganie praw Tarima! - Tak, to prawda. - Conan wciąż obserwował drewniany pawilon. - Moje doświadczenia z lotosem były najczęściej wymuszone i omal nie zakończyły się fatalnie. Nie ufam tego rodzaju miejskim uciechom.

- Ani ja - zapewnił Jurna, choć w jego dobrodusznym uśmiechu błysnęła ironia. - Pochodzę z Kush, gdzie czarny lotos był zawsze świętością. Ale to nie powstrzymywało cudzoziemskich magów i czarnoksiężników od ryzykowania życiem dla zdobycia go.

- Smutna sprawa - przytaknął Babrak. - Jak wam zapewne wiadomo, prawdziwi wyznawcy proroka odrzucają wszelkie narkotyki i osłabiające używki. - Wymachiwał niewielkim zwojem, który nosił zawsze u boku. - W pogańskim kraju, takim jak ten, bardzo ważna jest silna wiara. Ochroni ona duszę przed zatraceniem. Jeśli tylko zachcielibyście zapoznać się z drogą Tarima ...

- Tak, tak, to dobra droga, droga dzielnych wojowników - szybko odpowiedział Jurna. - Świetnie by było, gdybyś mógł namówić więcej Turanczyków, by nią kroczyli. Włącznie z naszymi obwisło-brzuchymi oficerami. Jeśli o mnie chodzi, wciąż modlę się i przysięgam na bogów moich przodków.

- A ty, Hyborejczyku? - Zimne, szare oczy Babraka spoczęły na Conanie. - Za jakim bogiem podążasz?

- Przysięgi składam na Croma i jego dzielnych mroźnych krewniaków - odparł krótko Conan. - Ale muszę już iść. Zakończyli przesłuchanie!

Rozmówcy podążyli za jego nieruchomym spojrzeniem. Dwóch oficerów w spiczastych hełmach stało przed wejściem do jednego z namiotów. Gdy Conan ruszył przed siebie, przyjaciele zaczęli przepychać się za nim. Opuszczone przez nich miejsce natychmiast zostało zajęte.

Na zewnątrz, pod piekącym słońcem, żołnierze wywlekli dwa wychudzone, zakrwawione ciała, w których z trudem można było rozpoznać jeńców Hwong ze świątyni w dżungli. Gdy wojownicy Venji cisnęli ofiary na zaprzężony w kłapouchego muła wózek, pojawił się ich kat - muskularny, miedzianoskóry mężczyzna, z tatuażami pokrywającymi policzki i wygolonym czubkiem głowy. Znany był Conanowi jako Sool, jeden z eunuchów lokalnego władcy, Phang Loona.

Z cienia namiotu wysunęła się smukła ręka, na której zacisnęły się zakrwawione palce oprawcy. Za ręką pojawiło się kształtne ramię i ciepłe, stawiające opór, ciało Sariyi. Kobieta odziana była w ba - wełnianą koszulę, którą zaraz po schwytaniu dali jej do okrycia nagości. Sool pchnął więźniarkę gwałtownie, tak że straciła równowagę i upadła na gołe kolana w pył obozowiska. Gdy się podnosiła, mrugając w słonecznym blasku i próbując otrząpać się z piasku, piękno jej smukłych członków i delikatnej twarzy wywołało grubiańskie komentarze zebranych na placu mężczyzn. Niewolnik Sool, nie zwracając więcej uwagi na dziewczynę, odwrócił się, by dołączyć do odchodzących Turańczyków.

Wyglądało na to, że Sariya dobrze nad sobą panuje. Nie poddano jej torturom - jak zapewniała Conana, nawet wróg musiał ją uszanować z powodu jej pozycji. Przesłuchanie wyraźnie skończyło się i ku uldze Conana; żaden z oficerów sztabowych nie wydawał się być branką osobiście zainteresowany. Conan żwawo postąpił naprzód.

- Sariya! Chodź, dziewczyno, znajdę ci jakieś miejsce.

Podniosła na niego oczy, lecz wówczas właśnie na placu pojawiła się inna postać - wysoki, szczupły żołnierz w zapoconej skórzanej kamizelki polowej i bryczesach. Spod usmolonego turbanu sterczały ciemne włosy, okalając pobrużdżoną, ogorzałą, bezlitosną twarz. Długi, zakrzywiony sztylet w pochwie zwiślał mu u pasa, a zatknięty obok zwój czerwonego sznurka zdradzał, iż jego właściciel należy do elitarnego korpusu samotnych zabójców, szkolnych do dalekich wypadów w głąb terytorium wroga.

Conan nie znał tego człowieka, ale nieobca mu była reputacja jego oddziału. Gwałtownie rzucił się do przodu, jednak żołnierz wsunął się pomiędzy niego i Sariyę.

- Gdzie tak spieszo, podoficerze? Czy nie uczyli cię, że my, Czerwoni Dusiecie, mamy pierwszeństwo do każdej z kobiet? Ustąpić musimy jedynie przed imperatorem i Najwyższą Radą. - Mówił rozwlekłe, w sposób ironiczny i pewny siebie, a jego twarz pozostawała niebezpiecznie spokojna, gdy mierzył wzrokiem

wzrost i postawę Conana.

- Uważaj, bracie - głos Cymmerianina był chrapliwy, lecz wyraźny. - Wziąłem tę brankę wczoraj i nadal za nią odpowiadam, i nie zniosę żadnego wtrącania się.

- Czy to w porządku, białasie? Dwa razy pomyśl, nim jeszcze raz mnie obrazisz! Mój stopień równy jest twojemu, ale męstwo większe. - Smukły zabójca rzucił spojrzenie na gromadzących się wokół gapiów, którzy chichotali z uznaniem. - Musisz być tym przybyszem z Północy, o którym tyle słyszałem, najnowszym pieszczochem kapitana Murada. Lepiej uważaj, sierżancie, bo twoi ludzie tobą gardzą! Mówi się, że działasz w samobójczym oddziale. Znaj swoje miejsce albo nie pociągniesz długo w Venjipurze.

Zabójca położył brązową, smukłą dłoń na delikatnym ramieniu Sariyi, która nie cofnęła się przed tym dotknięciem, i zaczął pieścić dziewczynę na oczach Conana. Większość gapiów śmiała się bez skrępowania z tego widowiska. Zasłużona kara spotykała oficera, a przy tym barbarzyńcę. Najśmielsi zbliżyli się, by z satysfakcją przyglądać się Conanowi.

- Nie martw się o dziewczynę, Cymmerianinie - dobiegł czyjś głos z ich szeregów. - Kiedy już trafi do obozowej braci, ty też doczekasz się swojej kolejki!

Komentarz wywołał kolejny wybuch śmiechu. Tymczasem Conan ruszył. Stało się to zbyt szybko, by można było nadażyć za nim wzrokiem. Całkowity bezruch zmienił się nagle w gwałtowny skok, któremu towarzyszył pojedynczy błysk stali. Zaskoczona kobieta zachwiała się, odepchnięta na bok. W zapadłej nagle ciszy wśród kłębow żółtego pyłu oszołomieni widzowie próbowali oszacować żniwo śmierci.

Choć atak był błyskawiczny, to jednak nie wystarczająco szybki. Conan przykucnął w postawie bojowej. Uniesione ręce zamarły w powietrzu. W jednej błyszczała stal, a na drugiej krew - i to nie krew przeciwnika. Czerwone krople znaczące pył placu spływały z dłoni Cymmerianina, rozciętej przez zakrzywiony sztylet zawodowego zabójcy.

- Sam widzisz, białasie, w krajach tropikalnych wszystko toczy się zwawiej. Kobra uderza szybko, ale mangusta jeszcze szybciej! Gdybyś cierpliwie obserwował i uczył się, to może zdołałbyś nabyć niezbędnej wprawy. - Dusiciel zerknął na widownię. - Teraz, niestety, jest już dla ciebie za późno na naukę.

Przemowa ta służyła odwróceniu uwagi przeciwnika od przygotowań do dalszej walki. Zabójca najpierw podniósł jedną nogę, potem drugą, zręcznie umieszczając coś pomiędzy palcami obutych w sandały stóp. Noże, Conan pojął to zbyt późno. Nie miał wyboru. Trzeba było walczyć na warunkach narzuconych przez wroga.

Conan słyszał o tej broni, ostrzach o płaskim trzonku, wtykanych między poduszczkę palca a podeszwę sandała. Wiedział już trochę na temat sztuki walki krain Południa. Nożyki połyskujące spomiędzy palców Turańczyka miały wykonane z brązu, głęboko żłobione ostrza o kształcie liścia. Conan nie żywił wątpliwości, że były one zatrute. Widzowie utworzyli ciasny krąg w oczekiwaniu na pojedynek. Niektórzy zbili się w mamroczące grupki, prawdopodobnie czyniąc zakłady. Conan zauważył, że Jurna i Babrak zastygli w postawie obronnej po obu bokach Sariyi. Ostrzegawczo poklepywali rękojeści swej broni, gdy ktokolwiek podchodził zbyt blisko dziewczyny. Dziękując przyjacielom spojrzeniem, Conan odwrócił się, by stawić czoło dusicielowi.

Zabójca dobył z pochwy na plecach zakrzywiony sztylet. Teraz każda z jego kończyn uzbrojona była w stalowy szpon. Wygiąwszy się nagle, skoczył na Conana. Kopnął najpierw jedną, potem drugą stopą. Wirował wokół własnej osi, posuwając się do przodu, a jego sztylety równocześnie cięły z góry i z dołu. Zaprzestał teraz swych obelg, skupiony na skomplikowanych ruchach, a z gardła wydobywało mu się jedynie sapanie i stękanie.

Cymmerianin, któremu w oślepiającej nawałnicy zagrażało naraz jakby tuzin skierowanych pod różnymi kątami ostrzy, starał się schodzić nieprzyjacielowi z drogi. Ruch wirowy tej niosącej śmierć i wznoszącej tumany pyłu ludzkiej trąby powietrznej nie dopuszczał możliwości, by dojrzeć, skąd może paść kolejny cios. Conan szybko się więc wycofywał i uskakiwał na bok, pozwalając nieprzyjacielowi tracić siły w akrobatycznych skokach. Sposób walki dusiciela wyglądał na wyuczony raczej w karczmach i zakazanych zaułkach niż podczas walk w dżungli.

Conan zamierzał pozwolić, by napastnik sam siebie zmęczył, lecz

nieprzytomny błysk w oczach wroga stanowił ostrzeżenie, że zapal bojowy może trwać, a nawet z czasem rosnać, zależnie od tego, jakiego narkotyku wojownik używał. Conan postanowił więc zaatakować. Regularnie wycofywał się na boki i bardzo ostrożnie uderzał, gdy uzbrojone kończyny przeciwnika wydawały się dostępne. Każde kolejne natarcie przybliżało walczących do gromady widzów, którzy nieprzerwanie dowcipkowali i dopingowali swego faworyta.

Nagła zmiana rytmu przeciwnika wytrąciła Conana z równowagi. Cymmerianin desperacko runął na czworaki. Napastnik w wysokim wyskoku przeciął powietrze tuż nad nim, a sztylety i noże w butach świsnęły nad skulonym mężczyzną. Wzniesiono to żywe okrzyki wśród patrzących. Jak dotychczas krew, na którą tak niecierpliwie czekali, ani nie trysnęła, ani nawet nie pociekła. Nawet ta jedyna rana, którą otrzymał wcześniej Conan, przestawała już broczyć. Zwinny zabójca nieustannie ponawiał ataki. Nagle zakrwawiona pięść przybysza z Północy rozwarła się, by cisnąć brązowo nakrapiany piach w jego twarz. Równocześnie silne kopnięcie ugodziło Czerwonego Dusiciela w udo. Wojownik zatoczył się i wpadł na wrzeszczących gapiów, powalając dwóch żołnierzy.

Kiedy zabójca strząsnął z siebie brutalnie swoje mimowolne ofiary, z których jedna przeklinała go, a druga skowyczała z bólu, Conan pozdrowił tłum uniesionym sztykletem. W zamian uzyskał energiczny doping ze strony Jurny. Wśród pozostałych przebiegł gorączkowy pomruk. Naprędce zmieniano zakłady.

Tymczasem obydwa walczący znowu przyjęli postawę bojową. Tym razem obaj już ciężko dyszeli i starali się nie wykonywać niepotrzebnych ruchów czy markowanych ataków. Napięcie ich znużonych twarzy wskazywało, że walkę winno rozstrzygnąć jedno szybkie, śmiertelne starcie. W jaskrawym świetle cienie wojowników tworzyły dwie nieregularne sylwetki, wysuwające ku sobie nawzajem zakrzywiony szpon. Na skąpanym w słońcu placu, wydawały się czarniejsze niż zużyte skóry kaftanów obu mężczyzn, ciemniejsze niż opalenizna zakurzonych ciał.

W zgodnym impulsive oba czarne cienie rzuciły się ku sobie, zwierając się w jedną plamę. To Conan zablokował próbującego go kopnąć przeciwnika. Klingi sztyletów zazgrzytały o siebie. Pole walki ograniczała przestrzeń, w obrębie której można było trafić wroga nożem. Pojedynek przekształcił się więc wkrótce w zwarte starcie, urozmaicone desperackimi kopniakami. Czerwony Dusiciel wydawał się słabnąć. Mając palce u nóg obarczone metalowymi uchwytami noży, odkrył że coraz trudniej mu utrzymać przewagę.

Walczący zmagali się teraz w pozycji kucznej. Wreszcie obydwa sierpowate sztylety upadły na ziemię. Powoli, acz nieuchronnie, szczuplejszy z mężczyzn zaczął słabnąć. Gwałtownie przechylił się do tyłu. Po chwili wojownicy zwarli się ostatnim wysiłkiem. Nagle rozległ się suchy trzask, jakby ktoś strzelił z bata. Wśród bezładnych wierzgnięć i drgawek ciało dusiciela osunęło się na ziemię. Czarny cień padł na zwłoki, gdy Conan stanął nad nimi, dysząc i krwawiąc.

Podniecenie, które wybuchło wśród żołnierzy groziło, że wydarzeniami na placu może zainteresować się któryś z oficerów. Wokół narastał zgwień. Conan, oprzytomniawszy z bólu, ostrożnie się poruszył. Podszedł do Sariyi, objął jej nagrzane słońcem plecy i wycisnął długi pocałunek na ustach dziewczyny, zaznaczając publicznie, czyją jest ona własnością. Chrzaknięcia i gwizdy gapiów powiedziały mu, że jego roszczenia zostały uznane. Poprowadził więc dziewczynę za sobą, a tłum rozstępował się pod jego wyzywającym spojrzeniem. Obaj przyjaciele ruszyli za nimi.

- Od tej chwili zachowaj ostrożność, Conanie - odezwał się Babrak chrapliwie i jakby z lękiem. - Jeszcze nie skończyłeś z Czerwonymi Dusicielami. Będą chcieli cię zabić. Pomszczą nawet najmniej szanowanego członka swej grupy.

- Tak, Conanie - Jurna drwiąco potrząsnął głową. - Czy naprawdę musiałeś zabić go przy świadkach? Teraz nie czuję się bezpiecznie w twoim towarzystwie.

Skręcili za barak i zszedłszy z oczu tłumowi, przyspieszyli kroku.

- Walki nie dałoby się uniknąć. Śmierć tego głupca kupiła życie Sariyi. Teraz każdy, kto mi jej zazdrości, wie, że najpierw musi zmierzyć się ze mną. - Conan wiódł przyjaciół ku drewnianym wrotom wewnętrznej palisady. - Możemy wynająć chatę w osadzie, gdzie mieszkają oficerowie ze swymi kobietami. - Przycisnął Sariyę do swego boku. - Czy ci się to podoba, czy nie, dziewczyno, jesteś moja. Ale przyrzekani, że nie będę ci się narzucać.

Dziewczyna delikatnie ujęła jego zranioną dłoń długimi, szczupłymi palcami. Gdy odpowiedziała, jej akcent brzmiał egzotycznie i śpiewnie.

- Moja biedna, wielka mangusta. Musimy zadbać, by się to dobrze zagoiło!

- Jej śmiałe spojrzenie napotkało wzrok mężczyzny. - W całym Venjipurze nie znajde lepszego obrońcy, Conanie. Poznasz moja wdzięczność.

IV

Srebrzysty basen

Metaliczny dźwięk gongu odbijał się od łuku sklepienia cesarskiej komnaty. Uzbrojony gwardzista zaczekał na niedbały gest imperatora, po czym odwrócił się i zniknął na zasłoniętym krużganku. Generał Abolhassan, którego przybycie zapowiedział wciąż rozbrzmiewający gong, niechętnie postąpił naprzód.

- Wasza Światłości, wieści, które przynoszę, nie są nadzwyczaj pilne. Nie miałem pojęcia, że byłeś panie... zajęty. Jeśli taka twoja wola, stawię się później...

- Nie, wcale nie przeszkadzasz, generale! Możesz pozostać. - Yildiz przemawiał do swego gościa, leżąc na znajdującym się pośrodku komnaty łożu, gdzie zabawiał się ze swymi konkubinami. - Podejdz bliżej i przedstaw sprawę, z którą przybywasz.

- Panie, chciałem jedynie dostarczyć ci najnowszych wieści z Venjipuru. Potwierdzają one nasze przypuszczenia co do ostatniej porażki czarnoksiężnika Ibn Uluthana. Nie jest to sprawa specjalnie pilna i bez problemu można ją odłożyć...

Abolhassan zbliżył się, odwracając w zażenowaniu wzrok od rozpustnej sceny. W jego głosie pobrzmiwało niezdecydowanie.

Cesarskie łoże stanowił cienki, aksamitny materac, który pływał po szerokim, wypełnionym żywym srebrem marmurowym basenie. Błyszczący metal pozostawał gładki i nieskalany, bez trudu unosząc niebagatelny ciężar Yildiza oraz dwóch ciemnowłosych i ciemnokoch nury s, spoczywających obok imperatora. Kobiety pulchne, przesłonięte jedynie resztkami i tak zwyczajowo skąpego przyodziewku, oddawały się pieszczotom, jakby generał wcale nie pojawił się w komnacie. Nagość imperatora, na szczęście, okrywała jedwabna kapa.

- Nie kłopotz się, Abolhassanie. W najmniejszym stopniu nie przeszkadza mi twoja obecność. - Yildiz uniósł nieco głowę, jako że przemawiał do generała z pozycji leżącej. - Obowiązki przywódcy niejednokrotnie zmuszają mnie do zajmowania się kilkoma sprawami równocześnie. Przypuszczam, że i tobie się to zdarza. - Yildiz sięgnął pulchną ręką poza zdobioną falbanami krawędź materaca. - Usiądz i poczęstuj się winem, jeśli masz ochotę. - Mówiąc to, pchnął w stronę gościa złotą tacę z kryształowymi szklankami i dzbankiem. Prześliznęła się ona gładko po srebrzystej cieczy i lekko stuknąwszy o brzeg basenu, przez chwilę wirowała wokół osi.

- Dziękuję, panie. - Abolhassan przysiadł na krawędzi marmurowej ławki obok basenu, nie śmielając się sięgnąć po wino. - Powiem krótko, o panie. Raport z Fortu Sikander potwierdził, że naszej grupie zwiadowczej nie udało się zabić arcymaga Mojurny. Zdybano go podczas jakichś tajemnych obrzędów w starożytnej świątyni Venji, ale łajdak uciekł za sprawą sprytu, czy może czarów. - Mówiąc to, generał taktownie wbił wzrok w skomplikowany wzór posadzki. - Niestety, panie, z tego powodu należy oczekiwać, że jego moc nie osłabła, a jad buntu przeciw prawowitemu władaniu Waszej Światłości nadal będzie zatruwać Venjipur. Bardzo niefortunny stan rzeczy, panie!

Abolhassan wstał, ale powstrzymał go głos imperatora.

- A więc ta grupa zwiadowcza... Czy to ta, którą podglądaliśmy przez magiczne okno Uluthana?

Chcąc nie chcąc, generał odwrócił się i skinał potakująco.

- Tak jest, Wasza Światłości. Dowodzona przez dwóch niższych oficerów, Jumę i Conana. - Czuł się straszliwie niezręcznie. Jedna z cesarskich hurys przyglądała mu się w zamyśleniu spod przyciemnionych antymonem powiek, jednocześnie delikatnie pocierając twarzą o tłusty, owłosiony brzuch imperatora. - To mój błąd, panie - dodał coraz bardziej speszony. - Powiniennem był rozkazać, by dowództwo powierzono komuś znaczniejszemu.

- Conan, tak. Imię popularne wśród Vanirów. Prawdopodobnie to ten ogromny żołnierz, którego widzieliśmy w magicznym oknie. - Yildiz przewalił się na drugi bok, jak locha w ciasnej zagrodzie zmieniająca pozycję pośród oblegających ją warchlaków. - Zaprawdę, nawet ten rzut oka na jego sprawność bojową był poruszający! Potrzeba nam więcej takich dzikusów tutaj, na dworze, by pobudzić zainteresowanie wojną. Jak się pewnie domyślasz, generale, często

odnoszę wrażenie, że eunuchowie niezbyt entuzjastycznie popierają naszą politykę na południu kraju. Czyż nie podzielasz tego odczucia? A niektórzy z szarifów i ich starsze żony wręcz wypowiadają się przeciw wojnie! Co sądzić o takim braku ducha?

- Jeśli wolno mi zaproponować, Wasza Światłości. Twoja moc jest absolutna. Czyż nie możesz po prostu zmusić ich do zmiany punktu widzenia? - Przetrzymany wbrew własnej woli przed cesarskim obliczem, Abolhassan czuł narastającą irytację, zwłaszcza gdy musiał mówić o rzeczach oczywistych. - Kilka wyroków banicji dla wysoko postawionych, kara chłosty, parę ściętych głów albo publiczne łamanie kołem mogą uczynić cuda w dziedzinie podnoszenia ducha bojowego narodu!

Hurysy w żaden sposób nie okazały, że dotarły do nich gwałtowne słowa generała, ale Yildiz zniecierpliwiał się.

- Tak, teoretycznie masz rację, Abolhassanie. Ale wolałbym, by na dworze wszystko przebiegało gładko. Wiesz, że administracja spoczywa w rękach eunuchów. Niepokój w ich szeregach spowoduje, zaburzenia życia w całym pałacu. - Yildiz przekręcił się na brzuch i dwie pary dłoni o szkarłatnych paznokciach kontynuowały masaż - A dostojnicy również dysponują siłą. Naprawdę, nie potrzebuję większej wojny w stolicy niż w Venjipurze. - Zamruczał, zadowolony z pieśczoć. - Jeśli rzeczywiście jestem wszechmocny, to czyż tym bardziej nie powinienem przekonywać poddanych siłą argumentów?

- Argumentami, panie, lub jakimikolwiek innymi środkami. Jak tylko sobie życzysz! A teraz, jeśli dłużej nie jestem ci potrzebny...

- Nie, Abolhassanie, zczekaj jeszcze chwilę. Mój drogi generale, przepraszam cię za brak domyślności. Sam zażywam przyjemności, a nie zaproponowałem ci podobnej rozrywki. Siądź i nie krępuj się. Możesz zamówić, co chcesz.

Yildiz strzelił palcami i skinał ręką, a z zasłoniętej kotarą alkowy wybiegła dziewczyna i usiadła na ławce u boku Abolhassana. Była młodsza i smuklejsza od towarzyszek imperatora, bosa, w przejrzystych pantalonach i krótkiej, wysadzanej klejnotami kamizelce. Na poczerwione oczy spadały rude loki, spięte kółkiem z najczystszej złota. Dziewczyna obdarzyła Abolhassana przeciągniętą pieśczoć, lecz on otrząsnął się tylko z niezadowolaniem.

Yildiz odchrząknął. - A teraz generale, wróćmy do interesów! W wysiłkach wyjaśnienia porażek na południowych kresach doszedłem do określonych wniosków. Ty, ze swą wiedzą wojskową, pomożesz mi skonkretyzować zarzuty. - Chociaż hurysy obdarzały delikatnymi pieśczoćami korpulentne ciało cesarza, Yildiz wydawał się nie mieć żadnych trudności z pozbieraniem myśli. Jego umiejętność koncentracji była godna podziwu. - Jednym z wybiegów, które słyszę - zaczął - jest fakt czerpania z wojny nielegalnych korzyści. Część pieniędzy i zaopatrzenia przeznaczonych dla Venjipuru nigdy ponoć tam nie dociera, zasila natomiast kiesy nieuczciwych funkcjonariuszy w mojej służbie. Oczywiście, obaj dobrze wiemy, że zawsze potrzebne są łapówki, by posmarować tryby wszelkich państwowych przedsięwzięć. Próbowałem to wyjaśnić, jednakże opozycjoniści zdają się sądzić, że w całą aferę jest zamieszany ktoś wysoko postawiony.

- Niesamowite, panie! Któż ośmiela się rzucać tak nieodpowiedzialne posądzenia? Kłamliwy zdrajca powinien być łamany kołem! Mogę osobiście zagwarantować, że nie dochodziło do defraudacji. Ale rozpocznę śledztwo... - Generał musiał na chwilę przerwać, bowiem dziewczyna, przysunawszy się bliżej, zaczęła dmuchać mu w ucho, pieśzcząc nie zakryte turbanem, krótkie włosy u nasady głowy. Zdecydowanym gestem Abolhassan odepchnął hurysę i mówił dalej. - Jeżeli takie rzeczy mają miejsce, ukarzę winnych z całą surowością.

- Doskonale, generale! Od tej chwili będę mógł z większą pewnością odpierać zarzuty. Inne kłopotliwe oskarżenie - być może związane z poprzednim - dotyczy naszej polityki w Venjipurze. Chodzą słuchy, że stronnictwo, które tam popieramy to banda oportunistów a nawet zwykli kryminaliści. Nie dbają o nasze interesy i nie będą zdolni w sposób kompetentny władać okręgiem, gdy już zaprowadzimy na południu spokój. Co ci o tym wiadomo?

- Niemożliwe, panie! - Abolhassan wciąż bronił się przed nie zrażoną dziewczyną. W końcu rozległ się tłumiony szloch, gdy generał bezlitośnie uszczypnął hurysę w ramię. - Osobiście nigdy nie byłem w Venjipurze. Lecz mogę ręczyć, że nasi sprzymierzeńcy są dobrani bezbłędnie. To dziedziczni władcy, potomkowie dawnych zdobywców tych ziem, hołdujący tym samym prawom absolutyzmu, zgodnie z którymi Wasza Światłość włada naszym świętym imperium. - Bardzo



dobrze, Abolhassanie! Zapamiętam ten argument. - Poddając się coraz intensywniejszym pieszczotom swych kobiet, Yildiz uniósł głowę, by rzucić generałowi pełne aprobaty spojrzenie. - Ale widzę, że nie skorzystałeś z cielesnych uciech, które ci zaoferowałem. Czy dziewczyna jest nie w twoim guście? Może powinienem ją odesłać i przywołać kobietę o pełniejszych kształtach lub bardziej wyrafinowaną?

- Nie, panie! - Abolhassan zaczerwieniony podniósł się z ławy. Zirytowało go to bezwstydne wypytywanie. - Jestem przyzwyczajony do surowej wojskowej dyscypliny, panie. Twarda, wąska prycza i przyjemności zażywane jedynie z rzadka, w karawanseraju w przeddzień bitwy albo wśród płomieni i zgliszcz zdobytego miasta.

- Pojmuję. - Yildiz skinął głową ze zrozumieniem. - Więc wolałbyś chłopca? - Obserwując bladą teraz, ściągniętą twarz generała, imperator szybko podsumował: - Bardzo dobrze, Abolhassanie, rób jak chcesz. - Gestem dłoni odprawił hurysę i mówił dalej:

- Ostatni i najbezpieczniejszy zarzut, o którym donieśli mi moi informatorzy, głosi, że cała kampania w Venjipurze jest niczym nie usprawiedliwionym szaleństwem, pretekstem dla oficerów do wzmocnienia własnej pozycji kosztem realizowania niezbędnych działań, takich jak budowa dróg, kanałów i tym podobnych. Wnioski nasuwają się same. Te nadmiernie rozbudowane siły wojskowe mają być wykorzystane do osłabienia mojej władzy. - Yildiz przerwał na chwilę i ułożył się w wygodniejszej pozycji. - Oczywiście, wierność moich oficerów sztabowych nie podlega dyskusji. Niemniej znalazłem się w kropce. Czy możesz mi wytłumaczyć, co jest źródłem tych plotek? Czy ma to jakiś związek z cudzoziemskimi pułkami zaciężnymi, które miały nam pomóc w realizowaniu polityki ekspansji? A może chodzi o wzajemną niechęć między prowincjami? Czy doszły cię jakieś pomruki buntu z któregoś z okręgów?

Abolhassan, sztywno wyprostowany, patrzył z góry na leżącego na wznak władcę. - Imperatorze, to zarzuty zbyt poważne, by je lekceważyć lub odrzucić po pojedynczym przesłuchaniu! Przysięgam na wszystko co najświętsze, że zbadam każdy trop, każdą przesłankę i, jeśli jest w nich choć trochę prawdy, podejmę stosowne działania. Składam dzięki za uświadomienie mi tych problemów. Życzę miłego dnia, panie! - Generał zrobił w tył zwrot, kierując się do drzwi. Odgłos jego kroków wprawił w drżenie rtęć wypełniająca basen. Głos Yildiza doścignął wychodzącego.

- Miłego dnia, generale Abolhassanie, i jeszcze jedno. Informuj mnie o losach tego młodego cudzoziemca, Conana! Wygląda on na wojownika, którego można będzie kiedyś wykorzystać do ważniejszych spraw.

Tego samego wieczora generał wziął udział w jeszcze innym posłuchaniu, tym razem w mniej zbyt kownym otoczeniu. Mały, skromny pokój, ukryty w rozległym kompleksie pałacowym, pozbawiony był okien, kolumn i draperii. Do jego zalet należała jednak funkcjonalność i brak jakichkolwiek schowków dla ciekawskich oczu i uszu. Na wystrój wnętrza składały się jedynie otynkowane na ciemnoniebiesko ściany, wąskie, obite tkaniną drzwi, niski stół, poduszki oraz lampa oliwna. A mimo to pierwsze słowa Abolhassana brzmiały tak cicho i ostrożnie, a rzucane na boki spojrzenia odznaczały się taką czujnością, jakby pokój umieszczony był w uchu samego imperatora Yildiza. Dwór cesarski w Aghrapurze słyszał bowiem z braku dyskrecji.

W tym to ustronnym pokoju królował potężny, nie tyle z racji swej rangi, co imponujących rozmiarów, eunuch Dashibt Bey. Z konieczności zasiadał przy dłuższym boku prostokątnego stołu. Tłuste cielsko mężczyzny spoczywało na dwóch grubych poduszkach. Światło lampy zapalało ogniki w licznych klejnotach i zapinkach jego stroju i załamywało się na mieniących fałdach jedwabnego turbana, szarfy i litego pasa. Przyzwyczajony do luksusu dworski urzędnik bez wątpienia wolałby wystawną ucztę, w obecnej sytuacji musiał jednak ograniczyć się do zawartości poślaczanego koszyka. Co jakiś czas wydobywał z niego dojrzały owoc i pochłaniał go, przysłuchując się jednocześnie wygłaszanej ścisłym głosem tyradzie generała Abolhassana.

- Ohydny kaczyk! Obrzydliwy, obwieszony świecidełkami cham! Leżał rozwalony, a ja czekałem, kiedy dopieszczają go te tłuste dziwki. Ja, najlepszy z jego generałów, sprowadzony do poziomu sługi podającego ręczniki! Co gorsza, potem próbował podsunąć mi jedną z tych rozpustnic! Dobrze, że jego upadek jest nieunikniony, w przeciwnym razie mógłbym nie wytrzymać i utopić go razem z tym

jego sybaryckim łożem!

Dashibt Bey zaczął się wiercić. Ogniki odbite od klejnotów zdobiących jego szaty zatańczyły po ścianach i suficie. - Czasami Yildiz próbuje wyprowadzić kogoś z równowagi, by mieć pretekst do wezwania królewskiej gwardii. Ta taktyka nigdy na mnie nie działała, bo nie podlegam cielesnym namiętnościom. - Eunuch beknął dyskretnie, rzucając pod stół pogryzioną pestkę. - Lecz powiedz mi, generale, jaki był ton jego pytań? Czy imperator żywi jakieś podejrzenia co do prawdziwego stanu rzeczy!

Abolhassan potarł szorstki podbródek, pogładził czarne wąsy i potrząsnął głową.

- Nie, to nie do pomyślenia! Jedno jego sformułowanie, co prawda, początkowo zbiło mnie z tropu. Wspomniał mianowicie, że dążę do więcej niż jednego celu. Ale wiadomo, że Yildiz jest patetycznym głupcem, napawającym się brzmieniem własnego głosu. Dworskie plotki znalazły u niego posłuch, bo mówią o rzeczach oczywistych. Imperator próbował mnie rozgniewać, ciskając mi je w twarz. Robił co mógł, by wyglądało, że kontroluje sytuację. Podczas gdy wszyscy wiedzą, że to nieprawda.

- Tak, generale - odezwał się zachrypły głos. - Wielki Tarim wie, że zarzuty płynące z ust znieawidzonego brzmią podobnie jak skargi zniewieściałej szlachty, która dąży do przejęcia władzy i zniweczenia mocy Prawdziwej Wiary! - Odzianym na brązowo mówcą, o wygolonej, jakby wpolerowanej, głowie był najwyższy kapłan Tammuraz, znany powszechnie ze swego fanatyzmu. - Poradzimy sobie z tymi wszystkimi oskarżeniami - kontynuował świętobliwy mąż - gdy tylko prawo znowu zapanuje w Aghrapurze. Yildiz jest słaby, bo więcej ufności pokłada w dworakach, wróżbitach i czarnoksiężnikach niż w samym Jaśniejącym Proroku!

- Zaprawdę, dostojników i dworaków z Aghrapuru nie ma się co obawiać - wtrącił Dashibt Bey, biorąc z koszyka owoc granatu. - Niebezpieczeństwo stanowią jedynie oddziały zaciężne, które mogą wspomóc Yildiza. Poczty naszych panów nie liczą się, a zarówno miasto, jak i armia okazują lojalność jedynie wobec Kościoła.

- I wobec eunuchów - dodał Abolhassan z ironicznym uśmiechem. - Nie zapominaj o swej własnej potężnej kaście, Dashibt Beyu! Ten pompatyczny głupiec Yildiz kładł duży nacisk na oględne traktowanie twoich braci, obawiając się zakłóceń w funkcjonowaniu imperium.

- Ma rację. Stanowimy prawdziwą siłę. - Uśmiechając się, eunuch rozdarł upierścienionymi, krótkimi palcami ciemnorubinowy miąższ granatu. - Na szczęście, mogę zagwarantować, że moi współbracia lojalnie za mną podążą, bez większych targów i intryg. Chylę przed tobą czoło, generale, ponieważ nawet zręczni administratorzy potrzebują wiarygodnego figuranta. Dla nas, eunuchów, jeszcze nie wybiła stosowna godzina, by przejąć władzę w imperium.

Słowa Dashibt Beya zostały przyjęte przez pozostałych jako ekscentryczny żart. Uśmiechając się, Abolhassan zaczął wymieniać rozmaite jednostki wojskowe, na których lojalności mógł z całą pewnością polegać. Odliczał na śniadych palcach pułki i oddziały. Legiony ekspedycyjne południowe i wschodnie, garnizon miejski Aghrapuru, większość gwardii cywilnej, armie prowincjonalnych książątek, wreszcie siły zbrojne w okręgu Ilbarsi i w Hyrkanii. Rozmówcy z uwagą wpatrywali się w jego szeroką, poznaczoną bliznami dłoń.

- W tej sytuacji mamy przeciw sobie jedynie szarifów Aghrapuru, Cesarską Gwardię Honorową, kilku ogłupionych lojalistów i dworaków. Nikogo liczącego się. Ale jak dotychczas, niestety, nasze siły są rozproszone, a podżeganie do wojny domowej wiąże się z pewnym ryzykiem. Sprawa wymaga ostrożnego planowania.

- A więc realna jest perspektywa rychłego wybuchu powstania? - To pytanie zadał bogato odziany szlachcic o imieniu Philander.

- Bez wątpienia! - Abolhassan wyglądał na coraz bardziej poirytowanego. - Czas nam sprzyja. Pamiętajcie, te same walki o kolonie, które wzmacniają nasze zbrojne ramię w prowincjach, stopniowo pogarszają sytuację w stolicy. Narasta sprzeciw wobec wciąż nowych zaciągów i podatków. Yildiz jest nienasyconym, głupim władcą, a my tylko na tym zyskujemy.

- Zaprawdę, tak właśnie jest - włączył się kapłan Tammuraz. - Moi agenci także to mówią! Trzeba się tylko modlić do Tarima, by obecna wojna ciągnęła się jak najdłużej i żeby Yildiz dalej ją podsycił.

- Nie ma obawy. On zupełnie ogłupiał na punkcie kampanii w Venjipurze! - Zacierając ręce, Abolhassan uśmiechnął się triumfalnie. - Usprawiedliwia wszelkie nasze działania, wielkodusznie nie chcąc wierzyć w brak lojalności i

niegodziwość swych oficerów. Ostatnio zafascynował go jeden z żołnierzy, którego ujrzał w oknie Ibn Uluthana - olbrzymi niedołęga z Północy, zwany Conanem. Postaram się podtrzymać zainteresowanie Yildiza tym barbarzyńcą. Będę karmił naszego władcę opowieściami o zasługach tego wielkoluda, prawdziwych czy wymyślonych. Zamierzam grać na tej cesarskiej słabostce, póki nasze plany dostatecznie nie dojrzeją. Jeśli będziemy ostrożni, jeśli okażemy zręczność, możemy doprowadzić tyrana do upadku.

V

Sąd polowy

- Czy nie przyszło ci do tego zakutego północnego łba, że zostałeś tu wysłany, by zabijać wrogów imperatora, a nie służących mu turańskich oficerów?

Spacerując tam i z powrotem pod markizą z liści palmowych, szarif Jefar nagle zatrzymał się, by nie przekroczyć granicy cienia. Wbił spojrzenie w Conana, stojącego wyczekująco na odkrytym podwórzu. Za plecami młodego szarifa, w ciemnym wejściu do baraku sztabowego, majaczyła nieruchoma postać kapitana Murada, bezpośredniego zwierzchnika Cymmerianina. Rozwścieczony dostojnik na nowo podjął swą wędrówkę.

- A wszystko z powodu kobiety, i to jednej z tych venjipurskich dziwek. Twoje szczęście, że mnie tu wtedy nie było! I dziękuj swej opiekuńczej gwieździe, że masz stopień oficerski, więc nie podlegasz karze chłosty - Jefar rytmicznie uderzał się po udzie zwiniętymi kawaleryjskimi rękawicami, a złote ostrogi wbijały się w zeschniętą, twardą ziemię. Jego ozdobiona cienkim wąsikiem warga uniosła się w szyderczym uśmiechu. - Zawsze mówiłem, że właśnie z powodu braku subordynacji, cudzoziemscy żołnierze nie powinni być wcielani w szeregi jednostek turańskich. Cóż za godny potępienia incydent! - Ponownie obrócił się w stronę Conana. - No dobra, bracie, masz coś na swoje usprawiedliwienie? Conan rozdrażniony palącym słońcem, czuł jak dłoń sama zaciska mu się na rękojeści miecza. Szukał jeszcze jakiegoś sposobu, by przełożyć swoje wzburzenie na cywilizowaną mowę. Pokusa jednak była ogromna. Gdy wezwano go do tego gaduły, nie został rozbrojony przez podkomendnych Jefara, a teraz obydwaj strażnicy znajdowali się zbyt daleko. Jeśli zdecyduje się na atak, nie zdaża interweniować. Ale, Cymmerianin upomniał sarn siebie, ten lalusz jest oficerem. Zapewne nie ma on nawet pojęcia, na jakie niebezpieczeństwo naraża się, przemawiając w ten sposób. Conan wbił wzrok w ziemię i usiłował stłumić uczucie buntu.

- Zabiłem tę świ... tego żołnierza w obronie własnej, szarifie. - Starał się mówić uprzejmie, choć omal się nie udławił własnymi słowami.

- Ale zrobiłeś to, prawda? Dobrze, widzę, że okazujesz skruchę. - Zaprzestawszy wędrówki, Jefar przeniósł inkwizytorskie spojrzenie z kapitana Murada na Conana. - Powiedz mi, czy kiedykolwiek przemknęło przez twój tępy barbarzyński łeb, że...

- " Sierzancie, ile macie lat? - Straciwszy cierpliwość, kapitan Murad ruszył na odsiecz Conanowi. Brodata twarz starego oficera marszczyła się pod spłowiałym, jasnozielonym turbanem. - I skąd do nas przybyliście?

Minęła ciężka, długa chwila, nim Conan zdołał się opanować i przeprowadził w pamięci szybkie obliczenia. - Mam dziewiętnaście zim, z tego co mi wiadomo, panie. Jestem Cymmerianinem.

- Dziewiętnaście, to zaledwie chłopiec! - wykrzyknął szarif Jefar, który w najlepszym razie liczył rok lub dwa więcej.

- Właśnie. I już jest podoficerem z patentem - ciągnął Murad. - Niespotykane! Widzę, że wyszliście z tego pojedynku jedynie z lekką raną. - Jego wzrok powędrował ku ręce Conana, owiniętej włóknistymi liśćmi jakiejś leczniczej rośliny. - Czym wyróżniliście się już w turańskiej armii, sierzancie?

Spojrzenie błękitnych oczu Conana spoczęło na twarzy Murada.

- Kapitanie, jako jedyny przeżyłem bitwę pod Yaralet. Widziałem, jak zbuntowanego satrapę Munthassem Khana zniszczyły jego własne czarodziejskie moce. Przywróciłem w mieście panowanie Turanu.

- Tak, słyszałem. - Murad pogładził gęsto przyprószoną siwizną brodę. - Yaralet to była krwawa bitwa. Tysiące zabitych po obu stronach. - Mój drogi kapitanie, to wszystko może być prawda! - Jefar uciszył podkomendnego władczy skinieniem dłoni. - Lecz jeśli ten przybysz z Północy faktycznie jako jedyny

ocalał, to przyczyny tego szczęśliwego trafu znamy tylko z jego relacji. Żołnierza, który zdołał przeżyć wszystkich swych towarzyszy, łatwo posadzić o jedno z dwojga - albo walczył jak lew lub, wręcz przeciwnie, krył się i czał jak...

- Faktem jest jednak, że zgłosił się na ochotnika do służby w Venjipurze - rzekł Murad, ostro przerywając swemu dowódcy i rzucając ostrzegawcze spojrzenie patrzącemu spode łba Cymmerianinowi. - Ado czasu tego incydentu cieszył się jako żołnierz najlepszą opinią. Zrozum, Conanie - kapitan zwrócił się do chłopaka - dobry oficer jest wielką wartością dla armii turańskiej. Jego siły i sprawność nie powinny być marnowane w bójkach czy w wyniku kar cielesnych. Ani w żadnych buntowniczych wystąpieniach. - Ostatnim słowem towarzyszyło spojrzenie utkwione w miecz Conana. Jakby w odpowiedzi dłoń Cymmerianina niechętnie i z ociąganiem puściła błyszcząca rękojeść. - Tacy ludzie jak wy, sierżancie, są nam potrzebni w polu - zakończył kapitan.

- Tak jest, bracie! - Szarif Jefar wyraźnie musiał mieć ostatnie słowo. - Gdyby chodziło, powiedzmy o pojedynek pomiędzy szlachtą czy egzekucję dla ostrzeżenia przed dezercją lub dla podniesienia morale, Q, to byłoby co innego! Rzadko też robi się problem ze śmierci prostego żołnierza czy nawet szlachcica. O ile, oczywiście, sprawcą jest ktoś wysoko urodzony. Ale podoficer z patentem z bratniej jednostki elitarnej... Musicie nauczyć się bardziej dbać o pozory, sierżancie! - podsumował Jefar, obdarzając Conana ojcowiskim spojrzeniem, niezbyt pasującym do młodzieńczego wieku szarifa.

- Wystarczy... znaczy, doskonale powiedziane, szarifie. Teraz zaczekajcie tu przez chwilę, sierżancie, póki nie podejmiemy ostatecznej decyzji w waszej sprawie. - Murad odwrócił się i wraz z młodym szlachcicem zniknął we wnętrzu baraku. Conan czuł, jak tropikalne słońce pali mu jego osłonięte jedynie cienką koszulą ramiona, przenikając ciało aż po wnętrzości. Takie przynajmniej odnosił wrażenie. Jedynym dźwiękiem, który dobiegał jego uszu, był szelest liści palmowych w pobliskiej stajni, gdzie służący wachlowali rumaki turańskich oficerów. Zwierzęta te, mimo iż pustynnej rasy, musiano specjalnie chłodzić, by mogły przeżyć parne godziny południowe. Nawet w łagodniejszą pogodę z trudem znosiły klimat Venjipuru. Ale oficerowie sztabowi, sami kawalerzyści, upierali się przy utrzymaniu koni, traktując je jako symbol własnej wysokiej szarży.

Kapitan i szarif Jefar, przytakując sobie wzajemnie, wyszli z baraku i przez chwilę przyglądali się Conanowi z namaszczeniem.

- Sierżancie, oto nasz werdykt - oznajmił w końcu Murad. - Zostaniecie poddani ostrzejszej dyscyplinie. Czeka was intensywna służba, poczawszy od patrolu na wzgórze jutrzejszego ranka. Będzie to z pożytkiem nie tylko dla naszego ukochanego imperatora, ale także zapewne dla waszego nieokiełznanego ducha.

Szarif znowu nie chciał dopuścić, by Murad miał ostatnie słowo.

- Zastosowalibyśmy surowszą karę, sierżancie, gdybyśmy uznali, że mogłoby to uśmierzyć gniew tych, których obraziłeś. Ale Czerwoni Dusiecie będą szukać pomsty niezależnie od naszego werdyktu. A ich metody są znacznie dyskretniejsze. Ucz się od nich, jeśli zdołasz.

- Szarif Jefar ma rację, Conanie - przytaknął z powagą Murad. - Dusiecie otrzymali surowe ostrzeżenie, ale nie mogę gwarantować ich posłuszeństwa. Teraz odejdz. Pomyśl rozsądnie nad odpowiedzialnością dowódcy patrolu i miej oczy i uszy otwarte!

Skinąwszy głową, Conan zasalutował i odwrócił się, by opuścić podwórzec. Niebezpieczeństwo czyhało zewsząd. Cymmerianin czuł, jak prawa pięść zwolna mu się rozluźnia, gotowa do walki. Mijając drzemiacą przy bramie straż zwolnił kroku i rozejrzał na zewnątrz.

Wśród tłumu próżniaków i wałkoni plotka stanowiła monetę obiegową. Zakłady były łatwą formą zarobkowania. Kiedy Conan pojawił się w bramie, dwóch żołnierzy oderwało się od płotu i rażnym krokiem ruszyło w przeciwnych kierunkach, bez wątpienia po to, by roznieść wieść o wypuszczeniu Cymmerianina. Pozostali wojownicy patrzyli na niego z zainteresowaniem, szepcząc pomiędzy sobą i prawdopodobnie wysoko obstawiając zakłady o dalsze losy śmiałka. Conan wyszukał wzrokiem Jumę, który ruszył ku niemu spod markizy, bez żadnych obaw pozdrawiając przyjaciela na cały głos na oczach wszystkich gapiów. W swym entuzjazmie czarny olbrzym ciągnął ze sobą kilku niezbyt chętnych do publicznego powitania żołnierzy.

- Conan! Jak poszło, sierżancie, przed sądem polowym? - Jurna puścił

ramię jednego ze swych kompanów, by głośno klepnąć Conana w plecy. - Jeśli zachowałeś stopień sierżanta po tej całej aferze...

- Tak, zachowałem. - Conan wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Murad dołożył mi nieco dodatkowych obowiązków i kilka patroli na wzgórzach. Nic poważnego, przynajmniej na razie nic poważnego.

- Sierżancie - przerwał im żołnierz, o gładkiej, chłopięcej twarzy. - Czy naprawdę odeśła pana do Aghrapuru, jak to nam mówił sierżant Jurna?

Conan roześmiał się tubalnie.

- Nie, Hakimie! I nie rozpowszechniaj fałszywych plotek, bo jeszcze doprowadzisz do tego, że połowa garnizonu wymorduje drugą połowę w nadziei na taką samą karę!

Hałaśliwa rozmowa i gwałtowna gestykulacja zgromadziły wokół przyjaciół kilku ciekawskich, którzy ostrożnie pogratulowali Conanowi. Ale większość żołnierzy zdawała się go unikać. Cymmerianin miał teraz zbyt niebezpiecznych wrogów. Pogawędziwszy jeszcze chwilę, Conan ruszył w stronę bramy, pociągając za sobą Jurnę. Chciał spokojnie wypytać czarnoskórego przyjaciela o Sariję.

- Zostawiłem ją w chacie z Babrakiem, Conanie. Przyszedłem na plac, gdyż z pewnością większe niebezpieczeństwo wisi nad tobą niż nad nią. Teraz musimy się pospieszyć, bo pobożne dziecię Tarima powinno już stawić się na służbę.

Skierowali się ku głównej bramie fortu. Conan nalegał, by przejść obok mesy. Wolał od razu stawić czoło groźnym spojrzeniom i ironicznym szeptom. Wreszcie dotarli do namiotów żołnierzy swojego oddziału. Conan zapowiedział poranny patrol. Rozkaz został przyjęty pomrukami niezadowolenia i przekleństwami, dochodzącymi spod spłóviałych płóciennych daszków. Ale Cymmerianin nie miał w zwyczaju dyskutować ze swymi podwładnymi. Wraz z Jurną minęli bramę obozu i skierowali się do nieobwarowanej osady, złożonej z prowizorycznych budynków rozsianych na skraju dżungli.

Dwa dni, okraszonych utyskiwaniami, wysiłków żołnierzy Conana i Jurny pozwoliły wznieść sporą chatę w cieniu drzew. Kloce z twardego drewna, pożyczone z zapasów fortu, tworzyły szkielet budowli. Ściany stanowiły kratownice z bambusa, przeplecione giętkimi liśćmi palmowymi. Na ramie z grubych na łokieć pni wspierała się strzecha z palmowych liści. Sariya nauczyła chętnych do pomocy żołnierzy wyplatania mat na podłogę. Poczucie humoru i dziecięcy śmiech dziewczyny zyskały jej powszechną sympatię.

Wyprawiwszy się do dżungli po bambus, wojownicy wypłoszyli dziką świnię. Krwawa rana na udzie jednego z mężczyzn wydawała się ceną zbyt wysoką za smakowitą dziczyznę, która uświetniła wieczorną ucztę z okazji ukończenia budowy chaty. Ranny żołnierz, pielęgnowany przez Sariję, wziął wraz z innymi udział w podziale soczystego mięsa, a ponadto przypadło mu serce, aby mściwy duch zwierzęcia nie nawiedzał go i nie zakłócał leczenia.

Teraz czaszka dzika, szczerząc ostre jak brzytwa kły, bielała w słońcu na szczycie dachu, odstraszać demony i wszelkie złe moce. Pewny jej magicznych właściwości, Babrak spokojnie studiował jeden ze swych licznych zwojów z naukami Tarima. Conan i Jurna, nadchodząc drogą od strony fortu, mogli dostrzec, jak wylegiwał się w cieniu ganku, który był znacznie bardziej zatłoczony niż którakolwiek z dwu izb chaty. Sariya, owinięta błękitną tkaniną, nabytą na targu w osadzie, klęczała nad dymiącym pośrodku podwórza ogniskiem. Powitała swych obrońców gorącymi uściskami. Conana obdarzyła pocałunkiem, lecz nie zadawała pytań.

- Szliście dumnie i nie widzę śladów po chłóście. A więc nie jest źle! - Babrak przesunął się obok Sariyi, by wymienić sztywny, formalny uścisk dłoni z Conanem. Jaskrawozielony turban wyznawcy Tarima sięgał ledwie do brody przybyszowi z Północy. - Jakoś dzięki łasce Jedynego Boga, przetrwałeś ten sąd polowy.

- I, jak się zdaje, z aprobatą wszystkich pozostałych. - Conan odwzajemnił uścisk przyjaciela z taką serdecznością, że Babrak aż jęknął. - Nasi zwierzchnicy pozostawili ukaranie mnie Czerwonym Dusicielom.

- Nic się nie bój, Conanie - powiedział Babrak. - Jeśli zajdzie potrzeba, stanę wraz z tobą nawet przeciw całemu regimentowi tych zabójców! Tarim naucza, byśmy bronili prawych.

- Nie będzie tak źle. Potrafię dać sobie radę. - Conan wszedł z nimi w cień ganku. - Lecz jeśli cokolwiek mi się przytrafi, to wam, moi przyjaciele powierzam opiekę nad Sariya. Jak mi powiedziała, nie ma ani rodziny, ani innego domu niż ten.

- Czy rzeczywiście, dziewczyno? - Jurna szczerze się zaniepokoił. - A co z twoim plemieniem, z klanem?

- Nikt z nich nie pozostał przy życiu - Sariya przysiadła na piętach przy bambusowych drzwiach chaty. Wyrastałam w leśnych obozowiskach uczniów Mojurny. Ledwie kilka miesięcy temu dowiedziałam się, ku swemu przerażeniu, że zostałam przeznaczona na ofiarę. - Ostatnie słowa wypowiedziała z poruszającą prostotą. - Teraz, kiedy umknęłam przed przeznaczonym mi losem, moi dawni nauczyciele i siostry kapłanki będą jedynie urągać i wyszydzać mnie. - Jeśli nawet - przerwał jej Conan - to i tak dobrze, że zostałam ocalona. - Usiadł obok dziewczyny i zabandażowaną ręką objął jej kibić.

- O tak, Conanie! O wiele lepiej jest żyć! - Sariya przytuliła się do niego i pocałowała namiętnie. - Tak mało w życiu widziałam! A jeszcze tyle mnie czeka i tyle mam dobrego do zrobienia. - Nagle zamilkła patrząc w ogień. Po chwili wstała i zajęła się miedzianymi i glinianymi garnkami, parującymi na rozżarzonych węglach.

- Wspaniała dziewczyna - entuzjastycznie stwierdził Juma.

- To prawda. Musiała chyba rzucić na mnie urok - wyszeptał poważnie Conan. - Opróżniła już moją sakiewkę, a ja na to nie zważam! Drobiazgi, które kupiła do domu są użyteczne albo przynajmniej ładne. Ona wie, jak uczynić życie przyjemnym.

- Zaprawdę, waszemu domowi błogosławią niebiosy. Widzę to. - Babrak podniósł się ze swego miejsca. - Ale wybaczcie mi, muszę wracać na służbę. Dzwon bił już jakiś czas temu, a ja nie odważę się spóźnić na musztrę. Zresztą za chwilę będziecie jeść. - Odwrócił się z uśmiechem. - Ufam, że posiłek wam posmakuje.

Pożegnał się z Sariya i odszedł.

Conan sięgnął po gliniany dzban i potrząsnął nim, by sprawdzić, ile jeszcze zostało wina daktylowego. Potem uniósł naczynie do ust.

- Jesteśmy szczęściarzami, że Babrak do nas dołączył - powiedział, podając dzban Jurnie. - Ciekaw jestem, co on w nas widzi.

- Któż to wie? Być może to, że akceptujemy jego wiarę, choć nie deklarujemy nieszczerze, że ją podzielamy. To dobry człowiek. - Juma napił się i zwrócił dzban Conanowi. - Zbyt dobry jak na Venjipur.

Zamilkli. Do chwili, gdy Sariya zawołała ich na obiad, w uszach obu mężczyzn rozbrzmiewało jedynie bzyczenie owadów dżungli. Gliniane klepisko ganku nie było zbyt równe. Conan potknął się, spiesząc do ogniska. Chwycił gorący kociołek przez suche liście palmowe, ale i tak poparzył sobie palce. Nie rzucił jednak garnka ani nawet nie okazał bólu. Ustawili naczynia na grubej macie we frontowych drzwiach chaty, a Sariya uniosła pokrywki, uwalniając obłoki wonnej pary, które wzbily się w górę jak dżiny wschodnich pustyń.

- Świetna ucztą! - oświadczył Juma. - Przypomina mi dom rodzinny w Kush.

Conan zauważył jednak, że pomimo tych zachwyty czarnoskóry wojownik patrzy najedzenie nieco podejrzliwie. - Pachnie słodziej niż gotowane mięso muła i kasza, jaką raczą nas w forcie - powiedział życzliwie, przyklękając na macie.

- Co tu nam przyrządziłaś, dziewczyno?

- To węgorz. Z targu. A tutaj macie pieczone korzenie tsudu i gotowany bagienny oset. - Sariya bambusową łyżką nakładała potrawy na świeże liście figowca. - I gotowana na parze szarańcza! Świeżutka. Kupiłam żywą dziś rano.

- Hmm... niezwykle. - Conan przyjął ociekający tłuszczem liść z rąk przyjaciółki i bardzo ostrożnie trzymał go przed sobą, przyglądając się jego dziwnej zawartości. - Czy to tradycyjne potrawy Venjipuru?

- Tak, to dary Matki Dżungli. Dla ciebie szczególnie zdrowe. Mięso węgorza da ci siłę, a szarańcza dobrze robi na... - Sariya zarumieniła się delikatnie, odwracając oczy - na męskość.

- W takim razie i ja nie odmówię sobie tych przysmaków - oznajmił dobrodusznie Jurna. Przyjawszy kupaisto naładowany liść figowca i położywszy go na macie przed sobą, Kushita wyłowił palcami jedną z szaro-zielonych, kosmatych grudek. Z dziwnym błyskiem oczu, który mógł oznaczać zarówno dobry humor jak i straceńczą odwagę, wepchnął wybrany kęs do ust. Przez chwilę smakował w milczeniu, wreszcie przełknął. Gwałtownie sięgnął po gliniany kubek i pociągnął haust parującej herbaty.

- Powiedziałbym, że mocno przyprawione, Sariyo! - odkaszlnął. - Ale smaczne, dziewczyno, smaczne.

- To bez wątpienia bardzo oryginalna potrawa. - Nie chcąc być gorszy,

Conan uniósł do ust gotowanego owada. Już przedtem zauważył, że dłuższe, twardsze odnóża zostały przycięte. Zamknawszy oczy, zaczął żuć. Mięso nieodparcie przypominało krewetki z morza Vilayet, było jednak słodsze. Ale nadzienie okazało się pieprzne, przyprawione jakimś ziołem lub ostrą rzodkwią. Łzy stanęły Cymmerianinowi w oczach, gdy przełykał na wpół pogryziony kęs. Wino, którym splukał usta zdawało się tylko wzmagać piekący żar na języku.

Tymczasem Sariya starannie, elegancko nabierała jedzenie małą bambusową łyżeczką. Conan i Jurna zaczęli dziewczynę naśladować. Stwierdzili, że pozostałe potrawy są łatwiejsze do zaakceptowania. Węgorz był kruchy i słodki, warzywa miękkie i łagodnie pachnące. Conan nawet schrupał jeszcze kilka szatańskich owadów, wcześniej jednak wyciskając z nich piekące nadzienie na brzeg liścianego talerza. - Dobrze, proste, zdrowe pożywienie - pochwalił Jurna. - Bardzo przypomina to, co jadamy w mojej rodzinnej wiosce na wybrzeżu Kush. Nie byłem tam już od lat.

- Tak, w Cymmerii też nad wszystkie smakołyki przedkładamy dary natury - Conan wciągnął z przyjemnością aromatyczne opary herbaty, jednocześnie smakując ją małymi łydkami. - Nasze armie w Venjipurze byłyby znacznie sprawniejsze, gdyby mogły przemieszczać się w terenie i handlować z krajowcami, zamiast polegać wyłącznie na karawanach z zaopatrzeniem.

- To prawda. W dodatku dostawy żywności są nieustannym celem ataków wroga. - Jurna wydlubał spomiędzy zębów włókienko łądygi ostu. - Ale spróbuj namówić Turańczyków do jedzenia bagiennego ryżu, najpopularniejszej miejscowej potrawy. To beznadziejne zadanie. Jedni po nim wymiotują, inni dostają skrętu kiszek, a wszyscy go przeklinają. Ja osobiście nie mam nic przeciwko tutejszej kuchni. - Zdrapał żółtą papkę, która przywarła do prowizorycznego talerza i zlizzał ją bambusowej łyżki. - Główny problem polega na tym, że ci synowie pustyni nie pasują tu, do Venjipuru. Ich konie robią się ociężałe i padają z gorąca, stalowe klingi mieczy zżera rdza. A iluż żołnierzy każdego lata kona w malignie i wśród drgawek!

- Tak, tu nie tylko oręż rdzewieje. - Conan doprawił herbatę winem. - Od zgnilizny i trądu ludziom odpadają palce u nóg. Ropiejące rany zatrują krew. Zwykle zadrażnienie strzałą wystarczy, by w tym klimacie wykończyć silnego człowieka. Mam szczęście, że to moje zadrapanie dobrze się goi. - Machnął zabandażowaną ręką przed oczami Jurny. - Ten piekielny parny skwar, deszcz i błoto wyciągają z ludzi siły tak niechybnie, jak gzy wysysają krew! Trzeba co najmniej dwóch lat, aby cywilizowany przybysz z Północy, niezdolny nawet poczuć, gdy wielka jak palec, żółta mrówka wgrzyza mu się w kark, nauczył się tu żyć.

- A co z tobą Conanie? - przerwał mu Jurna. - Czy będziesz twardy i dzielny? Dwa lata w Venjipurze? - Kushita patrzył na przyjaciela w zamyśleniu. - Jak zamierzasz zabezpieczyć się przed tymi wszystkimi niebezpieczeństwami? Raczy wielbłąd i wio na zachód, do Iranistanu?

Conan roześmiał się.

- Nie, Jumo. Ty i ja będziemy tu rozkwitać. Czyż nie widzisz, że każdy z niedostatków, o których mówiliśmy, oznacza poprawę naszego losu! Im więcej błędów popełniono w tej kampanii, tym większe dla nas szansę na awans. Możemy się wykazać. - Zmiał swój niemal pusty liściany talerz i wcisnął go do jednego z popękanych glinianych garnków. - Tu potrzeba śmiałych, trzeźwo patrzących oficerów, niezbyt głęboko wierzących w polityczne frazesy - czyli ludzi takich jak my - by trzymali rękę na pulsie, odnosili zwycięstwa, a także awansowali i zdobywali sławę. O to właśnie chodzi w podobnych wojnach, nieprawdaż?

- Więc... przypuścimy, że masz rację. - Jurna głośno beknął i poklepał się po pełnym brzuchu. Wysłuchiwał słów swojego gospodarza z chłodnym sceptycyzmem zawodowego oficera. - Co chciałbyś zrobić dla poprawienia naszej sytuacji?

- Co bym chciał zrobić? O, wiele rzeczy! - Rozgrzany tematem Conan wymachiwał kubkiem, obryzgując gościa kropelkami wina. - Jak już powiedziałem, korzystalbym z miejscowych dostaw żywności dla nakarmienia armii, aby nasze siły w Venji stały się samowystarczalne. Zatrudniłbym najlepszych, równie zdolnych jak Sariya, kucharzy i tutejszych znachorów, by dowiedzieć się, jakim cudem Hwongowie unikają chorób, które nękają nasze oddziały. A przede wszystkim zmieniłbym mundury i musztrę! No bo sam powiedz, jakie zastosowanie ma kawaleria w bagnach i dżungli? - Cymmerianin ściągnął brwi w niemal komicznym wyrazie skupienia. - Moglibyśmy stworzyć armię, która nie tylko wygrałaby wojnę, ale także pozostała tu później, by dopilnować dochowania warunków pokoju. I w dodatku żołnierze byłiby z tego zadowoleni! Ale te zmiany stanowiłyby tylko

drobną część...

Jurna nie potrafił się już dłużej powstrzymać i roześmiał się serdecznie.

- Stop, Conanie. Czy ty słyszysz, co wygadujesz? W jaki sposób chciałbyś dokonać tych cudów? Co drugi żołnierz i oficer walczyłby z tobą z całym zapalem, którego nie okazują wobec Hwongów. Niejeden z naszych wojowników jest zadowolony z obecnych porządków! Na przykład wyżywienie. Jaki Turańczyk zechciałby tknąć posiłek, który przed chwilą zjedliśmy? Większość nazwałaby takie potrawy nieczystymi. Nie bierz tego do siebie, Sariyo, ale to prawda. - Rzucił przepaszające spojrzenie gospodyni. Dziewczyna spokojnie siedziała obok nich, obserwując i słuchając z wyraźnym zainteresowaniem.

- Nie, Conanie - kontynuował Jurna. - Bywają na tym świecie sprawy, które mogą ulec tylko pogorszeniu. Obawiam się, że należy do nich ta kampania. Radzę ci, żebyś, zamiast szukać sławy, starał się nie rzucać tu w oczy. Na tyle, oczywiście, na ile ci się uda. Przestrzegaj niepisanych zasad i z mniejszą gorliwością wypełniaj rozkazy. Nie szukaj okazji, nie zgłaszaj się na ochotnika. - Kushita patrzył poważnie w oczy swego gospodarza. - Oto suma moich tutejszych doświadczeń. Na własnej skórze doznałeś skutków zwracania na siebie uwagi. - Potrząsnął głową. - Najgorsze, co może cię spotkać podczas tej wojny, to rola bohatera!

Conan roześmiał się, potrząsając dobrodusznym głową.

- Oj, Jumo, Jumo! Gdybym wierzył, że choć przez chwilę potrafiłbyś żyć zgodnie z tymi tchórzliwymi zasadami, straciłbym do ciebie serce! Ale wiem, że to nieprawda. I ty także to wiesz, nawet jeśli sądzisz, że działasz dla mojego dobra. - Przyjaźnie poklepał przyjaciela po ramieniu. - Dla ludzi takich jak my, Jumo, nie ma przeszkód nie do pokonania. Powiedz, czy grałeś kiedyś w cesarskie warcaby, tak jak to robią Stygijczycy? - Mrugnął porozumiewawczo do swego towarzysza. - Zgodnie z ich wersją gry, pionek posuwając się naprzód może zostać królem!

- Conanie, ja nie żartuję. - Jurna w napięciu wlepił wzrok w otwarte drzwi. - Wiesz, że niebezpiecznie jest nawet wspominać o takich sprawach, więc lepiej porozmawiajmy o czym innym. Czyż nie widzisz, że Venjipur syci się ludzkim cierpieniem. Nie zaspokoja go wszystkie armie Yildiza. Musimy uważać, byśmy nie zostali połknięci wraz z innymi ofiarami.

Gawędzili jeszcze, gdy lunął popołudniowy deszcz. Sariya wystawiła naczynia na podwórze, by je oczyściły ciężkie, siekące strugi. Siedzieli na ganku, otoczeni przezroczystą zasłoną wody, obserwując tworzące się na żółtej glinie kałuże.

Minęło sporo czasu, zanim ulewa ustała. Przez poszarpane jak górskie pasmo zwały chmur przedarło się zachodzące nad zatoką słońce. Juma ruszył w drogę powrotną do fortu, stąpając po płaskich kamieniach, tworzących ścieżkę w poprzek błotnistego podwórka. Conan wszedł do chaty i zarygłował mocne bambusowe drzwi. Sariya zniknęła już za kotarą, osłaniającą przejście do sąsiedniej izby. Cymmerianin podążył za dziewczyną.

Sypialnia tonęła w kwiatach. Wpleciono je w palmową strzechę, udekorowano nimi krokwie. Bukiety leżały na macie pokrywającej podłogę. W przyćmionym, wpadającym przez okno, świetle kwiaty zyskiwały nową urodę. Ich aromat przesycił powietrze o zapachu wilgotnej ziemi. Conan wiedział, że różowe lotosy, zdobiące sznury szerokiego hamaka, wydzielają opary łagodnego narkotyku. Ich zapach jeszcze bardziej pobudził zmysły Cymmerianina. Tymczasem Sariya z gracją wysunęła się z ciemnoniebieskiej szaty. W mroku jej ciało złociło się jak bursztyn, jaśniejsze niż zdobiące izbę kwiaty, pełne wdzięku najsmuklejszej z lilii.

Ruszył, by wziąć ją w objęcia, a ona zwróciła ku niemu twarz. Conan dostrzegł, że w czarne loki, tuż nad delikatną muszlą ucha, Sariya również wplotła różowy lotos. Upajający aromat kwiatu mieszał się z subtelnym zapachem kobiecego ciała. Rytmiczny ruch zawieszzonego w powietrzu łoża jedynie wzmagał podniecenie młodego wojownika, gdy połączyli się w gorączce namiętności.

Mijały dni. Sariya pogrążyła się w wytężonej pracy i równie wyczerpujących rozkoszach swej nowej egzystencji. Choć przez całą młodość odcięta od świata, niewiele o nim wiedziała, wyczuwała jednak instynktownie, że żaden mężczyzna nie dałby jej pełniejszego życia niż Conan. Smakowała więc wspólnie spędzany czas, starając się swymi umiejętnościami nagrodzić młodego wojownika i uprzyjemnić mu każdą chwilę, jakkolwiek długo to miało trwać.



Nieustannie czyhało na Cymmerianina niebezpieczeństwo, ale Sariya wierzyła, że Conan da sobie radę ze wszystkimi realnymi zagrożeniami. Wiedziała, że nocą, nawet po wyczerpujących zmaganiach miłosnych, spał nie mocniej niż pantera, drzemiąca na leśnej gałęzi. Dziewczyna często słyszała, jak jej kochanek budzi się, zaniepokojony cichymi odgłosami na zewnątrz chaty. Czasami ze zwierzęcą zwinnością, bezgłośnie wyślizgiwał się z hamaka, by wyjrzeć przez okno.

Pewnej nocy Conan zniknął z izby. Gdy powrócił, ujrzała połysk stali. Cymmerianin wytarł klingę sztyletu i wśliznął się na posłanie. Sariya poczuła zapach krwi. Wiedziała, że męstwo Conana albo ich obydwójce ocali, albo sprowokuje siły zbyt potężne, by można było skutecznie stawić im czoło. Niezależnie od wszystkiego, kochała go.

## VI

### Patrol

Mokre gałęzie uderzały w twarze jeźdźców. Z gumiatych liści ściekały ciepławe krople, które łączyły się w strużki, spływające po karkach i plecach. Wilgoć wywoływała ten sam efekt co ukąszenia owadów. Nie można się było jednak podrapać, bowiem pancerze osłaniały piersi i ramiona wojowników. Gdyby nie to nieznośne swędzenie, żaden z mężczyzn nie zwracałby uwagi na tę drobną niewygodę. Trudno obawiać się chłodu w dusznym upale dżungli.

Okryty cienką tkaniną grzbiet słonia kołysał się i falował jak morze. Od czasu do czasu giętka trąba węzowym ruchem sięgała w górę, pomiędzy korony drzew, by zerwać jakąś smakowicie wyglądającą gałązkę. Wtedy to właśnie słonawy przysznic zlewał jeźdźców.

- Uważaj na nasze głowy! - Conan ostrzegawczo klepnął zgarbione ramiona Thana, poganiacza słonia. Drobnym mężczyzną siedział poniżej, obejmując nogami kark zwierzęcia. Nie odczuwał więc tortury chłoszczących gałęzi.

- Obchodź drzewa szerszym łukiem - ostrzegł go Conan - albo rozwalę ci łeb!

Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, by jego gardłowa wymowa śpiewnego dialektu Venji została przez poganiacza zrozumiana. Tubylec zareagował jedynie wzruszeniem wątych ramion i machnięciem zakończonym spiżowym haczykiem ościenia. Ociężały rytm kroków zwierzęcia nie uległ żadnej zmianie, a gałęzie nadal chłostały twarze żołnierzy.

- Nie ma na to rady, sierżancie. - Łucznik Kalak, siedzący tuż za Conanem wymawiał wyrazy twardo, w sposób typowy dla Turańczyków. - Słonie cisną się pod drzewa dla ochłody i w poszukiwaniu pożywnych liści, które mogłyby zapełnić ich puste brzuchy. - Spojrzenia rzucające spod krzaczastych brwi świadczyły o znajomości rzeczy. - Poganiacze mają niewielki wpływ na trasę przemarszu. Krnąbrne zwierzęta dbają o swe interesy.

Conan zmarszczył brwi, wpatrując się przed siebie.

- To dobre dla nich, ale co z naszymi wrogami? Jak w tych warunkach możemy spostrzec pułapkę czy zasadzkę? - Uniósł rękę, by osłonić twarz przed chłoszczącymi liśćmi palmy. - Może by tak te przebiegłe słonie i nas miały na względzie!

- One? - Kalak uniósł czarne brwi. - One nie zwracają większej uwagi na walki pomiędzy ludźmi niż na potyczki pcheł na swych grzbietach! - Roześmiał się, zadowolony z własnego konceptu, a trzeci żołnierz, Muimur, zawtórował mu ze swego siedziska. Po chwili Kalak przywołał na twarz dawną beznamiętną minę. - Naprawdę, sierżancie, nie mamy się co obawiać pułapek. Jak już mówiłem, słonie dbają o swe interesy.

Conan mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi. Szanował Kalaka, choć wiedział, że namiętnością jego podwładnego był korzeń lotosu. Cymmerianin wyczuwał, że część tej łobuzerskiej wesołości miała swe źródło w narkotyku. Moment nie wydawał się jednak stosowny, by strofować odurzonego lotosem łucznika. Conan powrócił więc do obserwowania dżungli, cierpliwie znosząc napięcie i niewygodę podróży.

W wilgotnym upale wojownicy odziani byli tylko w to, co niezbędne. Wystawiali nagie ramiona i nogi na pastwę gzów i strzał wroga, a wszystko to w zamian za odrobinę ochłody i swobodę ruchu. Ufność pokładali w hełmach i pancernych napierśnikach. Wierzyli również, że potężne cielsko ich ogromnego

wierzchowca onieśmieli Hwongów. Po obu stronach ogromnego siodła zamontowane były uchwyty na kusze, które za pomocą długich dźwigni naciągano niemal błyskawicznie. Nasadki z kości słoniowej zabezpieczały strzały przed ześlizgnięciem się z cięciwy, dzięki czemu broń mogła działać także wymierzona stromo w dół, by siać śmierć wśród pieszych napastników. Olbrzymie zwierzę, którego dosiadał Cymmerianin, było pierwszym i największym z trzech słoni bojowych. Towarzyszyła im czterdziestka oszczepników i uzbrojonych w miecze żołnierzy Conana. Pochód zamykało czterech pachołków, wiodących konie na wpół żywe z powodu gorąca. W przypadku starcia z większymi siłami wroga, słonie i piechota miały stanąć do walki. W tym czasie natomiast jeźdźcy zawróciliby galopem do Fortu Sikander po posiłki. Taka taktyka dawała szansę na zwycięstwo.

Ale nawet podróżując na słoniach, skuleni za niskimi drewnianymi poręczami siedzisk i osłonięci przez groty włóczni i pęki strzał wojownicy nie czuli się bezpiecznie. Conan żywił nadzieję, że nie dojdzie do walki na tych dziwacznych, nierównych warunkach. Przeciwnicy nie powinni ryzykować działań zaczepnych. Niewielki oddział Hwongów mógł zostać wyróżniony lub wzięty w niewolę, a z drugiej strony małej grupie buntowników nie byłoby trudno uniknąć starcia. Zadaniem oddziału Conana było przeprowadzenie zwiadu na wzgórzach i zademonstrowanie siły imperatora w kilku odległych wioskach. Cymmerianin w głębi duszy wątpił w przydatność słoni do walki z dzikimi Hwongami w zalesionym terenie. Obawiał się za to strzelców wyborowych i ataków podjazdowych, na jakie wystawiał jego ludzi ten źle zaplanowany manewr strategiczny.

Na razie jednak dżungla nie wyglądała wrogo. Porośnięte drzewami stoki wzgórz i porzeczinane strumieniami dolinki drżały pod krokami szarych olbrzymów. Nie dający się przebić wzrokiem gąszcz krzewów, pnączy i koron drzew czasami się rozstępował, by ukazać dywany kwiatów, lśniące w powodzi promieni słonecznych. Patrol mijał również wioski - skupiska szałasów - drzemiące pośród pól ryżowych w bagnistych dolinach. Brązowoskórzy wieśniacy śledzili pochód obcego wojska smutnymi spojrzeniami, rzucanymi spod rozłożystych słomianych kapeluszy.

Zgodnie z rozkazem, oddział posuwał się na północ od fortu. Brakowało punktów orientacyjnych, więc Conan musiał zaufać poganiaczom słoni. Od czasu do czasu bezskutecznie wlepił wzrok w mapę, dostarczoną mu przez kapitana. Rzadko udawało mu się rozpoznać jakąś ścieżkę, biegnącą zakosami przez dżunglę. W pewnej chwili, gdy wpatrywał się w ziemię, dostrzegł kamienie starożytnej drogi. W pobliskiej gęstwinie prężyły się jak ślepi wartownicy pradawne rzeźbione obeliski. Conan rozejrzał się podejrzliwie. Nie był pewien, czy aby nie dotarli do świątyni, którą już raz zdobywał. Przed zakrętem kamienistej drogi idący z przodu słoń zatrzymał się. Jego długa trąba obmacywała rzeźbiony monolit, gęsto obrośnięty przez pnącza. Poganiacz nie czynił najmniejszego wysiłku, by popędzić zwierzę ościeniem. Siedział i cierpliwie czekał. W międzyczasie nadciągnął drugi ze słoni. Wyglądał jak demon dżungli, zakuty w nabijany miedzią pancerz. Różowy koniuszek trąby wysunął się, by z ciekawością zbadać zad tarasującego drogę zwierzęcia.

- Co te stworzenia wyczyniają? Dlaczego się zatrzymaliśmy? - Rzucając podejrzliwe spojrzenia wokoło, Conan próbował sformułować te pytania w języku Venji. Tymczasem jego słoń odgarnął długie pnącza i na zwietrzałym kamieniu ukazały się jakieś dziwne znaki. Cymmerianin dostrzegł, jak wilgotny koniuszek trąby ostrożnie obmacuje jeden z symboli reliefu - zapętłony, trójgraniasty kształt z opadającymi końcami.

- Pamiętajcie sierżancie, że to zwierzę jest prawdopodobnie wielokrotnie starsze od was i ode mnie - rozległ się tuż obok Conana poważny szept Kalaka. - Słonie także mają swoich bogów i pamiętają drogi dawnych mieszkańców lasu. Najlepiej pozwolić im złożyć hołd ich bóstwom.

Niepewny, czy nie robią z niego głupca, Cymmerianin zachował milczenie. Po chwili słoń porzucił starożytny obelisk i ruszył przed siebie. Kamiennego bruku nie było już widać. Conan obejrzał się. Dostrzegł, że miejsce jego zwierzęcia zajął następny słoń, który uniesioną trąbą przesunął po tym samym rzeźbionym znaku.

Polecił kornakowi zatrzymać zwierzę i zaczekać na pozostałe słonie, żeby kolumna nie uległa zbyt niemu rozciągnięciu. Wiedział, że piechurzy z radością przyjmą chwilę odpoczynku, gdyż słonie, choć ciężko uzbrojone i opancerzone, narzucały szybkie tempo marszu. Conan stanął w wyściełanym siedzisku, by rozprostować zdrętwiałe członki. Nagle zamarł. Między drzewami dostrzegł jakiś ruch. W ich kierunku ciągnął pochód krajowców. Kosze, które dźwigali na głowach

były wyraźnie widoczne wśród zieleni.

W niemym ostrzeżeniu Conan klepnął w ramię każdego ze swych towarzyszy, po czym szeptem wydał rozkazy. Muimur zsunął się na ziemię po opancerzonym boku zwierzęcia i przekazał dalej słowa dowódcy. Pozostałe słonie miały tarasować oba pobocza drogi, oddział oszczepników zaś zajął pozycję centralną. Dwóch konnych zawróciło z kopyta, by zawiadomić załogę fortu. Pozostali, zgodnie

Kornak - kierujący słoniem (od sanskryckiego karinajaka) z rozkazem, podjechali tak blisko, na ile zgodziły się ich płochliwe wierzchowce, i oczekiwali dalszych rozkazów.

Tymczasem Kalak zamontował i naciągnął kusze, podczas gdy Conan w napięciu obserwował ruchy domniemanego przeciwnika. Cymmerianin ponaglił Thana, by sprowadził słonia ze ścieżki pod osłonę wilgotnego listowia. Nie był to najlepszy pomysł. Zanim oddział Turańczyków znalazł się w polu widzenia, tubylców zaalarmował trzask łamanych przez słonie gałęzi.

Przecucie nie myliło Conana. To byli buntownicy - nadzy Hwongowie na czele uzbrojonych chłopów w zielonych kaftanach. Z okrzykami zaskoczenia zrzucili na ziemię wyładowane kosze i dobyli broni. W zwartym szyku zaczęli wycofywać się leśną ścieżką. Na tyłach kolumny rozbrzmiał ostry dźwięk świstawki, bez wątpienia sygnał ostrzegawczy.

- Naprzód, mężowie z Turanu! Śmierć naszym wrogom! - Okrzyk Conana zagłuszało siekące go po twarzy listowie. Than popędził słonia. Jednak oszczepnicy na ścieżce dosłyszeli rozkaz i sformowali oddział do ataku, odpowiadając wodzowi podnoszącym na duchu wrzaskiem. Popędzane przez kornaków słonie zaczęły ogłuszająco trąbić. Wysokie tony głosów wibrowały w uszach Conana. Rozłożyste drzewa zdawały się kulic i dygotać, rozkołysane przeraźliwym dźwiękiem. Przerażeni tym hałasem wieśniacy rzucali oręż i w panice przedzierali się przez gęstwinę.

Słoń Conana deptał po porzuconym ładunku. Kłocowate nogi miażdżyły i rozrywały worki z ryżem i bele zielonej tkaniny. Turańscy oszczepnicy, nie mogąc dorównać ciężkiemu kłusowi zwierzęcia, pozostali daleko z tyłu. Wkrótce Conanowi i jego towarzyszom udało się dopędzić ostatniego z uciekinierów. Wiejski chłopak w zielonym kaftanie biegł zataczając się i potykając. Krótki krzyk osaczonego przeszedł w głuche rżenie, kiedy ciężki olbrzym tratował mu ciało. Umykająca bezładnie gromada buntowników była już coraz bliżej. Po chwili pokryte spiżem kły dosięgły kolejnych ofiar. Masywna, ruchliwa trąba ciskała ludźmi o drzewa. W zgiełku tej jatki bestia ponownie wydała ogłuszający ryk, który przemienił wrzaski mordowanych w bezgłosną, przerażającą pantomimę. Przez cały ten czas drobniutki Than o komicznie opadających ramionach, obejmując nogami kark rozjuszonego potwora, łagodnie mruczał mu do ucha śpiewne słowa zachęty.

Conan miał wrażenie, jakby cwałował na obłoku, gdzieś wysoko ponad zaroślami dżungli i głowami uciekinierów, pośród obsypanych kwieciami pnaczy i węzlastych pni. Płynność ruchów olbrzyma pozwalała jeźdźcom uniknąć większych wstrząsów, choć słoń wściekle atakował i tratował swe ofiary. Raz po raz Conan sięgał po kuszę, lecz nim zdołał wycelować, upatrzony wróg konał już rozdeptany lub roztrzaskany o pień drzewa przez nienasyconą bestię.

- Lepiej używajcie bocznej kuszy, sierzancie - poradził Kalak. - Mierząc do przodu, ryzykujecie zranienie naszego wierzchowca albo, co równie niefortunne, kornaka.

- Tak, to racja. - Cymmerianin, napinając mięśnie nóg, by utrzymać równowagę na rozkołysanej podłodze siedziska, zdjął broń z metalowego uchwytu! - W każdym razie nie powinno nam zabraknąć obiektów, które można by wziąć na cel.

Patrzył przed siebie, tam gdzie wróg formował podwójny szereg z na wpół nagich wojowników plemienia Hwong. Nie wyglądało, by oddział ten zamierzał ustąpić z pola bitwy bez walki. Uzbrojeni w oszczepy, brązowe topory i kołczany ze strzałami, wojownicy zgrupowali się sprawnie po obu stronach drogi. W odróżnieniu od oszalałej ze strachu gromady wieśniaków, nie wykazywali nawet cienia lęku.

- To doświadczeni żołnierze - uznał Conan. - W tej sytuacji najlepiej przeprowadzić zmasowany atak. - Słoń Conana, choć zwolnił kroku podczas rzezi, znajdował się i tak znacznie bliżej wroga niż dwaj jego towarzysze. Na polecenie dowódcy Than zatrzymał zdyszane zwierzę. Czekali na oszczepników. Zgodnie z przesyłanymi sygnałami dwa pozostałe słonie również się zatrzymały.

- A teraz - za Tarima i Yildiza, na wroga! - Z oszczepnikami czającymi się w niskich zaroślach za jego plecami, Conan pchnął swego ogromnego

wierzchowca do ataku. Tym razem nieprzyjaciel sformował szyki po obu stronach drogi. Naciągając kuszę, Conan usłyszał brzęk ciężki Kalaka. Dwie strzały pomknęły w zarośla, ścinając gałęzie i uderzając z impetem w pnie drzew. W tym czasie Conan zdążył już ponownie naciągnąć ciężką i założyć na nią kolejny pocisk. Zza drzewa wytoczył się Hwong, krztusząc się i próbując wyrwać bełt wystający mu spod szyi.

Kilkanaście razy śmiertelne strzały zaświszczały nad głowami wojowników. Po chwili jednak bitwa przerodziła się w zwarte starcie. Z zarośli błysnęły długie włócznie, wymierzone w trąby i opancerzone łby słoń. Zniecierpliwione, prychające zwierzęta łamały drzewce dzid, a piechurzy Conana ruszyli z impetem do ataku. Than skierował swego słońa wzdłuż ścieżki, by uniknąć zmiążdżę - nią własnych żołnierzy. Całkiem nagle znaleźli się wśród kłębiących się nieprzyjaciół.

Porzuciwszy kusze, Conan i Kalak stanęli wyprostowani w siodle i zaczęli długimi włóczniami dźgać bezlitośnie wokół, by powstrzymać Hwongów i uzbrojonych wieśniaków od wspinania się na boki słońa. Topory i strzały wroga uderzały o napierśniki Turańczyków i świstały koło uszu. Na przedzie Than tłukł napastników ościeniem, a oszalały słoń, chwyciwszy trąbą zwiotczałe ciało jednego z buntowników, miotał nim na prawo i lewo. Wrzeszcząc Turańczycy parli do przodu. Trzeba było chronić zwierzęta przed zranieniem.

Mimo że otoczeni, buntownicy nie załamali się i nie uciekli. Niektórzy skryli się za zwartą, tarasującą ścieżkę zaporą oszczepów. Inni natomiast rozpląnęli się w dżungli, by zaatakować tyły wroga.

- Bismillah! - krzyknął Kalak. - Nigdy nie widziałem takich hord tych przeklętych małp. - Conan podążył wzrokiem za jego wskazującym coś palcem. Dziesiątki głów i ramion poruszało się wśród paproci. Nowe oddziały buntowników napływały w kierunku pola bitwy.

- Na Croma! Musieliśmy niechcący trafić na zgrupowanie armii. - Conan odwrócił się szukając wzrokiem swego drugiego towarzysza. - Muimurze, wyślij konnych do fortu. Niech zawiadomią kapitana, że będzie nam potrzebna cała kawaleria i więcej słońi. Piechota zresztą też, bo zapowiada się długa walka.

Muimur, przekazawszy rozkaz, krzyknął w stronę dowódcy. - Dawno już odjechali, sierżancie! Szarif żądał, by kawaleria wycofała się, gdy tylko napotkamy silniejszy opór.

- Na wściekle diabły Asury! Żadnego z nich pożytku, tylko żrą siano... Więc poślij biegaczy! - Korzystając z chwilowego osłabienia naporu przeciwnika, Conan odłożył włócznie. - Znajdź ludzi znających najkrótszą drogę do Sikander. Upewnij się, czy przekażą Muradowi wiadomość, że walczymy z co najmniej tysiącem wojowników Hwong.

- Tak jest, sierżancie! - Muimur biegiem ruszył z powrotem. Nim Conan mógł przyjrzeć się, jak wykonane zostaną rozkazy, zza zarośli wyłonił się nowy szereg wrogich oszczepów. Cymmerianin powrócił do walki, dźgając i odpierając napastników, którzy starali się omijać szerokim łukiem śmiertelną trąbę i kły słońa.

Bitwa stawała się coraz bardziej zażarta. Karność i szyk bojowy Turańczyków praktycznie nie miały znaczenia w terenie gęsto porośniętym drzewami i ciernistymi zaroślami. Wojownicy Hwong obrali taktykę zasadzki. Wyczekiwali aż nadciągający oddział rozdzieli się, by wyminąć przeszkodę i wówczas wypadali z oszczepami i maczetami na osłabione siły przeciwnika. Pancerni przybyszów z Północy dobrze chronili przed ciosami, ale mimo to trup siał się gęsto. Buntownicy zdawali się nie zważać na to, że śmierć jednego Turańczyka okupują kilkoma własnymi ofiarami.

Conan obserwował, jak trzech jego ludzi, potrząsając oszczepami, rzuca się pod pokryte różowym kwieciami drzewo. Po chwili chwiejnym krokiem powróciło tylko dwóch.

- Na Mitrę! Musimy wspomóc atak! - krzyknął Cymmerianin do Kalaka, który spokojnie naciągał kuszę. - Te słońie nie nadają się do odwrotu. W rozpędzie strata naszych ludzi, gdy tylko przekłęci Hwongowie zaczną dźgać je oszczepami. Musimy przeć przed siebie!

- Tak jest! To jedyny sensowny plan. - Kalak wypuścił strzałę w kotłujący się tłum wrogów i znów sięgnął do dźwigni kuszy. - Ale te małpy nie chcą się rozproszyć! Zawracają i walczą jak nigdy dotąd, niech Tarim wysuszy ich żółte skóry!

- Ten zwarty szyk może ich jeszcze drogo kosztować - Conan wyszczerzył

zęby w mściwym uśmiechu. Odłożywszy włócznię, wychylił się w stronę kornaka i przemówił w dialekcie Venji. - Thanie, utknęliśmy tu, a wróg atakuje. Czy możesz nakierować zwierzę w środek ich oddziału?

Odwrociwszy się ku dowódcy z tajemniczym uśmiechem, wąty mężczyzna sięgnął do przedniej osłony szerokiego drewnianego siedziska. Odwiązał troki przytrzymujące wielką płachtę. Jedno szarpnięcie odsłoniło spiżową broń o szerokim ostrzu, której obecności Conan nawet nie podejrzewał. Za pomocą haczykowatego ościenia Than naprowadził potężną trąbę słonia w tył, aż na swe ramię. Trąba przesunęła się węzowym ruchem przez wyściełany aksamitem pierścień, owinęła wokół zabezpieczonej rzemieniami rękojeści i wzniosła wysoko w powietrze połyskujące ostrze. Pomruk zgrozy rozległ się wśród walczących. Olbrzymie zwierzę z rykiem ruszyło przed siebie poza osłonę własnych oddziałów.

Buntownicy próbowali zbiec przed niechybną rzezią, ale okazało się, że własne ich siły blokują drogę. Nie było dokąd wycofać się. A prosto na nich parł słoń, wznosząc swój oręż.

W ciągu kilkudziesięciu sekund pierwszy szereg został przełamany ciosami wielkiego bojowego topora. Długie, podwójne ostrze o szerokości równej rozpiętości ramion wojownika ćwiartowało ciała ofiar i rozcinało drzewca włóczni tak gładko, jak kosa ścina kłosa zboża. Ludzie krzyczeli, tryskały fontanny krwi. Zanim reszta oddziału Hwongów mogła zareagować, słoń dopadł ich, tratując na równi żywych i martwych, tnąc i siekąc zakrwawionym, ogromnym ostrzem.

Z rozkołysanego stanowiska na grzbiecie olbrzyma Turańczycy dźgali wrogów nieporęcznymi włóczniami, przesywając ofiarę po ofierze, niczym Ogarnięci szalem rybacy polujący ościeniami na łososie. Podczas całej tej przerażającej jatki niemal nikt nie atakował Conana i jego towarzyszy. Po chwili poprzez zgiełk dały się słyszeć nowe krzyki przerażenia. To nadciągały pozostałe słonie.

- Musimy wyrwać się z tego tłoku! - Conan dysząc szarpał za włócznię, która zbyt głęboko utkwiła w ludzkim mięsie. Wreszcie dał spokój i sięgnął po nową dzidę. - Jeśli pozwolimy słoniowi poprzedzać linię piechoty, wróg nie zdoła się przegrupować i nasi ludzie będą mogli wyciąć Hwongów w pień.

W tym momencie słoń Cymmerianina pośliznął się i potknął o stertę zakrwawionych ciał. Zatoczywszy się, pomiędzy uciekających ludzi, olbrzym uderzył głową w małe drzewko, które ugięło się pod siłą zderzenia. Wyczerpane zwierzę puściło topór. Wielkie cielsko drżało, boki unosił mu ciężki oddech. Panczerze okrywające czoło i pierś ociekały krwią. Tymczasem gromada buntowników rozpieczęła się w bezładzie. Niektórzy wycofywali się drogą, inni próbowali się zaszyć w dżungli. Z tyłu napierała falanga Turańczyków ze śpiewem na ustach.

- Nie możemy posuwać się tą drogą, póki okoliczne chaszczki nie zostaną oczyszczone z Hwongów - Conan wydawał dyspozycje piechocie. - Kiedy to dzielne zwierzę odpocznie, rozpędzimy resztę oddziałów rebelianckich. Ale strzeżcie się kontrataków wroga. Zanim nadejdą posiłki, czeka nas jeszcze długa walka.

Kilka godzin później Conan był świadkiem śmierci Muimura. Oszczep przebił mu bok, prześliznął się pomiędzy napierśnikiem a pancerzem chroniącym plecy. Kalak zgiął już wcześniej, trafiony w oko zatrutą krótką strzałą. Strąciwszy na ziemię ciała poległych, Conan samotnie, jedynie z Thanem skulonym na karku słonia, kontynuował wielokierunkowy atak. Ostatnie, a więc bezcenne, strzały wymierzał w ciemne kształty przemykające pośród drzew. Nie wiedział, ilu ludzi zabił tego dnia, korzystając jedynie z siły własnych rąk. Nie próbował nawet oszacować ogromu zniszczeń dokonanych przez słonia. Zdyscyplinowany oddział Turańczyków kurczył się gwałtownie. W końcu jeden ze słoni padł od oszczepów. W pobliżu nie było widać żadnego miejsca, gdzie można by się rozłożyć obozem i obwarować. Zdaje się, myślał znużony Cymmerianin, iż nadszedł czas, by sformować otaczający słonie czworobok i czekać na zapadnięcie nocy.

Kolejny już raz tego dnia jego znużony wierzchowiec przystanął, by się napić z płytkiego strumienia. Pochłoniwszy chyba z beczkę wody, wznosił wygiętą trąbę i wypuścił w górę potężny prysznic, mocząc siebie i Conana. Poprzez oślepiające strugi Cymmerianin dojrzał, jak Than, ugodzony ciosem włóczni, zsuwa się z karku słonia. Chwycił więc z krzykiem miecz i poderwał się z siedziska. W tym momencie ostrze oszczepu przeszło mu udo. Skrobiąc boleśnie po kości metal przebił się na wskroś przez ciało.

Upadając, Conan zdażył jeszcze roztrzaskać jataganem twarz oszczepnika. Chwilę potem uderzył twardo o ziemię. Krzyknął przeraźliwie, gdy drzewce

oszczepu przesunęło się i mocniej wbiło w nogę. Mimo bólu, który nieomal odbierał mu przytomność, niejasno zdał sobie sprawę, że słoń wypluł resztę wody i szarżuje na atakującego go z dzikim wrzaskiem Hwonga. Zwierzę uniosło wojownika w górę i pozwoliło mu miotać się w ciasnym zacisku trąby, Conan nie myślał dłużej o Thanie. W ogóle nie zwracał już na nic uwagi, bo mocny spazm bólu wgrzyzał mu w ciało wilcze kły.

Ból przeszywał wszystkie jego członki, pałac jak gorący kwas wlany w żyły. Z gardła Conana wyrzywały się bolesne jęki. Starał się odzyskać panowanie nad sobą i zmniejszyć dręczący nacisk drzewca na rozdarte mięśnie.

Walcząc z własną niemocą, Cymmerianin zdołał przyjąć pozycję siedzącą i wbić oszczep w ciało konającego napastnika. Tuzin ciosów jatagana, z których każdy odzywał się boleśnie w poranionej nodze, wystarczył do przecięcia twardego drzewca. Conan upadł na plecy. Z nogi wciąż wystawał mu długi na łokieć oskołek oszczepu, owinięty sznurkiem i zakończony spiżowym grotem. Próba wyciągnięcia go z rany mogła spowodować obfity krwotok. Pogrzebawszy chwilę przy pasie Conan zdołał rozsypać rzemienie, na których zawieszał miecz. Owinał je wokół zakrwawionego uda, przesunął koniec rzemienia przez sprzączkę i zacisnął. Potem powoli dociągał węzły, aż poczuł z bólu zawroty głowy. Sięgnawszy oburącz do zgiętej nogi, chwycił owinięte sznurkiem drzewce tuż nad grotem. Pociągnął silnie. Ochryply jęk wydobył się spomiędzy zaciśniętych zębów wojownika. Obłamany kikut oszczepu stopniowo się przesunął. Ostatnie zgrubienie na bambusowym drzewcu pojawiło się pomiędzy rozszerzonymi, zakrwawionymi brzegami rany. Potem czarny ból napłynął falą gdzieś z głębi trzewi, zaćmiewając wzrok. Conan stracił przytomność.

Szarif Jefar czekał niespokojnie u bram fortu, obserwując jak czarna dżungla staje się jeszcze ciemniejsza na tle purpurowiejącego nieba. Nie mógł ustać w miejscu, ale pod osłaniającym wjazd daszkiem nie było dość przestrzeni na spacer. Szarif dawał więc upust zdenerwowaniu, przemawiając do stojącego obok Murada.

- Żadnego ruchu. Nie widać ani naszych, ani wroga. I żadnych więcej posłańców. - Twarze rozmawiających szarą plamą majaczyły w zmierzchu. - Może powinniśmy wysłać kompanię słońi z pochodniami na poszukiwanie zagubionych oddziałów?

- Nie zalecałbym tego. Mały oddział łatwo mógłby wpaść w zasadzkę. - W głosie Murada, choć cichym i pełnym rezerwy, pobrzmiwały znużenie i irytacja. - Błędem jest wysłać poszczególne jednostki. Należało skierować do dżungli główne siły już w południe, by wesprzeć nasz patrol. Tak jak radziłem.

- Wciąż twierdzą, że byłaby to decyzja zbyt pochopna! - Młody szarif potrząsnął z uporem głową, jego karmazynowy turban wyłonił się z półmroku. - Gońcy twierdzili, że nie ma takiej potrzeby. Trzydziestu jeźdźców, których wysłaliśmy, powinno było wystarczyć do pokonania nieprzyjaciela.

- Być może. Jeśli założymy, że zdołali odnaleźć nasz patrol w dżungli. - Murad mówił powściągliwie, powoli odmierzając słowa. - Lecz w takim razie, co począć z relacją posłańca, który dotarł ranny do fortu. Według jego słów oddział Conana stawił czoła pięciu tysiącom Hwongów?

- Bzdura! Majaczył pod wpływem trucizny, która też go zabiła. A jeśli nawet mówił prawdę, to co? Ten niesubordynowany czarny oficer - Jurna mu chyba? - nalegał, by ruszyć wszystkimi siłami na pomoc. Nie mogłem na to zezwolić. - Szarif w zdenerwowaniu nie usiłował nawet ściszyć głosu. - Pamiętajcie kapitanie, że stoimy w obliczu niebezpieczeństw większych niż zasadzki w dżungli! Ta potyczka może być jedynie podstępem dla wywabienia nas z fortu. - Jakiż to mógł być podstęp? Trasę patrolu ustaliliśmy dopiero dziś wczesnym rankiem? - Murad z trudem hamował rozdrażnienie. - Czy nie rozumie pan głównej zalety fortu? Kilka oddziałów może bronić go przez dłuższy czas? Powinien był pan wesprzeć swój patrol siłą całego pułku, tak jak to zostało zaplanowane. Zapewne ludzie Conana spotkali w dżungli armię Hwongów i zostali przez nią zmieceni. I to wraz z tą niewielką ilością konnicy i piechoty, jaką ich wsparło. Marna taktyka - działać półśrodkami.

Szarif Jefar obrócił dumne spojrzenie na kapitana.

- Prezentujecie jeszcze mniej skuteczną taktykę, kapitanie, przemawiając w ten sposób do waszego przełożonego. To prawda, nabyliście pewnych doświadczeń dzięki długoletniej służbie. Lecz przypominam wam, że moja biegłość w sprawach wojny jest większa, bo dziedziczę ją po szlachetnie urodzonych przodkach! -

Arogancja Jefara wynikała w dużej mierze z faktu, iż poważne spojrzenie szarych oczu kapitana przesłaniał zapadający mrok.

Uspokojony brakiem sprzeciwu ze strony podwładnego szarifa powrócił do tematu. - W każdym razie, nawet jeśli założymy, że ten waleczny dureń i garstka jego żołnierzy nie żyją albo że utracili wzięte na patrol słonie, możemy stwierdzić: małe ryzyko, mała strata! Oficer musi godzić się ze śmiercią żołnierzy. To wasze słowa, kapitanie.

Murad skinął przytakująco, uważnie obserwując Jefara.

- Tak, święta prawda. A co z tajnymi rozkazami, które dzisiaj przekazano?

Ściągnawszy brwi, Jefar roześmiał się sarkastycznie.

- Możecie to sobie wyobrazić? Otrzymaliśmy instrukcje, by dobrze dbać o tego barbarzyńcę. On ma podobno jakieś niesamowite wpływy na dworze! Pytam więc, czyż jakkolwiek rozkaz mógł być bardziej zadziwiający albo wydany w gorszym momencie? - Odchrząknął chrapliwie. - Ale w dalszym ciągu obstaję przy opinii, że śmierć Conana to niewielka strata. Możemy powiedzieć Abolhassanowi, że jego pupilek umarł jak bohater. Prawdę powiedziawszy, to czuję się z tym nawet lepiej. - Nie zniósłbym okazywania niedomytemu dzikusowi jakichś specjalnych względów. Ale zaraz, co tam się rusza? - Wpatrzył się w przestrzeń ponad ociosanymi czubkami palisady. - Hej, ty tam, stać!

Okrzyk szarifa spowodował poruszenie na wieżach strażniczych. - Przez całe popołudnie garnizon trwał w stanie alarmu, a mieszkańcy osady i obozu zostali wezwani do fortu. Niemal natychmiast do Jefara i Murada dołączyło kilku wartowników z pochodniami. Ich światło wydobyło z mroku zbliżającego się słonia. Obszarpany i schlapany krwią, włókł się ociężałe krokami, które dudniły ociężałe na ubitej ziemi.

- To nasze zwierzę - poznał Murad - chyba że buntownicy ozdobili jednego ze swoich rzędem cesarskiej armii. Nie widzę kornaka, więc uważajcie na złe moce i czary. Wycelujcie w słonia balistę, ale miejcie też na oku skraj dżungli!

Gdzieś spomiędzy zarośli głęboki, donośny głos zawołał:

- Kapitanie, nie strzelajcie! - Z mroku wyłoniła się następna postać. Czarna skóra przybysza wtapiała się niemal w ciemną ścianę dżungli.

- Kto idzie? - krzyknęli strażnicy, unosząc kusze.

- Sierżant Jurna. Ze swoim oddziałem i niedobitkami patrolu. - Jurnie brakło tchu ze zmęczenia. Jego broń zabrzczała, gdy zwolnił kroku. - Podążaliśmy za tym zwierzęciem. Nie byliśmy w stanie nim kierować. - W miarę jak czarnoskóry oficer zbliżał się do bram fortu, oczom zgromadzonych ukazał się chwiejny szereg idących za nim postaci w turbanach. - Ale to on nas uratował przed błędzeniem nocą po dżungli.

- Panie, w siedzisku są jacyś ludzie! - krzyknął wartownik z palisady, spoglądając w dół na słonia, gdy ten zatrzymał się przed bramą. - Dwóch. Chyba martwi.

Ochryply głos Jefara wzniósł się nad pomruki żołnierzy.

- Hej, sierżancie, o ile to rzeczywiście wy! Pokaż się ze swoimi ludźmi w świetle pochodni. Wtedy zdecydujemy, czy otworzyć bramę.

Po krótkich oględzinach niedobitków wpuszczono do fortu. Słoń, uspokojony przez jednego z kornaków, dał się namówić do ukłęknięcia. Ciała, które przywiózł, zostały złożone na wzniesionej na placu drewnianej platformie, by można je było obejrzeć w jasnym blasku pochodni.

- To kornak Than, jeden z naszych najlepszych. - Murad w przygnębieniu pochylił pobladłą twarz. - Pierś przeszyta oszczepem. Zwierzęta są wierne. Często podnoszą rannych kornaków i próbują unieść ich z pola bitwy. Atu - kapitan sięgnął, by odgarnąć czarne włosy ze śmiertelnie bladej twarzy drugiej ofiary - tu jest Conan, oficer patrolu we własnej osobie! Chyba wykrwawiony na śmierć z rany na udzie albo - co bardziej prawdopodobne - zgłodzony zatruta strzałą. Musiał umrzeć na swym stanowisku dowodzenia. - Smutna strata. - Szarifa Jefar obrócił się tyłem do platformy, by popatrzeć w twarze zgromadzonych żołnierzy. - W dalszym ciągu powtarzam, że stało się to podczas zacieklej potyczki, zakończonej wyróżnieniem małego lecz opornego oddziału wroga. Wysoka cena, ale nie nazbyt wysoka, gdy chodzi o chwałę nasz...

- Nędzny tchórz! - Grobowy głos rozległ się tuż za plecami szarifa, a blada dłoń zacisnęła się na jego ramieniu.

- Obiecałeś nam wsparcie! Walczyliśmy cały dzień... Patrzyłem na śmierć swoich ludzi!

Żołnierze zastygli w osłupieniu. Do jednej upiornej ręki wnet dołączyła druga, sięgając ku szyi szarifa. Jednocześnie trupioblada, ledwie przypominająca ludzką twarz, zbliżała się do jego ucha. - Gdzie są te posiłki, łajdaku? Dlaczego nas zdradził?

- Dość! Powstrzymajcie go natychmiast!

Murad przyskoczył do boku szarifa Jefara, gestami przyzywając na pomoc żołnierzy. Usiłował przytrzymać rozwścieczonego rannego i rozewrzeć mu palce, zaciśnięte na gardle dowódcy. Jurna, mamrocząc uspokajające słowa do współprzycimnego Conana, siłą ułożył go z powrotem na deskach.

- Trzymajcie go i uciszcie to bredzenie! - kapitan uderzył w plecy poczerwieniałego na twarzy szarifa, by pomóc mu złapać dech. - Chłop oszalał od zatrutego oszczepu! Zajmijcie się nim i uratujcie, jeśli jest jeszcze co ratować.

- Tak jest, spróbujemy - odrzekł Jurna, klepiąc Conana w ramię.

- Aarghh! - Jefar wydawał okrzyki gniewu czy też przerażenia, ale gardło miał jeszcze zbyt ściśnięte, by wydobyć zeń jakiś artykułowany dźwięk.

- Zabierzcie go do lazaretu. Cymmerianina nie szarifa - dodał Murad, przytrzymując szalejącego z furii oficera. I strzeżcie go dobrze. Biedak, bez wątpienia utraci nogę!

## VII

### Wojna czarnoksiężników

- A więc, Ibn Uluthanie, jak tam twoje czary? - Generał Abolhassan krążył pomiędzy skrzyniami i stołami, zastawiającymi zdobione w gwiazdki płyty posadzki Dworu Proroków. - Eunuchowie mówią, że magia Venji wciąż opiera się waszym wysiłkom. - Zatrzymawszy się pod odbijającą głos kopułą, oficer w czarnym turbanie splótł ręce na piersi i zastygł we władczej pozie. - Czy ty i twoi uczniowie możecie przewidzieć chociażby dzień, w którym przyczynicie się do naszego zwycięstwa?

Azhar i pomniejsi akolici lekliwie pochylili głowy nad zwojami i magicznymi amuletami. Lecz mistrz Ibn Uluthan tylko się zirytował. Znad rzeźbionego pulpitu i leżącej na nim sterty pożółkłych kart z wyższością zerknął na agresywnego natręta.

- Nie, Abolhassanie. Przyznaję, że uczyniliśmy niewielkie postępy, ku żalowi twego pana i całego kraju. - Błady, z oczami podkrażonymi od całonocnego czuwania mag przyjrzał się sceptycznie gościowi, któremu dorównywał wzrostem, jeśli nie siłą fizyczną. - Chociaż my, w odróżnieniu od niektórych znanych nam osób, pracujemy z poświęceniem i jesteśmy oddani naszemu imperatorowi. Uciekamy się do wszelkich dostępnych nam środków - Uluthan wyciągnął rękę, wskazując stoły zasłane księgami i czarnoksiężskimi przedmiotami. - Nie mogę na pewno twierdzić, że nasze wysiłki zostaną uwieńczone szybkim i łatwym sukcesem. Tak samo jak nie widzę powodu, dla którego nasz i imperatora dotychczasowy brak szczęścia miałby być źródłem niezdrowych i niepoważnych komentarzy.

- Ależ, Ibn Uluthanie, nie chciałem cię urazić. - Abolhassan wzruszył szerokimi ramionami. - Nawet jeśli czasami twierdziłem, że pochodzące z cesarskiego skarbcza wsparcie dla twych tajemnych poczynań może być... nadmierne... nie chciałem, byś myślał, że kwestionuję twoją szczerość. - Uśmiech generała nabrał pobłażliwości. - Pragnę jedynie wyrazić zaskoczenie, że tak znakomity mag jak ty nie potrafi sobie poradzić z prymitywnymi zabobonami i fetyszami z wysuszonych jaszczurek!

- Mój dobry generale - cierpliwie zaczął wyjaśniać Ibn Uluthan - siły nadprzyrodzone nie tracą swych mocy przez wieki. Lud Venji rządził potężnym imperium. Świadczą o tym ruiny ich świątyń. W odległej przeszłości niektóre z ich dynastii mogły śmiało konkurować z władcami Turanu lub nawet przewyższać nas splendorem. - Mędrzec potrząsnął głową. - Ale wpływy dawnych mocy w końcu zanikają. Największą przeszkodą w ich zwalczaniu jest odległość dzieląca Aghrapur od Venjipuru.

Ibn Uluthan zamyślił się. Po chwili jednak sam podjął temat.

- Siedliskiem najwyższej mocy jest Aghrapur. Trudno się nią posiłkować w dzikiej krainie o małej liczbie mieszkańców i jeszcze mniejszej ilości Wiernych, gdzie brak prawdziwych świątyń i relikwii, a ziemi nie przemierzały błogosławione stopy naszych mistyków. Venjipur to kraniec świata, rządzony przez



dawne bóstwa żywiołów, którym służy podły Mbjurna, ten kraczący prorok. Oczywiście, dla nas tutaj taki pogański kult nie stanowi wielkiego niebezpieczeństwa. Jakoś nie widać demonów dżungli grasujących po ulicach Aghrapuru. Nasze wyliczenia astrologiczne odznaczają się dużym stopniem dokładności, a przepowiednie mają niekwestionowaną wartość w całym imperium. Prawdę powiedziawszy, nasza moc jest nie do pokonania. Poza przypadkiem, kiedy próbujemy ją wykorzystać na południu kraju, na tym przeklętym wybrzeżu Tarqhebanu!

Nieobecne spojrzenie czarnoksiężnika przesunęło się po komnacie aż do wysokiego okna w czarnej ramie. Otulał je mrok, rozjaśniany jedynie przez bladziutką poświatę. W jego ciemnej głębi można było jednak dojrzeć nikły, ledwie widoczny obraz wysadzanej klejnotami czaszki.

- Bardzo dobrze, Ibn Uluthanie. - Niski głos Abolhassana pobrzmiwał lekkim zdziwieniem. - Dziękuję za wyjaśnienia o wiele bardziej wyczerpujące niż mogłem tego oczekiwać. Ciekawi mnie jedynie, czy zdołasz pokonać moc Mojurny. I kiedy znowu imperator Yildiz będzie mógł w tej komnacie zobaczyć na własne oczy wydarzenia zachodzące w odległym Venjipurze.

- Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie wiem. - Ibn Uluthan odwrócił się plecami do gościa, pochylając się ponownie nad pulpitem. - Ale z błogosławieństwem Tarima i przy łaskawości imperatora Yildiza nasze wysiłki będą kontynuowane. Nieuchronnie pokonamy podstawowe problemy dzięki pracy i dociekliwości. Możesz oczekiwać przełomu. Ale jeszcze nie w tej chwili.

- Dziękuję, czarnoksiężniku. Tego się spodziewałem. - Nie okazawszy niezadowolenia, Abolhassan obrócił się na pięcie i opuścił komnatę.

Oczywiście, mówił sobie, przemierzając zewnętrzne galerie, czary miały być znacznym udogodnieniem. Nadzór nad linią frontu, nawet bezpośrednio dowodzenie, powinny zainteresować wszystkich uwikłanych w tę kampanię, szczególnie tego obmierzłego intryganta Yildiza. Ale obecna sytuacja, opóźnienia i błędzenie po manowcach, przynosi pożytki, które on, Abolhassan, ma wyjątkową szansę wykorzystać.

Porzucając cień ażurowej pergoli, generał wielkimi krokami ruszył w słonecznym żarze do zdobionych złotem arkad. Chłodne, przesycone zapachem perfum korytarze pałacu znowu go pochłonęły, a łagodnie opadające pochylnie przywiodły do krążganków budynku sądu.

Od świtu do późnej nocy sale te rozbrzmiewały setkami głosów. Rozsądzano sprawy państwowe, spory kupców, niesnaski rodzinne. Wnoszono petycje, wpłacano poręczenia. Jurysdykcja, stanowiąca formalnie domenę imperatora, znajdowała się w rękach eunuchów, którzy sądzili, orzekali i wymuszali kaucje i opłaty.

Abolhassan starał się unikać korytarzy publicznych, gdzie tłoczył się tłum zakutych w kajdany przestępców, procesujących się sklepikarzy i pastuchów kóz i umilających sobie czas grą w kości adwokatów. Mundur generała i jego wyniosła postawa mogły tu wywołać wścibskie spojrzenia lub natrętne błagania o wstawiennictwo. Na szczęście spotkanie, na które teraz spieszył, miało miejsce w Dworze Protokołu, wielkiej wewnętrznej galerii, zarezerwowanej na ceremonie z udziałem Jego Światłości i najwyższych satrapów.

Gwardziści pałacowi, strzegący podwójnych drzwi Dworu, bez słowa przepuścili Abolhassana. Wszedłszy do sali obrad, generał został zaskoczony ostrym tonem toczącej się właśnie dysputy. - Namawiasz naszych synów i braci, by wstępowali do armii albo przemocą ich wcielasz! Posyłasz ich na śmierć z dala od domów i bliskich! Uczysz ich mordować i łupić. Ich serca nigdy już nie zaznają pokój u i łaski Tarima! - Zarzuty te wygłaszała kobieta - bogato ubrana i atrakcyjna. Abolhassan rozpoznał ją dzięki jasnym, rozpuszczonym włosom. Nie pierwszy już raz należała do delegacji obywatelskiej.

Adresat tej diaryby siedział samotnie na tronie i wyglądał niemal żałośnie. Był to sam imperator Yildiz. Wyraźnie nie zważając na boskość monarchy, kobieta ciągnęła dalej.

- Pytam cię, Najjaśniejszy, czy zastanawiasz się nad ceną wypraw do dzikich krajów, takich jak Venjipur? To nie tylko cena życia żołnierzy, ale także cierpień i nienawiści ich rodzin. A co z robotami publicznymi, które zostały odłożone, z rozpoczętymi świątyniami i drogami? Czy te potrzeby dnia codziennego są mniej ważne od składania dowodów bohaterstwa w jakiejś odległej dżicy?

Zawsze nosi rozpuszczone włosy, przypominał sobie Abolhassan. Teraz kontrastowały one swą barwą z ufryzowanymi czarnymi i brązowymi perukami

obecnych w sali dam dworu. Uroda lady Irilyi, młodej i zgrabnej, w sukni z błękitnego jedwabiu i haftowanym złotem szalu, jednocześnie zwracała uwagę, jak i łagodziła wymowę gniewnej argumentacji. Na widok tej kobiety, generał odczuwał kotłującą się otchłań furii. Przyglądał się więc mówczyni uważnie i z nienawiścią.

- Ależ zaraz, droga pani. Ach, generale, nareszcie przybyłeś! - Yildiz pochylił się ku Abolhassanowi z nie ukrywaną ulgą. - Próbowałem zapewnić lady Irilyę o mądrości i długofalowych zamierzeniach naszej polityki w południowej części kraju. Przybyłe tu panie są głęboko zaniepokojone. I, muszę przyznać, dobrze poinformowane. - Imperator zaśmiał się nerwowo. Tymczasem Irilya usiadła na wyściełanym taborecie. - Wyjaśniałem im siły rządzące imperium. Fale podboju muszą albo płynąć naprzód, albo się cofać. Powiedziałem, że skoro mocarny ocean nigdy nie spoczywa, nam też nie godzi się lenić! Stan gotowości bojowej jest niezbędny nie tylko, by zająć nowe terytoria, ale by podtrzymać ducha walki tutaj, w kraju i w każdym z naszych wiernych turańskich serc.

- Nie grozi nam upadek ducha. - Abolhassan z lekka się skłonił i mierząc wzrokiem Irilyę, zajął miejsce obok imperatora. - Ale, czego te szlachetne damy mogą nie rozumieć, stale narasta zagrożenie ze strony barbarzyńców. Ci, którzy nie uczyli się przez całe życie czytania map, z trudem pojmują niebezpieczeństwa wynikające z geograficznego położenia Turanu. - Szare oczy generała przesunęły się od Irilyi ku pozostałym delegatkom z ostrzegawczym błyskiem. - Ze wszystkich stron, drogie panie, otaczają nas barbarzyńskie hordy, które tylko czekają na pierwszy objaw naszej słabości, najmniejsze pęknięcie opoki naszego imperium. Wszystkie wielkie mocarstwa, jak uczy historia, gdy tylko zapomniały o tym zagrożeniu, zostawały podbite. Ich miasta rujnowano, świątynie profanowano, a trony i ołtarze zajmowali odziani w skóry dzicy! Jeśli nie będziemy się mieć na baczności przed tym odwiecznym zagrożeniem to cóż... narażona zostanie nawet święta cnota turańskich kobiet...

- Dość, generale! Słyszałam to już wcześniej. - Irilya, zerwawszy się na równe nogi, nie okazywała ani odrobiny konsternacji. - Ja, osobiście, nie muszę szukać tak daleko zagrożeń dla naszego dobrobytu. Martwi mnie wzrost potęgi kasty wojskowych w naszym własnym kraju. - Oczy jej i Abolhassana zwały się w niemy starciu. - Czy rozjątrzenie przygranicznych konfliktów nie rodzi niebezpieczeństwa, że jedna z tych małych wojenek doprowadzi wreszcie do konfliktu z ludem dzikim i dręczonym nędzą. Żądza łupów może zapoczątkować upadek Turanu. Tak runęło niejedno wielkie, drapieżne imperium w przeszłości.

Abolhassan uśmiechnął się chłodno.

- Stąd też rośnie potrzeba, by Turańczycy mogli szlifować swą sprawność bojową, pani! Kiedy dysponujemy doświadczoną armią, żaden wróg nie wystąpi przeciw nam.

- Drogie panie - wtrącił się imperator Yildiz - jesteście ulubionymi żonami najznacniejszych szachów królestwa. Błagam was, posłuchajcie uważnie. - Jego spokojny, ugodowy ton łagodził napięcie zebranych. - Sprawy państwa i problemy władzy nie są wam obce. Nie raz służyłyście istotną i godną zaufania pomocą swym mężom. Mąż lady Irilyi, szach Fahaazendra, wybitny polityk i człowiek interesu zarazem, podróżuje obecnie, wiodąc bogatą flotę i karawany. Dzięki niemu sława Turanu szerzy się po całym świecie. Gdybyż tu teraz przybył, Irilyo, by... ukoić twe troski o dobro państwa!

Jasnowłosa kobieta ze sceptyczną miną zacisnęła umalowane wargi, ale zachowała milczenie. Imperator uśmiechnął się ufnie, zwracając znów do dam dworu.

- Ponieważ rozumiecie wyższe cele władzy, pojmiecie historię, którą muszę wam opowiedzieć. - Yildiz mimochodem położył dłoń na osłoniętym pantalonami kolanie jednej z kobiet, której urodziwa śniada twarz pociemniała od rumieńca, wywołanego tym najwyższym wyróżnieniem. - Pragnę wam rzec parę słów o tych, którzy służą swemu imperatorowi w prowincjach takich jak Venjipur. Niektórzy z nich to wasi szlachetnie urodzeni krewni. Inni są zaledwie prostymi ludźmi. Gna ich do walki chęć poświęcenia się dla swego ukochanego boga i ojczyzny albo też pragnienie, by zdobyć siłę i doświadczenie, zyskać najwyższe uznanie w oczach towarzyszy lub nawet zyskać miano bohatera. - Wzrok imperatora przesunął się po twarzach kobiet. Wszystkie, poza Irilyą, opuściły z szacunkiem oczy. - Imperium - jeśli chce przetrwać, potrzebuje bohaterów. Jeden z takich żołnierzy w Venjipurze zwrócił niedawno moją uwagę... To nikomu nie znany sierżant, dowodzący oddziałem piechoty zaprawionej w walkach pogranicznych. Zwa

go Conan. - Yildiz w pełnym ekspresji geście uniósł ramiona. - Nawet nie rodowity Turańczyk, tylko cudzoziemski ochotnik. Podobno Vanir.

- Tarimie, litości! - przerwała Irilya, unosząc wysoko brwi w udawanym zdziwieniu. - Miałżeby to być jeden z tych dzikich barbarzyńskich łupieżców, przed którymi przed chwilą nas ostrzegano?

- To prawda, pani - odparował gładko generał - ale kiedy poganin zdoła się nawrócić na prawdziwą wiarę, nie masz nad niego lepszego wojownika. Właśnie dlatego decydujemy się posyłać uległych nam barbarzyńców do walki z dzikimi ludami.

- Faktycznie - Yildiz z energią podjął wątek - ten człowiek po raz pierwszy zwrócił moją uwagę nie tak dawno temu, bo podczas buntu naszej kluczowej placówki, Yaralet. - Imperator potrząsnął głową na to smutne wspomnienie. - Wieść niesie, że całe siły naszej odsieczy zostały całkowicie zmiecione z powierzchni ziemi. Nie w ucziwej walce, lecz za pomocą jakich ohydnych pogańskich czarów. Wkrótce potem z północnych marchii przybył posłaniec z wieścią, że jeden tylko żołnierz przeżył bitwę i o własnych siłach przywrócił miasto Yaralet memu władaniu. Tym człowiekiem, jak się później dowiedziałem, był Conan, który obecnie ochotniczo służy na froncie południowym.

Imperator potrząsnął głową ze szczerym podziwem. Błyski zrozumienia pojawiły się w oczach dam dworu.

- Nic w tym dziwnego, bo ludzie tacy jak Conan potrzebują pola do popisu, uwielbiają śmiałe przedsięwzięcia, w których mogą dać upust swoim talentom. - Wychylając się ze swego fotela, Yildiz delikatnie gładził kolana co ładniejszych słuchaczek. Omijał jedynie Irilyę. - Z takiego właśnie ludzkiego materiału wykuwa się silne imperium.

- Szalenie frapujące. - Irilya zręcznie parodiowała łatwowierność, jaką okazywały jej towarzyszki. - Jeden wojownik zdolny do pokonania całych armii! Wobec tego nie będzie potrzeba więcej legionów do podbicia Venjipuru! Bo rozumiem, że ów Conan radzi tam sobie równie dobrze jak pod Yaralet.

- Tak, radzi sobie - przytaknął spokojnie Yildiz. - Ostatnio poprowadził garść wybranych śmiałków do szturm na ważną placówkę wroga, pogańską świątynię. Mało brakowało a zabiłby Mojurnę, czarnoksiężnika i duchowego przywódcę buntu Venji. - Imperator rozdzielił uśmiechy wśród swych ciemnowłosych słuchaczek, a jego upierścienione dłonie głaskały i poklepywały, co tylko mogły dosięgnąć. - Ale to nie wszystko. Zaledwie wczoraj otrzymaliśmy wieści o dalszych dokonaniach Conana, a generał Abolhassan właśnie po to do nas dołączył, by je zrelacjonować.

- Z przyjemnością, Wasza Światłość. - Generał już i tak zirytowany utarczkami z Irilya, z narastającym zdenerwowaniem obserwował pieszcoty, którymi Yildiz obdarzał pozostałe damy dworu. Dręczyła go wątpliwość, czy to podszcypywanie i chwytywanie za ręce nie przekształci się w bezwstydną scenę, jakiej był świadkiem w cesarskiej sypialni. Z wysiłkiem skierował więc swe myśli na aktualną sprawę..

- Właśnie otrzymaliśmy informacje o uwieńczonej sukcesem akcji brygady słoni, wspieranej przez kawalerię i zawodową piechotę. Nasze siły natarły na wrogi obóz, unicestwiając około dziesięciu tysięcy buntowników i zmuszając do wycofania niedobitki. Przy nieznacznym stratach po naszej stronie. Oficer Conan, który prowadził natarcie, odniósł bardzo poważną ranę. Jego powrót do zdrowia jest mało prawdopodobny. - Abolhassan z powagą potrząsnął głową. - W sumie, bitwa ta oznacza zwycięstwo Turanu.

- Naprawdę, generale! - złośliwie odezwała się Irilya. - Jestem zdumiona, że pozostali jeszcze jacykolwiek buntownicy. Przecież wedle waszych wyliczeń ich armia była zawsze nieliczna i rozproszona.

- Masz rację, pani. - Abolhassan obdarzył swą przeciwniczkę jadowitym uśmiechem. - Uprzedziliśmy i osłabiliśmy ich walne uderzenie. Koniec kampanii już niedaleki.

- Zaiste, cudowne wieści - oświadczył Yildiz. Jego dłonie, nareszcie bezczynne, spoczywały na poręczach fotela. - Martwię się jednak o mego oficera, Conana. To jeden z najlepszych ludzi, jacy w ciągu ostatnich lat przybyli do nas z marchii pogranicznych. Być może w ogóle najlepszy. Czy możesz błyskawicznie przekazać rozkaz na południe, by zapewniono mu troskliwą opiekę?

- Oczywiście, Wasza Światłość. - Generał, uważnie wysłuchawszy słów władcy, z uśmiechem skinął głową. - Mam nadzieję, że on jeszcze żyje. Polecę, by traktowano go w sposób specjalny.

- Wspaniale! - Yildiz klepnął się dłońmi po udach. - A teraz, drogie

panie, jeśli nie ma dalszych spraw do omówienia, proponuję zakończyć naszą naradę. Te najnowsze wieści z frontu są tak ważne, że zamierzam natychmiast przestudiować mapy. – Pochyliwszy się, pogładził czule kilka krągłych kolan na pożegnanie. – Bądźcie pewne, że wasze propozycje zostały wysłuchane i wasz imperator użyje wszelkich dostępnych środków, byście czuli się zadowolone. Mam nadzieję wkrótce znowu się z wami spotkać... być może w mniej oficjalnych okolicznościach. Mam na myśli biesiadę w moich apartamentach. Gdy zostanie to ustalone, zostaniecie wezwane. Miło było was gościć.

Wstając wraz z imperatorem, Irilya postąpiła naprzód i przytrzymała dłoń władcy. – Najjaśniejszy, problemy, które tu poruszyłam, nie zakończą się samoistnie. Radzę, byś rozważył moje słowa z większą uwagą niż rady swoich dworaków. – Jej spojrzenie rzucone na Abolhassana nie pozostawiało wątpliwości, kogo piękna pani ma na myśli, lecz uwagę Yildiza przyciągały już przymilne pożegnania pozostałych dam.

– Dziękuję wam wszystkim, drogie panie! Miło nam było wyjaśnić wam niektóre ze spraw imperium. Niech was Tarim błogosławi!

Gwardziści wyprowadzili z komnaty szeleszczące jedwabiami i połyskujące klejnotami kobiety. Wówczas Abolhassan skłonił się nisko imperatorowi i wręczył mu zwój zawierający komunikat z Venji. – Wasza Wysokość, sposób w jaki poradziłeś sobie z tymi babami, był bardzo pouczający. – Generał zerknął za siebie, by się upewnić, że damy dworu już odeszły. – Chciałbym jednak przestrzec cię przed tą bezczelną jasnowłosą żmiją. Wspomnij moje poprzednie opinie w tym względzie, panie. Wciąż może ci być potrzebny bat, by postępowała zgodnie z twymi życzeniami. – Cofając się, Abolhassan jeszcze raz niedbale się skłonił. – Chętnie omówię te sprawy później, panie, gdy po uporam się z popołudniowym spotkaniem, o którym poinformował mnie mój sekretarz. Dziękuję, Wasza Światłość. Miłego dnia! Opuściwszy Yildiza, który zagłębił się w pełnym niedomówień i sprzeczności komunikacie, Abolhassan szybkim krokiem zmierzał do jeszcze innej części rozległego pałacu, gdzie mieściły się apartamenty eunuchów. Wkrótce poczuł mdłości. Powietrze przesycone było zapachem paczuli i drewna sandałowego. Starał się nie myśleć o okropnym zapachu, który najwidoczniej sprawiał przyjemność tutejszym mieszkańcom, pozbawionym innych życiowych radości.

Złoczone drzwi komnaty wydawały się generałowi przesadnie zdobione. Ale to, co zastał wewnątrz, napełniało go jeszcze większym obrzydzeniem.

– Bądź pozdrowiony, panie. Spóźniłeś się. – Eunuch Dashibt Bey siedział na obszytej frędzlami poduszce za niskim stolikiem, zasłanym resztkami popołudniowego posiłku. Olbrzymi dywan o arabskim wzorze z łatwością skrywał wszelkie okruchy i plamy, jakie pozostały po biesiadzie. – Chciałem zostawić porcję dla ciebie, ale teraz wygląda na to, że nie mam cię czym poczęstować. – Tłustoch zmierzył wzrokiem pobożowisko brudnych półmisek, ogryzionych kości, łupin orzechów i skórek od chleba. – Chyba że chcesz trochę owoców – dodał i beknął, przesuwając serdelkowatymi palcami poślaczany koszyk.

– Nie, Dashibt Beyu. Przychodzę prosto od Yildiza i muszę zaraz do niego wracać. – Abolhassan dokładnie zamknął za sobą drzwi, – Szczerze mówiąc, nie cieszy mnie to spotkanie. Myślałem, że zgodziliśmy się unikać niepotrzebnego ryzyka. Jaka sprawa może być tak nagląca, by wymagała mojej tu obecności?

– Generale, czyż zdrada stanu i roszczenia wobec korony nie są naglącymi sprawami? A zaślepienie blaskiem władzy i próba zawładnięcia imperium? – Dashibt Bey roześmiał się, a jego palce bezwiednie grzebały w okruchach na stole. – Nie, generale, nie rozdziawiaj ust z takim przerażeniem! Nie ma tu okien, nie ma tajemnych skrytek ani ludzi umiejących czytać z ruchu warg. To moja prywatna jadalnia. Jesteśmy sami i bezpieczni od ciekawskich oczu i uszu. Możemy rozmawiać szczerze. Nie musimy tu mamić Yildiza czy, w sposób bardziej subtelny, naszych współspiskowców. – Uśmiech eunucha stawał się coraz bardziej złośliwy, a paciorkowate oczka połyskiwały groźnie wśród tłustych fałdów twarzy. – Jest kilka spraw, które powinny zostać przedyskutowane w sposób otwarty, pomiędzy równymi.

– Równymi? – Abolhassan przez chwilę przełykał to słowo, a jego mina niezbyt dobrze skrywała uczucia. – Oczywiście, jesteśmy sobie równi, Dashibt Beyu! Równi jako partnerzy sprawiedliwie dzielący ryzyko. Ale ośmielę się powiedzieć, że jeśli nasz spisek się nie powiedzie, to ty zostaniesz posiekany na więcej okazałych części niż ja!

– Uspokajasz mnie, generale! Dowcipkujesz! – Roześmiał się zimno eunuch. – Kłamiesz! – Nie spuszczał oczu z twarzy Abolhassana. – Ale kłamiesz mądrze i

zręcznie. Ja, którego ambicje zależne są od siły twych łgarstw, doceniam to. - Dashibt Bey ignorował obrażoną minę swego gościa.

- Ale nawet przez chwilę nie sądz, generale, że mnie oszukałeś. Nie wyobrażaj sobie, że ja, tak jak inni, zważam na twoje gadanie o władzy i wspólnych rządach. Będziesz panował. Jesteś naturalnym przywódcą stada i, co ważniejsze, w odróżnieniu od jego dotychczasowych pasterzy, oficerem. - Dashibt Bey pokiwał aprobująco głową. - Twoje wywyższenie będzie dla wielu głupców ostatnią rzeczą, jakiej się dowiedzą w swym przed czasem zakończonym życiu. Przejęcie tronu stanie się jedynie wstępem do krwawej łaźni. - Samozadowolenie biło z okrągłej, tłustej twarzy. - Lecz podcinając wiotki, wyniosły czubek drzewa zwanego państwem, obrzynając członki i głowy - tu eunuch pogmerał w jadeitowej misce, wycierając resztkę różowego sosu skórką od chleba - nie myśl nawet o poćwiartowaniu mojej osoby! Mam pozycję zbyt mocną, by do tego dopuścić, a stanowisko, które piastuję jest kluczowe, czy ci się to podoba, czy nie. - Wepchnął unurzana w sosie skórkę do ust, żując ją w sposób daleki od elegancji.

- Bardzo dobrze, Dashibt Beyu. - Generał przysunął się do stołu i popatrzył z góry na eunucha. Jedynie delikatne drżenie nozdrzy Abolhassana wskazywało na odrazę, jaką odczuwał. - Zignoruję twoje zniewagi. Do czasu. Oczywiście, że cię potrzebuję do łagodzenia, usprawniania i utrzymywania w stanie równowagi cesarskiego dworu. Z twoją łatwością wpływania na tutejsze koterie możemy szybko przejść od prostego buntu do większych triumfów...

- A oto co ja o tym myślę, generale - przerwał Dashibt Bey. - Jeśli sądzisz, że Turan jest państwem militarnym, które tylko czeka, by jakiś generał powiodł je na wojnę przeciw narodom hyboryjskim, to głęboko się mylisz. Będąc wojskowym, ignorujesz naszą dominację w takich dziedzinach jak handel, dyplomacja i polityka - a także przekupstwo. - Eunuch z politowaniem pokiwał głową. - Prawdziwa wojna odbierze naszemu krajowi jego największe atuty! Pomyślność Turanu wymaga raczej, byś w przyszłości służył jedynie za figuranta. Gnęb królestwo wszelkimi środkami! Broń je i łup jego mieszkańców. Ale we wszystkich ważnych sprawach, szczególnie międzynarodowych, zdaj się na mnie. - Skrzywił się gniewnie. - I niech w garnizonie miejskim nigdy nie odżyją pogłoski o czerwonej nocy dla eunuchów.

Abolhassan, oniemiały, wlepił wzrok w Dashibt Beya. Administrator zaś, nie okazując cienia emocji, ciągnął dalej.

- Tak, znam ten plan, generale. A przy okazji, prowodyrzy otrzymali już przeniesienie do hyrkańskiej dziczy. Moi eunuchowie, moje dzieci - nie, proszę się nie śmiać, generale - więc moje dzieci-eunuchowie donoszą mi o wszystkim, co dzieje się w Aghrapurze. Stanowimy w Turanie prawdziwą siłę. Tak zawsze było pod panowaniem Yildiza i tak pozostanie. Bądź mi wdzięczny, że cię zawnaz ostrzegłem...

Grubas odwrócił głowę i ziewnął.

- Ale nie jest najgorzej. Panujący musi iść na kompromisy. Oferuję ci, mimo wszystko, tron i taką władzę, jaką ma Yildiz, a może nawet większą. Jeszcze nikomu nie udało się rozszerzyć jej na tyle, by zaspokoić rozbudzony apetyt... na szczęście dla świata i jego mieszkańców.

Abolhassan przemierzał komnatę w tę i z powrotem, szurając apatycznie nogami. Próbował pogodzić się z tym, co właśnie usłyszał. Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Kiedy ponownie odwrócił się do Dashibt Beya, twarz pokrywała mu śmiertelna bladość.

- Więc, co z karawaną, która na rozkaz Yildiza miała zawieźć broń do Venjipuru? Czy wyruszy?

Eunuch przytaknął.

- Połowa transportu została wysłana rzeką na południe, drugą połowę złożono w magazynach w pobliżu doków. Będzie gotowa w razie potrzeby. - Spojrzał uważnie na swego gościa. - Generale, nie bierz sobie tego tak do serca. Wiem, że to dla ciebie ciężka próba. Proszę, poczęstuj się czymś. - Wyciągnął rękę i ponownie pchnął w stronę Abolhassana złożony koszyk.

- Dziękuję, chętnie. - Abolhassan pochylił się nad owocami i przez chwilę przyglądał się im w zamyśleniu. W końcu wybrał dojrzałe mango, którego barwa stopniowo przechodziła od zieleni, poprzez żółć aż do płomiennego szkarłatu, przypominającego zachód tropikalnego słońca. Bez słowa wskoczył na stół, kawaleryjskimi butami skopał z niego naczynia i, opadłszy kolanami na szeroką pierś Dashibt Beya, wepchnął mu owalny owoc w zaskoczone, szeroko otwarte usta. Trzymając jedną ręką eunucha za kark, drugą wciskał pękające,

oślizłe mango pomiędzy rozwarte szczęki, póki szeroka, ostra pestka nie utkwiała w gardle ofiary.

- Aaghahg! - słabo charczał Dashibt Bey. Jego bezwładne palce bez skutku szarpały szarfę, za którą zatknięty był sztylet. Na chwilę dłoń konającego zacisnęła się na ramieniu Abolhassana, a wreszcie uniosła ku szybko siniejącej twarzy. Nastąpiła seria wstrząsów. Masywne nogi kopały w stół i wierzgały o posadzkę. Konwulsje rozrzuciły jedwabne poduszki. Olbrzymie ciało wilo się w skurczach pośród porozrzucanych resztek posiłku. Generał nie ustępował, a jego muskularne ręce nie poluzowały mściwego uścisku, póki nie był pewien, że konający nie zdoła wypluć dławiącej go pestki. Wówczas Abolhassan podniósł się z kolan i odsunął od swej ofiary akurat w porę, by usłyszeć grzechot zamka i ujrzeć, jak otwierają się złocone drzwi.

Do komnaty wpadł Euranthus, zastępca Dashibt Beya. Elegancki młodzian biegiem okrążył przewrócony stół i przyklęknął u boku swego pana.

- Usłyszałem przerażający łoskot. - Generale, co się stało?

- Biedaczysko, zadławił się na śmierć pestką owocu - oznajmił

Abolhassan. Jego dłoń zacisnęła się na rękojeści skrytego pod szarfą sztyletu. - Sądzę, że teraz ty będziesz musiał zająć jego miejsce na dworze. - Abolhassan wiedział, że Euranthus był wtajemniczony w spisek. Ile zaś eunuch mógł usłyszeć przez drzwi, mógł tylko zgadywać.

- Tak, to prawda! - Choć ciałem Dashibt Beya wciąż jeszcze wstrząsały konwulsyjne drgawki, Euranthus spojrzął na posiniałe oblicze niedawnego swego zwierzchnika, jakby ten był już martwy. Najwyraźniej nie myślał o udzieleniu mu pomocy.

- Co za tragiczny... wypadek! - Obiekając twarz w smutek i trzęsąc się od mieszanych uczuć, Euranthus zwrócił się do Abolhassana. - Na szczęście jestem na miejscu, by podjąć jego dzieło!

- Chwała Tarimowi, że nadajesz się do tego zadania, Euranthusie! Módl się i niczym się nie przejmuj. Będę ci towarzyszył i tobą kierował! - Abolhassan pozwolił dłoni zsunąć się z rękojeści sztyletu. - A poza tym, ta śmierć była nieunikniona. Tak płaci się za zbyt wielki apetyt.

- Ostrożnie, Azharze! Balansuj zwierciadłem tak, by płynnie podążać za ruchem słońca. - Ibn Uluthan uniósł wzrok, patrząc badawczo w wysokie, powleczone czernią okno w południowej ścianie Dworu Proroków.

- Modlę się, bym zdołał wytrzymać jego ciężar, mistrzu! - Szczupły młodzieniec zmagał się mężnie z podłużnym lustrem, którego wysokość przewyższała wzrost dorosłego człowieka. - Rama jest masywna, panie, i w dodatku odlana ze złota.

- To prawda! Poprosiliśmy o największe zwierciadło z cesarskiego pałacu. Eunuchowie dokładnie spełnili nasze życzenie. - Mag z satysfakcją pokiwał głową. - To dowodzi przynajmniej, że wciąż jesteście w łaskach Jego Światłości! - Ponownie patrząc w górę, napomniał swego akolitę: - Nic się nie bój, Azharze! Wiem że podołasz temu prostemu zadaniu. Musisz jedynie w odpowiednim momencie odbić promienie słoneczne wprost do okna... Za chwilę słońce znajdzie się w centralnym punkcie.

Czarnoksiężnik wskazał na posadzkę u stóp młodzieńca, gdzie na szerokiej płycie wyrysowany był biały pentagram, wpisany w czarny pięciokąt, otoczony z kolei białym kołem.

- Jestem pewien, że moje pomiary są prawidłowe. - Po raz setny Ibn Uluthan zerknął na krzywizną kopuły, gdzie robotnicy za pomocą łomów poszerzyli jedną ze szczelin służących do obserwacji gwiazd. Światło słoneczne, w ilościach nie znanych dotąd tym tajemnym pomieszczeniom, wlewało się teraz szerokim snopem, oświetlając wypolerowaną posadzkę. - Powinna wystarczyć tylko chwila niebiańskiego promieniowania, byśmy osiągnęli nasz cel.

Azhar ustawił zwierciadło na płaskiej dolnej krawędzi ramy.

- Jeszcze raz spytam, panie, co dokładnie zamierzamy osiągnąć? Nie mogę tego pojąć.

Uśmiech błysnął w szarych oczach Ibn Uluthana.

- Nie szkodzi, Azharze. Zrozumiesz. Chcę unicestwić naszych wrogów i zniszczyć szatański amulet Mojurny, a tym samym utorować drogę mocy Turanu w odległym Venjipurze. Czaszka może się rozpląnąć w mgłę albo rozsypać się na milion okruciości - Czarnoksiężnik pogładził fałdy ciężkiej czarnej zasłony, okrywającej magiczne okno. - Poza tym tu, w Turanie, dysponujemy większą mocą.

Nasze modły i talizmany zyskują ogromnie przez pełnię naszej wiary i boską siłę naszej ziemi.

Pochyliwszy się nad stołem, podniósł jeden z leżących tam przedmiotów.

- Oto najpotężniejszy z naszych sakralnych znaków, święty Sokół Tarima.

- Rozwinięte skrzydła złotej statuetki były długie na łokieć, a profil odwróconej w bok głowy wyglądał hardo i wojowniczo. - Wijący się w jego dziobie wąż symbolizuje pokonany Kult Seta, jak twierdzą kapłani. Ale moc Sokoła powinna równie dobrze poskutkować przeciw prymitywnym czarom z dżungli. - Mag spojrział za siebie. Mroczny cień ptaka padał na zasłonę. - Gdy te szlachetne kształty rozjaśnione czystym światłem dnia przesłonią znak naszego przeciwnika, zwyciężymy. Talizman Mojurny jest jedynie skoncentrowaną iluzją. Pamiętaj, że wróg przykłada do tych zmagani węgę nie mniejszą niż my. To sprawdzian jego mocy, która ma znacznie mniejszy zasięg niż nasza. Mojurna dotarł już do kresu wytrzymałości, a to go pokona. - Ibn Uluthan triumfalnie potrząsnął głową, ale zmęczenie malowało się na jego twarzy. - Ledwie kilka godzin temu wymyśliłem ten sposób projekcji, a już jesteśmy gotowi, by go wypróbować. Korzystając z mocy błogosławionego przez Tarima słońca, nałożymy nasz magiczny obraz na słabszy obraz amuletu Mojurny, tak jak mocarny Turan narzuca swą wolę marnemu Venjipurowi!

Unieruchomiony przez ciężkie lustro, Azhar przytaknął z szacunkiem.

- To będzie godna uwagi rzecz, mistrzu, ujrzyć nieprzyjaciela pokonanego przez lustro!

Ibn Uluthan uśmiechnął się.

- Tak, lustra miały zawsze magiczną moc. Ale popatrz, młodzieńcze, słońce osiągnęło już wewnętrzny krąg!

Przez długie minuty, zerkając cierpliwie na pył wirujący w słupie światła, obserwowali poszarpaną plamę jasności, która z wolna przesuwała się na wierzchołek pentagramu. Gdy wy dobyła już z mroku połyskujące biela płytki okręgu, Azhar zaczął delikatnie poruszać lustrem. Mocna słoneczna struga rozbłysła szaleńczo, tańcząc po ścianach i kolumnach aż po kopułę. W końcu światło zatrzymało się na zasłonie, chybotliwie odwzorowując kształt zamkniętego łukiem lustra. Czarna materia wydawała się płonąć.

- Doskonale, Azharze! - Mag ustawił podobiznę Sokoła Tarima na niskim stole, tak że cień rozwiniętych skrzydeł ptaka padał na zasłonę. - Pilnuj, żeby obracać zwierciadło w miarę jak przesuwa się słońce. Ja stanę tutaj i będę poruszać świętym znakiem. Teraz zostało nam już tylko... - Sięgnął do grubo splecionego sznura i pociągnął. Czarna zasłona odsunęła się na bok i odsłoniła srebrzysty kryształ czarodziejskiego okna.

Czaszka była tam, po drugiej stronie szyby. Światło, odbite przez lustro, podkreślało każdy szczegół jej straszliwego siniego oblicza, zapalało iskierki w wielobarwnych klejnotach na czole i kościach policzkowych, sprawiając że jarzyły się w swych wypolerowanych oprawach. Cień Sokoła Tarima wydawał się niemal niewidoczny, zagubiony na tle przerażającego talizmanu żła.

Przez chwilę Azhar uległ złudzeniu, jakby to wysadzane kamieniami oblicze samo stanowiło źródło światła i odsyłało snop oślepiającej jasności do zwierciadła i dalej w górę, w niebiosy. Wtem, gdy przyglądał się jej osłupiały, czaszka zaczęła rosnać albo też przybliżać się. Poczucie odizolowania od świata znajdującego się za oknem zniknęło. Czaszka wypchnęła z trzaskiem szkło szyby, rozrzucając wokół srebrzyste okruchy i tłukąc kafelki ramy okiennej. Wysadzane klejnotami szczęki szeroko się rozwarły. Olbrzymia twarz, jaśniejąca w przeszytym słońcem mroku, ruszyła na Ibn Uluthana, jak dziób wielkiego statku. Zmiażdżyła złoty posąg Sokoła i wbiła wyszczerzone diamentowe zęby w biodro czarnoksiężnika.

Zwierciadło drżące w rękach Azhara odbijało blask, który wydobywał z mroku poszczególne fragmenty przerażającej sceny. Zachłanna czaszka, wlokła swą szamoczącą się i krzyczącą ofiarę przez okno, poza Dwór Proroków. Obłoki kurzu, okruchów i strzępy tajemnych zwojów pomknęły za nimi, miecione nadprzyrodzonym wichrem. Łopotwały czarne fale zasłon. Wycie Ibn Uluthana gwałtownie słabło, tłumione przez otchłań odległości. Wreszcie głosy całkiem zamilkły. Jedynie kurz leniwie osiadał pod nagą kamienną ścianą.

Azhar zachwiał się pod ciężarem przewyższającego go lustro. Zwierciadło wymknęło mu się z rąk. Młodzieniec osunął się na ziemię. Głową uderzył o podstawę kolumny i leżał bez ruchu i zmysłów.

## Miasto bezprawia

- Chodźcie, spragnione pustynne psy! Nie czas zwłóczyć w tym cuchnącym zajeździe. - Conan zatrzymał się na progu gospody, przed którą wóz pozostawił pasażerów i ich dobytek. Objąwszy przyjaciół wielkimi łapskami, Cymmerianin wyciągnął ich z powrotem na zatłoczoną ulicę. - Miasto Venjipur czeka na nas w całej swej złej sławie!

- Co ty wygadujesz! - Jurna wysunął się z rąk Conana. - Byłeś wystarczająco głupi, by ryzykować przyjazd tutaj wozem z Fortu Sikander, mimo zranionej nogi. Teraz chcesz włóczyć się nocą po zaułkach Venjipuru? - Zmierzył wzrokiem pograżającą się w mroku ulicę. Górował ponad płynącą wokół rzeką ludzi jak czarny pniak pośród pełnej wirów żółtej wody.

Miasto było zatłoczone, a jego stare kamienne budowle kruszyły się za jaskrawymi fasadami. Markizy, daszki, kopułki i minarety - wszystkie te ozdoby dodano, by zwabić chętnych do wydawania pieniędzy żołnierzy. Teraz, w przyćmionym świetle, kręte, krzykliwie dekorowane uliczki kusiły oczy. Wyraz hebanowej twarzy Jurny przeczył rozsądnym słowom. - Nie, Conanie, nie ma dyskusji. Wciąż jesteś zbyt słaby.

- Właśnie. I dlatego potrzebuję ćwiczeń. - Conan położył ciężką dłoń na muskularnym, okrytym skórzaną kamizelą ramieniu przyjaciela. - Muszę rozruszać blizny i nie pozwolić zesztynnieć nogom. - Przygarnął niezbyt chętnego Babraka do drugiego boku. - A nasz nabożny druh... niewątpliwie powinien doświadczyć co najmniej jednej nocy pijaństwa, by jego skrucha w obliczu Tarima miała później swoją wagę!

- Nie żartuj, Conanie. Byłbym marnym towarzyszem na tego rodzaju wyprawie! - Babrak opierał się naleganiom Cymmerianina. - W każdym razie kwas chlebowy, jaki serwują w ulicznych karczmach, nie jest z pewnością ani trochę mniej kwaśny od nalewanego w tej gospodzie.

- On ma rację, Conanie. - Jurna obserwował ponuro przepychających się wokół, sięgających mu do ramienia mieszkańców. - Pamiętaj, to jest Venjipur! Znasz niezliczone pułapki i niebezpieczeństwa, które tu kuszą.

Conan, wsparłszy się na czarnoskórym przyjacielu, szepnął mu do ucha. - Pewnie że znam, Jumo. I pragnę ich. Tak jak ty byś pragnął, gdybyś spędził wieki, leżąc na wznak i obserwując jaszczurki łykające muchy na suficie! Tygodnie takiej rekonwalescencji, potem cały dzień leżenia w roztrzęsionym wozie - i spodziewasz się, że natychmiast padnę na prycę i zasnę?

Argumenty Conana osiągnęły pożądaný efekt. Jurna odstąpił od drzwi zajazdu. Babrak nie miał większego wyboru, jak ruszyć wraz ze swymi roślejszymi towarzyszami przeciw przelewającej się wokół fali przechodniów.

- A jeśli chodzi o niebezpieczeństwo... Chłopie, przybyliśmy do tego kraju, by szukać niebezpieczeństw! Jak pewnie zauważyliście, jestem w podłym nastroju. I pogorszy się on jeszcze, jeśli nie rozwalę paru łbów lub w jakiś inny sposób nie zabawię się przed brzaskiem.

Objąwszy przyjaciół, bardziej dla wymuszenia na nich swojej woli niż szukając wsparcia, Conan ruszył brudną ulicą. Domokrażcy pchający wózki, przywoici obywatele i ulicznicy o dzikim wzroku tłoczyli się wokół nich. Nad tłumem z rzadka górowały ramiona jakiegoś roślejszego mężczyzny. Wśród potoku ludzi rzucały się specjalnie w oczy ciągnięte przez niewolników ryksze i spiczaste hełmy żołnierzy z pomocy. Łatwo ich było zauważyć, dzięki rozchełstany mundurom, obwieszonym pamiątkowymi koralikami, kokardkami i jedwabnymi szarfami, a zwłaszcza dzięki pijackiej hałaśliwości.

Pośród całej tej bieganiny trójka kompanów zanurkowała przez jasno oświetlone wejście do zatłoczonej oberży.

- Chłopak! Dzban oślego mleka i trzy kubki! Hej, ty! Biegiem trzy porcyjki kumysu, raz, raz! - Zamówienie Conana wykrzyzczone w miejscowym żargonie odniosło odpowiedni skutek. Po chwili mogli już ugasić pragnienie. Lecz gdy Jurna rzucił na wąski stół sztukę srebra, posługacz schował ją do kieszeni i próbował odejść, szczerząc zęby w idiotycznym uśmiechu. Kushita musiał potrząsnąć nim jak łasicą ofiarą, by wydał należną resztę.

Izba oberży zatłoczona była sięgającymi kolan stolikami i taboretami niewiele wyrastającymi ponad podłogę. Wokół stali lub siedzieli ludzie różnych narodowości i ras. W powietrzu unosił się zapach sandałowego kadzidła i odurzających wonności, który bez wątpienia pomagał zagłuszyć odór zaśmierdłego



kumysu.

Nie należące do miejscowych przysmaków, sfermentowane kobyłe mleko było sprowadzane specjalnie dla żołnierzy wojsk okupacyjnych. Napój ten nie najlepiej znosił tropikalny skwar. Mimo to spełniał oczekiwania. Po kilku pucharkach głowy i żołądki trójki przyjaciół już mu uległy. Rozwiązały się języki.

- Szczęściarzu z ciebie, Conanie - zauważył Babrak. - Rychło żeś stanął na nogi. - Ściągnął wargi, by dyskretnie czknać. - Spośród niedobitków walk w dżungli ponad połowa, mimo stosunkowo drobnych ran, zmarła na zakażenie krwi. A wielu innych straci ręce albo nogi.

- Tak, przyjacielu - przytaknął z powagą Conan, wpatrując się w swój kufel. - Niech Crom błogosławi wam za przeniesienie mnie z tego cuchnącego lazaretu do naszej chaty, pod opiekę Sariyi. Tego rzeźnika, chirurga, należałoby puścić samopas do obozu wroga. Niech diabli wezmą jego cuchnący oddech! Ale Sariya... - Pochylił głowę z szacunkiem. - Ta kobieta ma sposób na... Byłem śmiertelnie słaby, ale ona przywróciła mnie do życia..

- Słowo słaby nie wydaje się stosowne, Conanie. - Jurna popatrzył smutno na Babraka. - Wiemy coś o tym, bo musieliśmy używać całych swych sił, podobnie jak i Sariya, by przytrzymać cię podczas ataku dreszczy.

- Faktycznie - przytaknął Babrak. - Ponownie stoczyłeś wszystkie swoje bitwy, z nieprzyjaciółmi zarówno z tego, jak i nie z tego świata!

- Ona jest aniołem. Wątpię, czy to rozsądne, zostawić ją w Sikander. - Ignorując przyjaciół, Conan ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w kufel. - Ale chciała odpocząć. Mieszkańcy osady zaprzyjaźnili się już z nią, a strażnicy, których wyznaczyłem, są sprawnymi wojownikami.

- Tak, każdy z nich to prawy filar wiary! Nie martw się, Conanie - przytaknął Babrak z uśmiechem pełnym ufności. - Zaprawdę mieliśmy szczęście, że przyznano nam tyle przywilejów. Plotka obozowa głosi, jakoby twe śmiałe czyny zaskarbiły ci przychylność wysoko postawionych osób, być może nawet pośród oficerów sztabowych w Aghrapurze! - Roześmiał się beztrąsco, rozglądając się po zatłoczonej izbie. - To dzięki temu mogliśmy cię pielęgnować. Dostaliśmy dodatkowe racje żywności, ograniczono nam obowiązki, a nawet przyznano takie przepustki jak ta!

Obwieszona błyskotkami dziwka przeszła zalotnym krokiem obok nich do sąsiedniego stolika. Babrak cnotliwie odwrócił od niej wzrok.

- Ale względy i przywileje nie mają znaczenia dla człowieka, który postępuje zgodnie z prawem Tarima - dodał stanowczo.

- To prawda, Conanie - powiedział Jurna. - Powinieneś uważać na te dziwne łaski, które nagle spłynęły na ciebie. Nie wolno nam zostawiać Sariyi samej na więcej niż jeden dzień. Zaznawszy cierpień i trudów bohaterstwa, teraz cieszysz się z nagród... ale uważaj. - Kushita spojrział spod oka na tłum wypełniający izbę, po czym pochylił się do przyjaciela. - Wiedz, że te wszystkie łaski przyczyniają ci wrogów. Podsycają zawiść wśród zazdrosnych, a i same w sobie nie są tak niewinne i bezinteresowne, jak się myśli. - Ściągnął ciemne wargi w grymasie niezadowolenia. - Posłuchaj mnie uważnie, Conanie. Znałem w życiu więcej martwych bohaterów niż żywych.

Zanim Cymmerianin mógł ustosunkować się do przygnębiających poglądów przyjaciela, uwagę całej trójki zwrócił młodzieńcy Venji, ospowaty i z krzywymi zębami. Skłonił się przed ich stolikiem i zaczął zachwalać uroki swej rzekomej siostry. Była to jeszcze dziewczynka - o czerwonych wargach, granatowych oczach, wciśnięta w zieloną jedwabną suknię z rozcięciami sięgającymi niemal pach. Gdy się na nią gapili, przysiadła na jednym z małych stoliczków, rozłożyła kolana i zastygła, gotowa zaoferować im natychmiast próbkę swych talentów.

- Myślę, że nie skorzystamy - oświadczył Jurna, szeroko się uśmiechając. - To jabłko wydaje mi się jeszcze zbyt kwaśne. Z kolei Babrak... Nie, on potrzebuje kogoś bardziej dojrzałego, by wprowadził go w tajemnice alkowy. A Conan... Oczywiście, ty masz już Sariyę.

Cymmerianin niespokojnie wrzucił potężnymi ramionami. - Hola, hola, Jumo, nie poślubiłem tej dziewczyny! Wciąż jeszcze jestem samodzielnym mężczyzną. Mimo to nie mam ochoty na tę gaskę, która ma pewnie poprzyklejane włosy, gdzie potrzeba! Nie podoba mi się również ten wyszczerzony naganiacz. Wynocha stąd, oboje!

Obrażony młodzieniec zaszwargotał jakieś groźby w niezrozumiałym żargonie, domagając się wypłaty odszkodowania. W końcu wykręcona ręka i kopniak w kościsty tyłek przekonały go o wrogich uczuciach niedoszłych klientów.

Dziewczyna splunęła żołnierzom pod nogi i oddaliła się w ślad za stręczycielem.

- Przyjdą do nas znowu, jeśli wystarczająco dużo w tym lokalu wypijemy. Że możecie być pewni! - Conan ponownie napełnił kubki swych towarzyszy. - I strzeżcie się, chłopaki. Nawet ten surowy filet z małego mięsa może zacząć wyglądać kusząco po jeszcze kilku dzbanach sikacza! Właśnie dlatego zawsze mądrzej jest nie zasiedzieć.

Program rozrywkowy w oberży ograniczał się do nudnych występów obwieszanej koralami dziewczyny, która miotała się na podwyższeniu w końcu izby, czemu towarzyszyły nieustające pobrzękiwania i piski uchodzące w tych okolicach za muzykę. Teraz zaczynał się bardziej wyszukany występ, ze starszą, dojrzałą tancerką. Asystowała ona wulgarnym sztuczkom wykonywanym przez tresowane, ubrane w jedwabie małpy. Czas było opuścić lokal. Trzej przyjaciele wyszli na ulicę, która obecnie wydała im się mroczniejsza i mniej zatłoczona. Brud nie rzucał się już tak w oczy, a papierowe lampiony i jarzące się, przesłonięte zasłonami z koralików otwory okienne i drzwiowe nadawały frontonom kamienic odświętny wygląd.

Conan, ciągle jeszcze lekko utykając, powiodł ich wąskim zaułkiem. Minęli kilka przecznic i znaleźli się przed drzwiami karczmy, której niskie łukowate wejście zachęcało kaskadą światła, rozjaśniającą bruk i ścianę przeciwległego domu. Poza zasięgiem tego blasku przyczaiło się dwóch rozmawiających szeptem mężczyzn. Gdy żołnierze zbliżyli się, jeden z obiboków wychynął z mroku, ukazując długą szramę po nożu na ospowatym policzku.

- Lotosss! - wysyczał. - Pałac Banghee oferuje wiele rodzajów lotosu. Również dobre dziewczyny! - Sugestywnie przewrócił żółtaczymi oczami. - Zafundujecie sobie i dziewczynom szczęśliwy zielony raj.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Conanie - szepnął Jurna do ucha przyjacielowi. - Jego pałac to zapewne jakiś namiot nad rzeką, a dziewczyny to stare wiedźmy lub niedogoleni chłopcy. Prawdziwym miłośnikiem lotosu taki drobiazg nie robi różnicy. Wstąpmy lepiej tutaj, a uwolnimy się od tego typu. Ale zaczekaj!

Człowiek z blizną właśnie natarczywie nagabywał Babraka, chwytając i szarpiąc go za rękę. W tym czasie drugi z mężczyzn skradał się za plecami Turańczyka, prawdopodobnie po to, by wyrwał mu sakiewkę, broń lub w jakimś jeszcze gorszym zamiarze. Conan i Jurna żwawo zawrócili na pomoc przyjacielowi. Cymmerianin dostrzegł, jak sztylet Babraka wysuwa się z pochwy. Światło zabłysło na mosiężnej rękojeści. Niezbyt mocny cios zaciśniętej pięści posłał złodzieja aż na kamienną ścianę, od której odbił się z jękiem. Wówczas Jurna wymierzył kopniak prosto w żebra sprzedawcy lotosu. Po chwili obaj handlarze pośpiesznie zniknęli w mroku cichego zaułka.

- Hurra! Noc wreszcie się zaczyna! - Czarnoskóry wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał przyjaciół po plecach. - Zaraz poprawimy twój ponury nastrój, Conanie! Miłej rozróby!

- Nasz Babrak wcale nie jest taki powolny - zauważył Conan, odwracając się ku oświetlonemu wejściu. - Tak naprawdę, w ogóle nas nie potrzebował, chyba że jako widzów! Widać bójki po knajpach nie należą do grzechów zakazanych przez święte prawo Tarima.

Wnętrze drugiej karczmy, do której dotarli tego wieczoru, wydawało się przestronniejsze choć niższe. Przybysze z Północy z trudem wbili się w wiklinowe krzesła. Równie dobrze jak wypić, można było tu zjeść. Po krótkiej naradzie z niemłodym już oberżystą, trójka przyjaciół zamówiła po porcji, apetycznego z nazwy, gulaszu z ryb, warzyw i bagiennego ryżu.

- Ci twardziele przypomnieli nam, byśmy dzisiaj pilnowali swoich pleców - powiedział Jurna, a wiklinowe krzesło zaskrzypiało pod jego słusznym ciężarem. - Jeśli to byli chłopcy Phang Loona, to mogą ściągnąć kumpli.

- Co, ci ulicznicy? - Śmiech Conana ucichł, gdy Cymmerianin poczuł, jak z powodu nieostrożnego ruchu odłamuje się oparcie jego krzesła.

- Jednak to prawda, Conanie. - Jurna usiadł wygodniej, czemu towarzyszyła symfonia trzasków wydawanych przez nadwerężoną wiklinę. - Handel lotosem jest kontrolowany przez Phang Loona, oczywiście, poza sprzedażą na boku. Tutejszy władca jest potężniejszy od któregokolwiek z północnych monarchów, choć brak mu błogosławieństwa kapłanów i splendoru starej dynastii. To jedna z prawdziwych przyczyn konfliktu w Venjipurze i jeśli chcecie znać moje zdanie, to Turańczycy tylko pogorszyli ten stan rzeczy zbrojąc jego prywatną armię jako Cesarską Gwardię Venji!

- Powiedziałbym, że nie najlepiej mieć ją za plecami podczas walki. - Babrak spochmurniał nad swą miską gulaszu. - Jurna ma rację. Phang Loon nie jest człowiekiem, którego można zlekceważyć. - Spojrzenie brązowych oczu Turańczyka cały czas umykało ku szynkwasowi, gdzie nalewano napoje. Siedziała tam kobieta, dobrze utrzymana, dojrzała i elegancka. Jej kosztowny strój naśladował modę Północy. Obcisła, długa do kostek suknia z ciemnoniebieskiego jedwabiu prezentowała się w przyćmionym świetle znacznie mniej bezwstydnie niż skąpe odzienie obsługujących gości dziewczyn, które przemykały nieustannie pomiędzy stołami. Opalizujący jedwab zebrany był luźno wokół ramion i piersi, odkrywając jedynie maleńki pasek stanika, natomiast wysoki sztywny kołnierz stanowił ładne tło dla czarnych loków, lecz z żadnej strony nie zasłaniał twarzy. Smukłe dłonie kobiety ginęły w luźnych rękawach, tylko koniuszki palców z polakierowanymi na czerwono paznokciami dotykały delikatnie parującej filiżanki herbaty.

- Nasz Babrak to człowiek o wysublimowanym smaku - oświadczył Jurna, podążając za wzrokiem Turańczyka. - Za obiekt swych westchnień wybrał stosowną kobietę. - Sięgnąwszy przez stół, aż zatrzeszczało obciążone krzesło, szturchnął Conana, by skierować jego uwagę na nieznaną.

Cymmerianin, zajęty przenoszeniem gulaszu z talerza do ust za pomocą cienkich pałeczek, na chwilę oderwał się od jedzenia. - Hmm. Trudno odgadnąć jej wiek i usposobienie. Jednak ze stroju i królewskich manier wnosząc, jest właścicielką tego lokalu i jednocześnie jego gospodynią.

Oliwkowa twarz Babraka pociemniała od rumieńca. Młodzieniec spuścił wzrok. - Nie musicie mnie besztać - zaprotestował delikatnie. - Stwierdziłem jedynie, że to wspaniale móc ujrzeć mieszkankę Venjipuru o tak dobrych manierach, kiedy...

- Tak - zarechotał porozumiewawczo Jurna. - A teraz, niewątpliwie, chciałbyś dowiedzieć się, jakie maniery okazuje w sytuacjach intymnych! - Uśmiech błysnął na czarnej twarzy. - Ależ Babraku, stary druhu, ani myślimy cię łąć! Wręcz przeciwnie, wesprzemy cię w tym przedsięwzięciu i przysięgamy zrobić wszystko co możliwe, aby ci się powiodło! Czyż nie, Conanie? - Cymmerianin tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Nie, to bzdura. - Młody Turańczyk potrząsnął głową niezdecydowany. Nie potrafił jednak oderwać wzroku od pełnej godności kobiety, oczekując, że może wreszcie odwzajemni jego spojrzenie. - Nie myślałem o niczym takim. Moje zainteresowanie ma charakter czysto estetyczny. Jak już wam mówiłem, przyjąłem nakazy Tarima dla wojowników Prawdziwej Wiary.

- Zaraz, zaraz, Babraku - szepnął Conan do drugiego ucha zdenerwowanemu młodzieńcowi - jeśli będziesz przestrzegać tych zasad zbyt rygorystycznie, nie przybędzie rycerzy broniących wiary.

- Tak, chłopcze - wtórował mu z rozbawieniem Jurna. - Gdyby Tarim chciał, aby jego wyznawcy zachowywali całkowitą czystość, kierowałyby swe kazania wyłącznie do eunuchów!

- Kushito, okiełznaj swój język! - Babrak z błyskiem oburzenia w oku poderwał się zza stołu. Błękitno odziana kobieta obróciła się na swym stołku z wysokim oparciem i popatrzyła w ich stronę w sposób, który mógł być wyrazem zainteresowania.

- Zaraz, zaraz, Babraku, on mówił to w żartach. - Conan próbował uspokoić zagniewanego Turańczyka. - Jednak w tym wszystkim może być nieco słuszności... Zapytam cię więc, czyż nie jest prawdą, że te same cielesne uciechy, których prawdziwi wyznawcy ślubują unikać w życiu doczesnym, są obiecanie jako nagroda dla wiernych w następnym żywocie?

Babrak z wahaniem przytaknął, a jego oczy w sposób nieunikniony znowu powędrowały na drugi koniec izby. - Tak, tak właśnie jest.

- Więc powiedz mi, wyznawco Tarima - Conan mówił powoli i rozsądnie. - Jeśli nigdy nie skosztujesz rajskich rozkoszy, skąd będziesz mógł znać ich prawdziwą wartość na tamtym świecie? Jak w tej sytuacji mogą być one zachętą do służenia twemu bogu? - Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi. Rozchylone wargi młodzieńca i szeroko rozwarte oczy świadczyły o głębokim zamyśleniu. - Jeśli będziesz przestrzegać świętych praw zbyt ściśle, to czy twoje nogi nie staną się w efekcie mniej szybkie, a miecz mniej ostry w obronie wiary? Czy nie powinienesz najpierw wypróbować wartość darów obiecanych przez Tarima, by potem móc z pełnym przekonaniem dążyć do rajcu?

Babrak wyraźnie uznał ten argument za nieodparty, gdyż spojrzał na Conana z błyskiem zrozumienia w oku. To wystarczyło. Na pierwszy sygnał

przyzwolenia ze strony młodzieńca, przyjaciele zerwali się na nogi, przewracając brudny trzcinowy stolik, ujęli Babraka pod ramię i poprowadzili go przez izbę ku olśniewającej reprezentantce płci pięknej Venjipuru.

- Witaj, wielmożna pani. - Jurna pierwszy odezwał się do dystygowanej kobiety. Przemówił po turańsku, zasalutował i głęboko się uklonił, nie puszczając jednak przy tym opierającego się Babraka. - Pani, nie mogliśmy już dłużej czekać... Ten oto nasz przyjaciel pragnie wyrazić ci swoje uwielbienie i podziw dla twej urody i elegancji. Kobieta milczała. Ledwie musnęła wzrokiem natrętów. Ciemnoczerwone wargi ściągnęła z udawaną skromnością, wyraźnie hamując uśmiech. Delikatne zmarszczki na jej czole były pieczołowicie wygładzone i zapudrowane. Oczy o kształcie migdału w ciemnej oprawie patrzyły twardo. Twarz nieznanym odznaczała się surową symetrią rysów, typową dla kobiet wschodu. Conan wprawnym okiem ocenił kształt piersi i smukłość kostek na tyle, na ile pozwalała mu je dostrzec obcisła suknia.

- Naprawdę, droga pani - odezwał się, by jakoś zatuszować krępujące milczenie Babraka. - Dla nas, wojowników, widok tak pięknego ciała wystarcza, aby rozpalić krew i... zachęca do boju, by tłuc i siec wroga! - Nieprzywykły do dwornej konwersacji, zerknął na Babraka, czekając na pomoc. Ale młodzian stał milcząc ze spuszczoneym wzrokiem i wyraźnie się rumienił.

- Oczywiście, szanowna pani - znowu ochoczo włączył się Jurna. - Nie mówiąc już o tym, jakiego cudu odnowy mógłby doznać żołnierz dzięki przebywaniu w pobliżu twych wdzięków. - Puścił oko do Conana, który słuchał z podziwem. Nie zauważył dotąd u Kushity talentu do prawienia komplementów.

Tajemnicza kobieta zamrugła ze zdumieniem.

- Panowie, jesteście bardzo mili i... odważni, mówiąc do mnie w ten sposób. - Pewność w jej głosie i elegancka turańszczyzna, w której została sformułowana odpowiedź, sprawiły, że Babrak jakby odzyskał otuchę i znów ukradkowo zerknął na egzotyczną piękność.

- Na szczęście dla was - ciągnęła z przymkniętymi powiekami - nie mam nic przeciwko spędzeniu tego wieczoru w czyimś towarzystwie. - To oświadczenie skierowane było nie tyle do Babraka i jego kompanów, co do spoglądających spoode łba kucharzy i posługaczy, którzy zaczęli się gromadzić w pobliżu szynkwasy. Znaczący wzrok ich pani spowodował, że bez słowa się rozeszli. - Ale błagam was panowie - wargi kobiety ściągnęły się w dobrze wyćwiczonym, uwodzicielskim uśmiechu - bez przesady. Względy trzech takich wojowników, to zbyt wielka uprzejmość. - Popatrzyła na Conana i Jumę z subtelnie grzecznym brakiem zainteresowania. - Mam nadzieję miło spędzić czas z jednym z was.

- No cóż, więc będzie to nasz młody przyjaciel - oświadczył bez wahania Jurna, popychając Babraka do przodu. - Choć jesteśmy nierozłączni, zwłaszcza w podróży - mówiąc te słowa, popatrzył na tłoczących się wokół tubylców - zależy nam, aby miło spędzić czas przepustki! Nie stajemy więc sobie nawzajem na drodze. Czyż nie tak, przyjacielu? - Szturchnął milczącego Babraka. - Mmma, tak. Tak jest. - Turańczyk ledwie zdołał wydobyć z siebie jakiś artykułowany dźwięk, po czym znów zaniemówił, wpatrzony w nieznaną.

- Bardzo dobrze - powiedziała wreszcie, nie doczekawszy się już ani słowa więcej od zagapionego w nią z zachwytem młodzieńca. - Pozostaje więc tylko kwestia ceny.

Jurna skinął głową bez zdziwienia.

- Nie wątpię, że dogadamy się co do sumy. Nie będzie chyba zbyt wygórowana.

- Nie ma o czym mówić, nie jestem uboga - wyznała otwarcie kobieta. - Ile żądacie?

Tym razem osłupiał Jurna. Conan niezbyt czuły na obrazę nie zareagował dość szybko, ale zauważył, że Babrak sztywnieje.

- Pani, mylisz się co do mnie! Ja nie jestem...! To znaczy, chciałem powiedzieć...! - Gniew i zakłopotanie odmalowały się na twarzy młodzieńca, uszlachetniając jej rysy.

- Nie, nie gniewaj się żołnierzu! Uspokój się. Nie ma już mowy o żadnej zapłacie. - Kobieta, spokojna mimo gwałtownej reakcji Turańczyka, uśmiechnęła się zalotnie. - Chciałam jedynie zażartować, by cię trochę rozruszać i... byśmy mogli czuć się sobie równi.

Babrak spoglądał na nią niepewnie, lecz Jurna, jak zawsze, przyszedł mu z pomocą.

- Ta tylko żart, nic innego jak nieporozumienie! Sam widzisz, nie tylko

piękna, ale jeszcze rozumna! Masz bezbłędny gust, chłopie! - Kushita zdecydowanie pchnął Babraka na krzesło, przyniesione przez jednego z posługaczy. - Siadaj i poznajcie się lepiej! Zobaczymy się później tu lub w naszym zajezdzie. Najserdeczniejsze gratulacje. Bawcie się dobrze oboje!

Wycofawszy się do swego stolika, Conan i Jurna obserwowali, co się dzieje w oberży, ale wkrótce ich to znudziło. Babrak i jego dama gawędzili z poważnymi minami. Pochylali się coraz bliżej ku sobie, zapominając o swych napojach. W końcu kobieta wstała i powiodła młodego Turańczyka przez zasłonięte kotarą z koralików drzwi gdzieś na tyły domu. Nie było to dla obu przyjaciół niespodzianką.

Przerzucili się teraz na kwas chlebowy, który choć smaczniejszy od kumysu, czynił ich skołowane głowy mniej skorymi do żartów. Skutki spożycia tak znacznej ilości obu napojów nie pozwoliły długo na siebie czekać. W miarę zapadania nocy lokal, który przedtem zdawał się zaciszny, zaczął się ożywiać. Gdzieś na zapleczu rozlegały się typowe dla takich miejsc dźwięki, pobrzękiwania muzyki, piski kobiet. Zaroiło się od żyjących z wojny mężczyzn, zarówno Turańczyków jak i Venji, włóczących się po knajpach w poszukiwaniu rozkoszy i zysku. Przed oczami Jurny i Conana paradował szereg dziwek obojga płci i rozmaitych specjalności. Natarczywie narzucali się handlarze lotosu, który można było, zależnie od upodobań, żuć, ssać, wdychać, pić lub wcierać w płytkie nacięcia na skórze. Pewien szczerzący zęby w uśmiechu kupiec oferował żołnierzom sznury pokurczonych, szerniałych ludzkich uszu. Ta niecodzienna ozdoba miała dowodzić, iż nabywca dziarsko sprawiał się podczas walk w dżungli.

Od większości tych indywiduów Conan i Jurna zdołali opędzić się gestami lub kopniakami, nie żałując przy tym obelg i wymysłów. Nikt nie odważył się odpowiedzieć pijanym cudzoziemcom w podobny sposób, gdyż dało się już zauważyć, że są oni uprzywilejowanymi gośćmi w tej oberży. Respekt budził też zarówno imponujący wzrost obu wojowników, jak i ich jawne nieokrzesanie. Awanturę wywołał jednak w końcu zupełnie ktoś inny.

Wśród mężczyzn tłoczących się przy szynkwasiu Jurna i Conan rozpoznali Orvada, olbrzymiego żołnierza z Północy. Udawali, że go nie poznają, bo nie mieli ochoty zabawiać się tej nocy kosztem jego tępoty. Poza tym Orvad w niemiły sposób przywodził na myśl służbę i garnizon. Zнали prymitywnego olbrzyma od najgorszej strony, ale wściekły ryk dobiegający z drugiego końca izby stanowił dla nich zaskoczenie.

Dojrzeli szczerzącego gniewnie zęby Orvada. Jego krzaczaste brwi zbiegły się z wściekłością nad paciorkowatymi oczami, a ogromna dłoń odgarniała potargane czarne włosy. Trwało to chwilę, po czym olbrzym rzucił się na nieprzyjaciela.

Nieszczęsny sprzedawca uszu, szczupły mężczyzna w średnim wieku, nie miał szans. Ujrzeli, jak uniesiony ponad głowy tłumu, bezwładny w wielkich rękach napastnika, uderzył o solidny drewniany podtrzymujący sklepienie filar. Odcięte uszy rozsypały się po podłodze. Po tym wyczynie Orvad natychmiast stał się centrum wrzeszczącego kłębowiska splecionych w walce ciał. Wymieniwszy spojrzenia, Conan i Jurna bez słowa rzucili się na pomoc.

Z uprzejmości dla Babraka i jego miłej gospodyni nie dobywali noży. Uchylali się przed ciosami i osłaniali uniesionymi stołkami jak tarczą. Conan szybko pojał sens mody na wiklinowe meble. Nie dawało się ich użyć do zadania przeciwnikowi poważnych obrażeń. Przedzierając się przez płataninę ciał, miotających się wokół Orvada, Cymmerianin odrzucał napastników na boki lub tłukł ich kułakami. Drobną Venji nie mieli zamiaru spokojnie czekać na razy przybysza z Północy. Odskakiwali do tyłu ledwie muśnięci, uchylali się przed ciosami, nawet próbowali przytrzymać mu ręce. Conan nie był zachwycony taką walką. Zbyt przypominała ona dziecięcą bitwę na poduszki.

Orvad odnosił większe sukcesy. Ciskał ciałami nieprzyjaciół o ściany i strop. Używał nieprzytomnych jako maczugi. Prawdę powiedziawszy, systematycznie oczyszczał izbę z tubylców i właściwie nie była mu potrzebna pomoc towarzyszy broni, niemal równie roślących jak on sam. Widząc to Jurna i Conan ponownie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Czekają ich o wiele trudniejsze zadanie - uspokojenie rozwścieczonego giganta.

Orvad nigdy nie należał do osób słuchających głosu rozsądku, w tej chwili zaś był od tego jak najdalszy. Kiedy przyjaciele schwycili go za ramiona, strząsnął z siebie ich ręce silnymi ciosami łokci. Zatoczyli się pozbawieni tchu, równie bezsilni jak rachityczni Venji. Conan wykrzyczał Orwadowi

ostrzeżenie prosto w twarz, na co ten odpowiedział niedźwiedzim uściskiem, rycząc i zgrzytając zębami. Należało uciec się do przemocy. Jurna schwycił gliniany dzbanek na kumys i rąbnął olbrzymu w kark. Dalsze ciosy i kopniak w podbrzusze oszołomiły miotającego się wojownika, a uderzenie w skroń dokończyło dzieło.

Po chwili kuląc się i jęcząc, Orvad osłabł na tyle, że dwaj przyjaciele zdecydowali się doprowadzić go do ławki przy drzwiach. Niestety, zanim Conan i Jurna zdołali zapanować nad sytuacją, olbrzym znowu wpadł w furję, pchnął swych wybawców na stoły i wypadł z izby, jak buhaj uciekający z jatki.

Wspomagając się wzajemnie, Cymmerianin i Kushita podnieśli się z drewnianej podłogi, pokrytej mazią z napojów i krwi. Zgodnie porzucili wszelką myśl o pogoni. Przyjrzeni się natomiast uważnie pozostałym w oberży tubylcom, niepewni, czy mają oczekiwać spontanicznych podziękowań, czy nowego ataku. Posługacze byli jednak zajęci wywlekaniem ciał i ustawianiem mebli, tak jakby nic się nie stało. Conan i Jurna dokończyli więc swój kwas chlebowy, zyskując dość czasu, by ochłonać i pozwolić Orvadowi umknąć w spokoju. Potem wyszli.

- Na Otumbe i Ijo! - Jurna przystanął, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem świateł karczmy. - Ten Orvad to góra mięśni! I zna kilka brzydkich sztuczek. - Czarnoskóry pomasaował kark, rozglądając się jednocześnie w poszukiwaniu oznak niebezpieczeństwa. - Szkoda, że nie ma nawet odrobiny mózgu. Potrafiłby bić się równie dobrze jak ty, Conanie, czyja! - W ciemności zaułka błysnął jego uśmiech. - Aha. Ale ja jestem znacznie mniej mężny niż byłem godzinę temu. - Cymmerianin stąpał niezgrabnie po bruku. Ból przeszywał mu najgłębsze włókna uda. - Wydaje mi się, że zbyt wcześnie użyłem mojej nieszczęsnej nogi jako pałki na tego zwalistego głupka! O Cromie, boli tak bardzo, że wątpię czy zdołam daleko zajść.

- Hej, pozwól, że ci pomogę. - Jurna przysunął się do Conana i ujął go pod ramię. - Dalejże, wesprzyj się tak mocno, jak tylko chcesz. Udawaj, żeś pijany - jeśli musisz udawać! - Ruszyli na powrót ku głównej ulicy w miarę szybkim krokiem, stanowiącym kompromis pomiędzy możliwościami każdego z nich. - Najlepiej ci teraz zrobi łóżko w zajeździe. - Spokojne łóżko bez żadnego towarzystwa, jeśli w ogóle mam tu coś do gadania!

- Nie, noc się dopiero zaczęła. - Conan powstrzymywał jęk, który wrywał mu się niemal przy każdym kroku. - Mam chętkę na jeszcze jeden czy dwa kufelki, by ulżyć bólowi...

- Kolejny kufelek! To dokładnie to, o czym myślałem! - Głos i cień majaczący przed nimi w mroku pojawiły się tak nagle i nieoczekiwanie, że przyjaciele musieli się zatrzymać, by uniknąć zderzenia. - Chętnie postawię wam kielicha, byle mieć szansę pogadać z bohaterskim Conanem i jego najlepszym druhem, sierżantem Jurną. - Nieznajomy przemawiał najczystsza turańszczyzną, w sposób spokojny i serdeczny. Nie była to jednak pijacka wylewność.

- Masz nad nami pewną przewagę, chłopie - odpowiedział ostrożnie Jurna, odstępując od Conana, by zyskać swobodę rąk i dostęp do broni. - Czy my się znamy?

- Czy mnie znacie? Nie z twarzy ani imienia. Niech pomyślę... tylko jako współbojownika o świętą sprawę. I jako tego, z którym warto wypić, gdy stawia.

Gdy obcy mówił, Conan starał się dojrzeć szczegóły sylwetki, która przesłaniała im światło padające z sąsiedniej ulicy. Wydawało mu się, iż ten mroczny teraz odcinek zaułka rozjaśniała lampa oliwna, kiedy przechodzili tędy po raz pierwszy. Czy to możliwe, że się już wypaliła, albo właściciel ją zabrał? Z całą pewnością była to ta sama droga. Cymmerianin zyskiwał potwierdzenie dzięki dźwiękom i nikłej poświacie w górze. Nieznajomy niemal na pewno wyszedł z jednego z tych bocznych przejść. Jednak fakt, że natychmiast rozpoznał obu przyjaciół, trudno było wyjaśnić jedynie jego bystrym wzrokiem.

- No dobra, człowieku... - Głos Jurny brzmiał ostro, jakby czarnoskóry tracił resztki cierpliwości. - Jeśli masz jakieś imię, to je wymów i módl się, by nie znajdowało się ono na długiej liście mych wrogów! Ostrzegam, nie bardzo wierzę, by ktokolwiek życzliwy mógł zatrzymywać nas w tym zdradliwym miejscu.

Conanowi wydało się, że słyszy jakieś ciche, podejrzone dźwięki. Być może zgrzyt broni... albo chrzęst potłuczonego szkła pod nogami. Czyżby rozbity klosz lampy? Szmer zdawał się dobiegać z tyłu, choć Cymmerianin był pewien, że w delikatnej poświacie rzucanej przez rozwarte drzwi do oberży nie poruszył się żaden cień.

- W porządku. Jeśli chodzi o imię, to jestem Rabak - odparł nieznajomy

głośno, lecz jakby z zakłopotaniem. - Może ma zagłuszyć zbliżanie się niewidocznych sprzymierzeńców, pomyślał Conan. - Jeśli zaś chodzi o ten zaułek, to z całego serca się z wami zgadzam. Chciałbym zaproponować, byście towarzyszyli mi do bardziej sympatycznego miejsca. Wgłębi tej bocznej uliczki...

Wzrok Conana, wyostrozony przez desperację, wyłowił w końcu szczegół, który był w stanie rozpoznać: delikatny połysk światła gwiazd na nie osłoniętym tkaniną metalu. Conan dyskretnie szturchnął Jume i wyrysował mu ostrzegawczy znak na gołej skórze pleców. Uścisk dłoni Kushity powiedział Cymmerianinowi, że sygnał został rozpoznany. Znakiem, który pragnął przyjacielowi unaocznic była ciasna spirala drutu, broń doborowej jednostki cesarskiej, znanej jako Czerwoni Dusieciele.

- ...do domu, gdzie tacy jak wy bohaterowie są zawsze mile witani... A nawet trochę rozpieszczani - ciągnął niewidoczny w mroku rozmówca. - Mam dla was propozycję, którą warto by omówić...

- Omów ją ze swymi przodkami w piekle! - Miecz błyskawicznie znalazł się w dłoni Conana. Cymmerianin ciął na oślep. Szybki skręt ciała nie uchronił nieznanego. Klinga do połowy wbiła się w jego brzuch. Agonalny krzyk zabrzmiał równocześnie z tupotem wielu nóg. Conan żwawo wyciągnął miecz z trzewi ofiary i odwrócił się, by stawić czoła ledwie widocznym napastnikom.

- Jumo, jesteście okrażeni! Plecami do siebie! - krzyknął i w tym samym momencie usłyszał świst stali, zgrzyt i jęk. To Kushita włączył się do walki. Zaraz potem czyjeś rozpędzone ciało uderzyło Conana, niemal go przewracając. Pojął wówczas, że w tłumie i zgiełku utracił rozeznanie, kto jest kim. Uderzył na cienie, napotykając dziwnie niemrawy opór. Zaczął więc ograniczać ciosy z obawy, iż mógłby ranić przyjaciela. Ulubiona taktyka Cymmerianina, polegająca na szaleńczej szarży, była niemożliwa ze względu na nogę, która ciążyła bezwładnie, nadwerżona niedawną potyczką. Minał natomiast ból, wypłukany z żył emocjami walki. - Jumo, jestem tutaj! Nie odpowiadaj! - Conan wiedział, że Jurna mógł się właśnie skradać w ciemności do nieprzyjaciela. Takiemu posunięciu bardzo sprzyjał czarny kolor jego skóry. Jednak okrzyk zwrócił uwagę napastników. Klinga miecza cięła na wysokości szyi, zbyt niespodzianie, by Cymmerianin mógł się uchylić i zbyt szybko, by sparował cios. Niemał jednocześnie natarła na Conana jakaś postać. Coś świsnęło w powietrzu nad jego głową, zadrapując boleśnie nos i podbródek. Druciana pętla. Na szczęście oprócz szyi otoczyła również uniesioną ku twarzy rękę, ale mimo wszystko natychmiast zaczęła się niebezpiecznie zaciskać.

Chwała Gromowi, że te cienie były przynajmniej znanymi wrogami! Ugodziwszy w plecy jednego z napastników, Conan skierował czubek jatagana w górę, by przeciąć pętlę, ryzykując przy tym, że zrani się w twarz lub uwięzioną rękę. Miecz nie zdołał przeciąć drutu, jednakże desperackie pchnięcie do tyłu przeszło dłoń zaciskającego pętlę dusiciela. Rozległ się dziki skowyt. Ucisk na gardle zelżał, ale po chwili inne jakieś ciało uderzyło w Conana, przypierając go do twardego kamiennego muru i przytłaczając swym bezlitosnym ciężarem.

Cymmerianin usłyszał jeszcze własny jęk, gdy osłabiona noga skręciła się pod nim i ugięła. Osunął się na ziemię pod ciosem. Ciemność nagle rozkwitła żywymi kolorami tęczy.

Sparaliżowało go bolesne uczucie bezsilności. Czubek zimnego, ostrego jak brzytwa noża wżynał mu się w gardło. Ktoś odsłonił lampę. Teraz jej żółte światło falowało, wydobywając z mroku demoniczne twarze, które zawisły w powietrzu przed oczami Conana. Większość z nich wykrzywiały zawzięte, cyniczne grymasy. Były to pokryte bliznami oblicza zabójców z dżungli i ciemnych zaułków - dusicieli i ulicznych mętów.

Cymmerianin poczuł, że stal wgryza się głębiej w jego szyję. Potem dostrzegł jeszcze jedną twarz pozbawioną emocji, największą ze wszystkich, przesuwającą się ociężale jak olbrzymia planeta. Nieprawdopodobne. Oblicze, które rozpoznał, należało do Soola, zwalistego oprawcy, często widywanego w Forcie Sikander. Obok ogromnej twarzy wypłynęła olbrzymia dłoń, by zwolnić nacisk noża na szyi Conana. Grube, oślizgłe wargi rozchyliły się. Conan dosłyszał jedynie dwa słowa: „Phang Loon”.

IX

Zamek władcy

Rzeczywistość wibrowała jakąś melodią, początkowo delikatnie pulsująca, potem narastająca gwałtownie do niewyobrażalnych rozmiarów. Nagle eksplodowała i rozleciała się w strzępy echa. Niektóre z okrucich dźwięku niemal namacalnie musnęły głowę Conana. Miał wrażenie, że wokół skroni łopocze mu stado nietoperzy.

Pojękując i zapadając się w jedwabnych poduszkach, Conan uniósł dłonie do czoła, by odegnąć zamęt myśli. W oszołomieniu mrugał zaspanymi oczami. Ogromny mosiężny gong w wykończonej łukiem lakierowanej ramie drgał, wysyłając koncentryczne fale stłumionego dźwięku. Kłocowaty oprawca Sool odkładał właśnie pokryte aksamitem młoteczki. Odwrócił się, dostrzegłszy spojrzenie Conana, i z wymuszonym uśmiechem wyższości założył ramiona na piersi. Czekał w milczeniu.

Otoczały ich pozbawione okien ściany z wypolerowanego kamienia, zdobione jedwabnymi draperiami i kruchymi, koronkowymi niemal płaskorzeźbami z kości słoniowej i drewna lękowego. Rozstawione po całym pokoju lakierowane stoliki dźwigały lampy oliwne, a ich osłonięte kloszem płomienie rzucały przyćmione światło.

- Gdzie... Co to... za miejsce? - Conan zebrał siły, by usiąść. Zdołał jednak tylko przetoczyć się na bok pośród zapadających się poduszek. Kręciło mu się kręciło. - Niech to szlag, gdzie jestem? I gdzie jest Jurna? Szarpiący ból ostrzegał o stanie chorej nogi, ale mimo wszystko wydawał się jakiś dziwnie łagodny. Wsparłszy się na jedwabnym wałku, Cymmerianin dotknął zdrętviałymi palcami szyi. Zastygłe skrzepy otaczały długie rozcięcie skóry. Nie odczuwał jednak żadnego bólu.

- Daliście mi narkotyk - powiedział chrapliwie, zniżając głos w obawie, by nie spowodować krwotoku.

- Nie martw się, działanie lotosu przemija. - Mocny, o typowym dla Venji akcencie głos dobiegł go od strony drzwi. Conan ujrzał eleganckiego oficera, dziwnie wysokiego i muskularnego jak na południowca. Mężczyzna nosił się na modłę turańską. Wojskową tunikę i turban z jasno-błękitnej tkaniny ozdobiły kosztowne, wyszywane złotem ornamenty. Pomiedzy kozia bródka i wasami błysnęła bielą uśmiech.

- Wybacz memu słudze Soolowi, że mnie nie zaanonsował, sierżancie. - Przybysz skinął rękaw stronę oprawcy, który mimo znacznej tuszy trwał zgięty w pół przed swym panem. - Jestem Phang Loon, Pan Venjipuru.

Conan podciągnął się do pozycji siedzącej. Wymagały tego reguły grzeczności, a także względy bezpieczeństwa.

- Nie jesteś Venji - wychrypiał, badawczo przyglądając się władcy.

- Przez mych przodków - nie, dzięki bogom. W każdym razie nie bardziej niż ty jesteś Turańczykiem. - Uśmiech Phang Loona był jeszcze bardziej sztuczny niż uprzejmość jego sługi. Wyglądało na to, że pan Venjipuru nie zaakceptował ostatniej uwagi ani tego, kto ją poczynił. - Jednak z urodzenia jestem Venji. - Miękkim ruchem usadowił się na lakierowanym taborecie pośród morza poduszek. - Mój ród przybył ze wschodu, z kraju Khitai, gdy gigantyczne imperium Venji padło przytłoczone swym własnym ogromem. A mieliśmy tu wpływy nawet wcześniej - dzięki podbojom, handlowi i zręcznej dyplomacji. Teraz nasza dominacja wkroczyła w nową fazę. - Krzyżując nogi, władca uśmiechnął się z zadowoleniem. - Twój cesarz, Yildiz, w swej mądrości rozpoznał, że tylko ja mogę władać Venjipurem. Inni, jak generał Abolhassan, pokładają we mnie jeszcze większą ufność.

Conan zmienił pozycję, próbując niepostrzeżenie przesunąć pod siebie zdrową nogę. - Jeśli mój pan ogłosił cię tutejszym satrapą z uwagi na twą zręczność w piractwie i handlu narkotykami, to nie zgłaszam sprzeciwu. - Conan zdusił jęk bólu. - Nie znam tego Abolhassana, ale skoro jest on generałem Yildiza, podlegam jego rozkazom. Dlatego chciałbym wiedzieć, gdzie jestem? Dlaczego tu jestem i gdzie podział się mój przyjaciel?

Z miną świadczącą o wystawionej na ciężką próbę cierpliwości, Phang Loon podniósł się z taboretu.

- Na proste pytania, sierżancie, jest prosta odpowiedź. Wyraźnie chcesz sprawdzić granice mojej wyrozumiałości. Otóż mamy przyjemność przebywać w pałacu nad zatoką Tarqheba, z dala od plugastw miasta. Jeśli chodzi o twojego przyjaciela, to chwilowo zgubiłem jego trop. Ale nie obawiaj się, nakazałem swoim agentom przetrząsnąć wszystkie karczmy i burdele, więc i on również będzie miał przyjemność zakosztować mojej gościnności. - Phang Loon obrócił się do Conana, uśmiechając się już znacznie mniej łaskawie. - Jeśli zaś chodzi o ciebie, sierżancie, zostałeś tu sprowadzony zgodnie z tajnym rozkazem oficerów



sztabu generalnego. Uznali oni, że twoja użyteczność dla armii turańskiej skończyła się. Być może mieli na myśli tę ranę, twój brak oglądy albo jakieś nierozważne postęпки... Lub też zadecydowali, ot tak sobie. - Władca ze zrozumieniem potrząsnął głową. - Jak wiesz, najwyższe dowództwo musi codziennie rozważać sprawy, których niscy rangą podwładni nigdy nie zdołają pojąć.

Splótłszy dłonie za plecami, Phang Loon odwrócił się i zaczął chodzić tam i z powrotem, a jego kawaleryjskie buty wystukiwały precyzyjny rytm na wypolerowanych kamiennych płytach posadzki. Wreszcie zatrzymał się - jaskrawa sylwetka na tle mosiężnego gongu. - Normalnie tego typu rozkaz oznacza śmierć. Smutne, zmarnowane życie człowieka, który mógłby, gdyby nie jego przekłeta wiedza lub występki, służyć władcy jeszcze w przyszłości. - Potrząsnął głową z dezaprobatą.

- Na szczęście tu, na Wschodzie, nie jesteśmy tak marnotrawni jak w waszych północnych krajach. Mądrość przodków, wyniesiona z mego rodzinnego Khitai, a także łatwy dostęp do rzadkich magicznych substancji daje nam w Venjipurze środki do oczyszczenia ludzkiej duszy i usunięcia z niej wszelkich zalażków występkę lub nielojalności. Jak myślisz, dlaczego dotychczas tolerowałem twoją impertynencję? Ponieważ mam niezawodny sposób na przekształcenie twych najgłębszych potrzeb i pragnień tak, byś był gotów na moje usługi. - Na twarzy władcy malowała się niezachwiana pewność siebie. - Niezawodny to sposób, gdyż tych, których nie wyleczy moja metoda, wyleczy śmierć. Gwałtowny wysiłek, by dźwignąć się na nogi zdradził jedynie słabość rannego. Spazm bólu rzucił Cymmerianina na kolana. Klęcząc przed swym prześladowcą, Conan bluznął przekleństwami.

- Niech cię diabli porwą, satrapo! Dalejże, poszczuj na mnie swego oprawcę, jeśli się nie boisz. Crom wie, że widziałem, jak miażdży i przypala dość nieszczęsnych ofiar. Ale ostrzegam cię...

- Nie, sierżancie. Tortury nie wchodzą w grę. - Phang Loon przechadzał się poza zasięgiem zdesperowanego jeńca z uśmiechem kpiącego rozbawienia. - Nie groź mi swoimi pogańskimi bożkami ani ich zemstą. Proponuję ci jedynie... wolność w moim domu. Ciesz się nią, lecz wiedz, że jestem zawsze czujny i bezustannie kontroluję każdy twój krok. A jeśli chodzi o ból, to możesz się nie bać. - Władca wskazał na stojący pośrodku pokoju niski stolik, zastawiony małymi emaliowanymi pudełeczkami i słoiczkami z maściami, obok których dymiała kadzielnica. - Jako dobry gospodarz, proponuję ci środki przeciwbólowe. Przedłużą ulgę w cierpieniu. Jeśli wolisz, to zmagaj się bez żadnej pomocy ze swymi ranami i dawnymi grzechami. Wybór należy do ciebie.

Z tymi słowami Phang Loon, eskortowany przez swego sługę, wyszedł. Masywne, zdobione jadem drzwiami huknęły za nimi, a po chwili rozległ się głuchy dźwięk zasuwanej rygla. Conan klęczał, sam w przesyconej aromatami ciszy.

Klnąc pod nosem, wyteżył wszystkie siły, by stanąć na nogi. Ale tym razem przekleństwom towarzyszył głuchy jęk. Zraniona noga ugięła się pod ciężarem ciała i Cymmerianin runął na poduszki. Z dziką zaciętością ponowił próbę. Zmusił się do ignorowania bólu, który teraz narastał, nawet wtedy, gdy noga pozostawała nieruchoma. Opierając się na rękach i jednym kolanie, ranny pełznął ku zastawionemu medykamentami stolikowi.

Dotarłszy wreszcie do celu, zdyszany i czerwony ze wstydu, chwycił za brzeg blatu i podciągnął się. Odpoczął chwilę, wyciągając przed siebie bezużyteczną, sztywną kończynę. Odzyskawszy dech, rozejrzał się po pokoju.

Nie docierało tu światło dzienne. Komnata, w której był uwięziony, z pewnością znajdowała się gdzieś w głębi rozległego zamku. Mógł dojrzeć jedynie wąskie pionowe szczeliny wentylacyjne wysoko w górze, pomiędzy dopasowanymi do siebie, wypolerowanymi kamieniami pod samym sklepieniem. Możliwe, iż służyły one równocześnie do obserwacji wnętrza. Pokój urządony był ze zbytkiem. Kobierce, wyściełane taborety, okryta jedwabiami kanapa. Conan dostrzegł porcelanowy nocnik. Naczynie wyglądało jednak na zbyt delikatne, by po stłuczeniu dać jakieś użyteczne ostrze. Czy Cymmerianina błądziły wokół w poszukiwaniu czegokolwiek, czego można by użyć jako broni. Jednak nawet krótkie młoteczki do bicia w gong zostały zabrane. Jedyną interesującą rzeczą, jaką dostrzegł, były drugie drzwi w przeciwległej ścianie pokoju.

W swym obecnym stanie Conan nie miał ochoty sprawdzać wytrzymałości kamiennego portalu i masywnych wierzei, którymi wyszedł władca. Wyglądały one dostatecznie solidnie, by zniechęcić człowieka nawet w pełni sił i zdrowia. Ale ten mniejszy prostokąt z obitego mosiądzem drewna mógł okazać się łatwy do

wyważenia lub wyłamania.

W tej chwili jednak główny problem Cymmerianina polegał na tym, jakim sposobem przedostać się przez te drzwi i powędrować dalej. Chociaż głębokie blizny ran nie otworzyły się, rozdzierający ból w udzie świadczył o uszkodzeniach wewnętrznych. Każda próba wsparcia się na chorej nodze kończyła się fiaskiem. Pot rosił czoło rannego, który kłął, ile wlezie. Równocześnie wszystkie inne dolegliwości dawały o sobie znać. Skaleczenie na szyi nieprzyjemnie piekło, wydzielając oślizłą ropę, a posiniaczone ciało ciążyło jak z ołowiu. Parny, tropikalny żar, do którego, jak Conanowi się zdawało, zdążył już przywyknąć, dławił i tamował oddech. Powietrze zdawało się oblepiać wszystkie członki. Nadzieję ulgi obiecywało w tej sytuacji wąskie pasemko dymu, który unosił się ze stojącej na stoliku kadzielnicy.

Były to opary lotosu. Conan przemyślał sobie słowa Phang Loona. Tu, w tych słoiczkach i puzderkach rozstawionych na stole, kryje się środek mogący zniweczyć ból i, no tak, przywieść do błogostanu. Nieznajome pragnienie nabierało realnego kształtu z zaskakującą intensywnością. A przecież narkotyk nie mógł zostać wprowadzony do organizmu Conana dawniej niż kilka godzin temu. Z drugiej strony jednak ranny nie miał pojęcia, jak długo działają rozmaite wyciągi i wywary sporządzane przez tutejszych magów. Jakąkolwiek dawkę podali mu ludzie władcy, musiała być ona potężna. Conan wiedział, że jeśli fale cierpienia dalej będą pulsować w jego żyłach, może wkrótce stać się oddanym niewolnikiem lotosu.

Nie żywił jednak wątpliwości, co obecnie powinien uczynić. Wziąwszy szklany słoiczek ze stołu, zdjął wieczko i Conan powąchał podobną do wosku różową maść. Jej delikatny aromat wywołał błysk przyjemności wewnątrz czaszki. Cymmerianin poczuł, jak w reakcji na zapach rozszerzają mu się nozdrza. Dla próby nabrał odrobinę miękkiego mazidła na czubek palca i posmarował szyję. Wodził palcem wzdłuż śladu po ciosie sztyletem. Ciepło i miła ulga rozeszły się natychmiast wokół rany. Następnie uniósł tunikę i musnął wciąż delikatne szramy na udzie. Rozsmarował maść również wzdłuż nabrzmiałych mięśni, gdzie ból szarpał najmocniej.

Wreszcie zmusił się do zakrycia słoiczka. Dłonie drżały mu z rozkoszy. Bardzo ostrożnie, kurczowo go ściskając, umieścił pojemniczek z maścią w kieszeni tuniki. Tymczasem przed oczami Conana rozsnuły się barwne jak kwiaty wizje, a oddech rozpalał mu piersi niczym grzane wino z korzeniami. Ranny nie miał ochoty się ruszać, odkrywając fascynujące światy w dziwacznych kształtach i miękkich cieniach otaczającego go pokoju. Wraz z tym nowym uczuciem bezgranicznej błogości napływała siła. W głowie wciąż kołatała się słabiutko myśl o ucieczce, a narkotyk przetwarzał ją w pełną brawury energię. Cymmerianin wstał, opierając się o stół. Pamiętał, że chora noga jest drętwa i bezwładna. Jednak nie zaznał już bólu. Starając się stąpać ostrożnie i powoli, był w stanie przekuśtykać przez pokój, aż do mniejszych drzwi. Gdy do nich dotarł i położył rękę na klamce, stwierdził że nie są zamknięte. Bezszelestnie ustąpiły pod jego dotykiem.

Wolność w moim domu, powiedział Phang Loon. W porządku, jaka próba nie czekałaby za tymi drzwiami, on, Conan, nigdy nie będzie bardziej gotowy, by jej sprostać. Przytrzymał się framugi i rozejrzał wokół.

Pomieszczenie bardzo przypominało jego komnatę, choć było ciemniejsze i gorzej utrzymane. Trzy czy cztery lampy jarzyły się słabo w jego rogach. Ich światło pozwalało dostrzec, że część mebli i ozdób uległo zniszczeniu. Pokój wyglądał na zaśmiecony, a powietrze niesło woń stęchlizny, nieprzyjemną nawet dla przesyconych zapachem lotosu nozdrzy. I znowu żadnych okien, ale Conanowi wydało się, że w przeciwległej ścianie poprzez długie, zwisające strzępy haftowanej zasłony przezierają kolejne drzwi. Upewniwszy się, że nie nadciąga żadne zagrożenie, Conan ruszył naprzód.

Za jego plecami rozległ się głuchy odgłos, który stał się sygnałem rozpoczynającym istną kakofonię. Odwróciwszy się niezgrabnie, Cymmerianin dostrzegł, że drzwi, przez które wszedł, zatrzasnęły się. Nie mógł pojąć przyczyny, lecz w końcu dojrzał ją mimo przyćmionego światła. Małpa, odziana w połyskujące ozdoby, skakała po belce nadproża. Wtem zobaczył drugie zwierzę, trzecie. Nie, czwarte... Było ich pełno, tuzin lub więcej. Ten fakt zczał do niego docierać aż nazbyt jasno, dzięki narastającym szyderczym skrzekom i piskom. Małpy wspinały się po ścianach jak pajaki, a nawet, co niewiarygodne, zwisały nad jego głową.

Po chwili Conan zorientował się, że pomiędzy ścianami porozciągane były, na tyle wysoko, iż nie mógł do nich sięgnąć, druty służące za doskonałe bieżnie dla zwinnych stworzeń. Małpy skakały po nich, ale wydawało się, że czynią to z mniej radosną energią niż ich żyjące na wolności siostry. Każde ze zwierząt w pokoju nosiło mały złoty hełm i napierśnik, a przy pasie zwisał im połyskujący, na palec długi stalowy półksiężyc. Conan pojął, że otaczają go małpy-wojownicy, a zatrzaśnięcie drzwi było pierwszym elementem zasadzki. Gdy tak patrzył, trójka napastników spuściła się żwawo po ścianie obok framugi i ruszyła ku niemu, odczepiając swe miniaturowe jatagany i wymachując nimi zawzięcie.

Kopniaki byłyby najlepszą metodą na tych, zmuszonych do chodzenia po ziemi mieszkańców drzew, ale Conan wiedział, że taka forma obrony przekraczała możliwości jego zranionej nogi. Zaczął się cofać, ale pojawiła się śmiechota, na jaką narażało takie postępowanie, sztywno pokuśtykał do przodu. Pochylił się, by gołymi rękoma schwytać środkową z małp, ale zwierzak wymknął się, odskoczył na bok i silnie ciał mu dłoń swym ostrym mieczykiem. Gdy Conan rzucił się za maleńkim wrogiem, pozostali wojownicy przyskoczyli atakując go z obu stron. W końcu Cymmerianinowi udało się przytrzymać jednego stwora. Uniósł małpę w górę, mając zamiar cisnąć nią o ścianę. Ale zwierzak nie przestawał walczyć. Szczęrzył do swego prześladowcy małą, kudłatą diabelską mordę, błyskając mu w oczy jataganem, aż wreszcie zatapiał ostre kły w nadgarstku napastnika.

Nagle ciężka, piszcząca, skłębiona masa uderzyła w plecy Conana. Cała horda uzbrojonych małp spadła na niego równocześnie z rozciągniętych pod sklepieniem drutów. Jak pojął w gwałtownym przebiegu świadomości, atak z podłogi był jedynie wybiegiem, mającym odciągnąć jego uwagę od tego, co działo się w górze. Teraz kręcił się i potykał jak szalony, odpychając i straszając z siebie kudłate potwory. Bezowocnie próbował uchronić twarz i łędźwie przed igiełkami ich kłów i maleńkimi szabelkami.

Chwyciwszy skrzeczącą przeraźliwie małpę za kark, zaczął nią wywijać, bicząc własne plecy i zmuszając do rejterady większość wczepionych w niego zwierząt. Próba przedarcia się ku drzwiom spełzła na niczym. Chwiejnym krokiem Conan wrócił na środek pokoju, oddalając się od najgęstszej rojowiska wrzeszczących napastników. Odrzuciwszy na bok zwiotczałe ciało zwierzęcia, które posłużyło za bicz, oderwał od swojej tuniki i wściekle zatłukł jeszcze dwa czy trzy jazgoczące potworki. Lecz inni mali wojownicy szybko rzucili się na niego. Druty znajdowały się na takiej wysokości, że małpy, zwieszając się na nogach, rękach lub ogonach, mogły dosięgnąć jataganami głowy i ramion dorosłego mężczyzny. Używały też chwającego się ciała swej ofiary jako odskoczni do wskakiwania na druty. Ze względu na słabość nogi, Conan bał się przykucnąć, aby nie zostać przewróconym i przygniecionym przez rój nieprzyjaciół.

W końcu nadeszła chwila, gdy uwolnił się od wbitych weń pazurków, a ataki z powietrza osłabły. Cymmerianin nie mógł oszacować swoich ran, gdyż nie odczuwał bólu, tylko swędzenie krwi spływającej z wielu drobnych zadrapań. Jego noga była jak spróchniały pień. Włókł ją za sobą, uważając by nie pośliznąć się na małej krwi i wnętrzościach. Żył z dziwną pewnością, że kudłate maskary przegrupowują się gdzieś w górze do następnego ataku. Jednak zupełnie nie był przygotowany na to, co nastąpiło.

Stwory ruszyły na niego ze wszystkich stron, huśtając się pod drutami w szybko zaciskającym się kręgu. Tym razem noże nie cięły, zwisając nieszkodliwie u pasów niecodziennych wojowników. Nagle dziesiątki maleńkich, niemal ludzkich, dłoni i stóp zacisnęło się na ramionach, włosach, zakrwawionych strzępach tuniki Conana i uniosło go w powietrze. Ku swemu przerażeniu, Cymmerianin poczuł, że jego sandały skrobą bezskutecznie po kamieniach posadzki, a ciało powoli przesuwają w górę. W miarę jak rosła ilość piszczących demonów, druty opuszczały się pod jego i ich ciężarem. Małpy dosięgały coraz niższych partii ciała swej ofiary, piersi, pasa, skraju tuniki. Powoli przemieściły bezradnie miotającego się Cymmerianina do pozycji poziomej i ciągnęły go tak bez wytchnienia w górę, by móc z nim skuteczniej walczyć lub zabawiać się w swym nadziemnym żywiole.

Conana ogarnęła biała gorączka, pokonując nawet otępiające narkotyczne odurzenie. Zaczął bić wszystkimi czterema kończynami, wrzeszczeć niczym rozwścieczone zwierzę, kąsać i szarpać z taką furją jak jego oprawcy, ale z o wiele bardziej zabójczymi wynikami. Uchwyt dziesiątek drobnych palców zaczął słabnąć i w końcu całkiem ustał. Conan spadł. Uderzył plecami o niski stół,

który częściowo załamał się pod jego ciężarem. Wokół leciał deszcz martwych zwierząt. Ranne mały szybko umykały przed gniewem rozjuszonego mężczyzny.

Chwiejąc się i zataczając, Cymmerianin podźwignął się na nogi. Złapał kawałek połamanego stołu, uniósł i wściekle wywijał nim w górze. Sięgnął dostatecznie wysoko, by uderzyć w druty, zabijając przy tym kilka mały i zganiając resztę na ziemię. Gdy skoczył na niego mały oddział, Conan osłonił się przed ich ostrzami deską. Trafił dwie z mały, które skrzecząc rzuciły się do ucieczki.

- Tu was mam, nędzne nadrzewne wszy! - ryknął, waląc stołem o rząd drutów. - Teraz chodźcie do mnie, wy podstępne tchórze! - Jego przeciwnicy odpowiedzieli wściekłym piskiem z bezpiecznej odległości obrzucając go ekskrementami i pestkami owoców.

Czując, że jego szaleńcza siła gwałtownie zanika, Conan pojął, że ta walka nie przyniesie mu chwały. Błyskawicznie odwrócił się i, nie dając swym wrogom szansy na zmianę zamiarów, pokuśtykał do przeciwległych drzwi. Pchnął je, a kiedy się otworzyły, porzucił resztki ciężkiego stołu i wymknął się z małpiej komnaty. Oparł się o płytę drzwi ciężko dysząc i docisnął je szczelnie.

Pokój, w którym się znalazł, okazał się zupełnie niepodobny do poprzedniego - owalny, bogato urządzony, rodzaj galerii lub salonu muzycznego, z mosiężnymi gongami i dzwonekami. Nie dostrzegłszy żadnego zagrożenia, Cymmerianin osunął się na podłogę.

Nie śmiał jeszcze oceniać szkód poniesionych w walce z małpami. Szał bojowy najwyraźniej wyczerpał niezwykły przypływ sił witalnych, użyconych przez lotosowy balsam. Ciało świerbiało od zagłuszonego narkotykiem bólu setek nacięć, nowych ran na szyi i ramionach, a przede wszystkim dokuczała chora noga. Sięgnąwszy do kieszeni podartej tuniki, Conan otworzył trzęsącymi się rękami słoiczek i posmarował różowym mazidłem posieczoną, zakrwawioną szyję i pierś. Tym razem mniej oszczędnie namaścił też spuchnięte udo. Nie doznał już uczucia takiej błogości jak uprzednio, ale szarpiący ból został mocno przytłumiony. Teraz za ścianą żeber serce pompowało krew o wiele spokojniej, więc był w stanie uważnie przyjrzeć się swojemu otoczeniu.

Z sufitu zwieszały się liczne lampy, bez żadnej wyraźnej potrzeby jasno oświetlając komnatę. Pozostałe elementy wyposażenia tego dziwnego wnętrza również wisiały, przytwierdzone mosiężnymi łańcuchami do łuku sklepienia. Były to gongi, czynele i inne metalowe brzękadła. Co najmniej tuzin instrumentów tworzył regularny wzór pośrodku pokoju.

Nie było wśród nich dwóch identycznych. Centralne miejsce zajmował ogromny gong, większy nawet od tego, który zbudził Conana w jego komnacie. Instrument miał brzegi odlane w kształt gorejących płomieni. Przypominał wielkie złote słońce, wokół którego krążyły mniejsze dyski. Obok na luźnym łańcuchu zwieszał się długi, spiżowy bijak. Conan jednym rzutem oka ocenił użyteczność pałki, gdyby tylko dała się wyrwać z uchwytu.

Nie słysząc odgłosów pościgu, podźwignął się na nogi i pociągnął za gałkę u drzwi. Choć nie spostrzegł jak to się stało, drzwi były teraz bezpiecznie zaryglowane. Na wszelki wypadek, powiedział do siebie, niezależnie jakie niebezpieczeństwa jeszcze mogły czyhać, lepiej stawiać im czoło bez skrzeczącej hordy za plecami. Obrzucił uważnym spojrzeniem pokój. Kolejne drzwi znajdowały się na drugim końcu komnaty. Cymmerianin postanowił iść dalej.

Jednakże zanim zdołał ruszyć się z miejsca, uderzył wielki gong. Efekt był ogłuszający. Być może to narkotyk wzmagał wrażenia. Dźwięk pulsował i łomotał w uszach, szarpał wnętrzości. Bijak na łańcuchu czy to wprawiony w ruch przez automat, czy przez jakiegoś człowieka czającego się za ścianą, rozkołysał ciężki dysk. Rozległo się dudniące uderzenie, potem następne. Gong kolebał się ciężkim łukiem od ściany do ściany.

Broniąc się przed intensywnością hałasu, Conan przesunął się na otwartą przestrzeń, gdzie dźwięk zdawał się bardziej rozproszony. Teraz poruszały się i inne gongi, rozkołysane na podtrzymujących je łańcuchach. Cymmerianin pojął, że wprawiają je w ruch niewolnicy, ukryci gdzieś na zewnątrz pokoju. Zaczęły rozbrzmiewać nowe tony. Dzwoniły czynele, niósł się surowy rytm wybijany przez rozhuśtaną mosiężną kulę. Większość gongów nie miała bijaków. Mimo to kołysały się coraz gwałtowniej, uderzały o kamienne ściany lub o siebie nawzajem. Conan szeptem przeklął niewidocznych dzwonników, ale nawet głośne przekleństwa nie zostałyby dosłyszane w narastającym łoskocie.

W miarę jak rozlegało się coraz więcej gongów, hałas w pokoju stawał się

nie do wytrzymania. Conan przesunął się ku środkowi komnaty, rękami zasłaniając uszy. Natężenie dźwięków atakowało już nie tylko słuch, ale i wszystkie żywotne organy.

Cymmerianin zarzucił już pomysł zatrzymania kryzowanego gongu-słońca i wyłaniania jego bijaka. Dysk kołysał się i obracał na wszystkie strony, a jego postrzępione metalowe płomienie groziły oddarciem ciała od kości śmiałkowi, który zdecydowałby się zbliżyć. Wyglądało zresztą na to, że niewielkie były szanse, aby dostać się do tej części pokoju. Pozostałe gongi zakreślały coraz szersze i szybsze łuki, czyniąc niebezpiecznym wszelki nierozważny ruch. Conan odskoczył przed rozpędzonym dyskiem, o brzegach ostrych jak brzytwy, wirującym na mosiężnym łańcuchu. W tej samej chwili poczuł, jak inny, cięższy, gong wali go w ramię. Zachwiał się, lecz szybko złapał równowagę. Potem ostrożnie spróbował wydostać się spomiędzy morderczych kręgów. Przy następnym wahnięciu gongi zderzyły się, wydając ogłuszający brzęk i wprawiając się wzajemnie w szaleńczy wir. Na szczęście dla Conana, trafił go gong o tępych brzegach. Cymmerianin runął na kolana.

Podłoga nie dawała jednak ochrony. Iście szatański układ łańcuchów sprawił, że wysokość, na której kołysały się gongi, była zmienna. Instrumenty czasami zgrzytały o kamienne płyty posadzki, dosięgając nawet najodleglejszych zakątków komnaty. Co gorsza, łańcuchy poruszały także wiszącymi pod sklepieniem lampami, zataczającymi długie, płomieniste łuki. Na głowę uwięzionej w komnacie ofiary spadał deszcz gorącej oliwy, a zmienność światła i cienia całkowicie uniemożliwiała ocenę prędkości i kierunku kołyszących się gongów. Komnata stała się piekłem huków i brzęków, podskakujących cieni, zgrzytu metalu o kamień. Każdy nowy dźwięk ostrzegał przed zabójczym ciosem któregoś z wibrujących gongów. Ale niczego nie można było przewidzieć. Sytuacja co chwila zmieniała się bez ostrzeżenia.

Pośród tego chaosu pełzał Conan. Przyciskał się do podłogi, nie ośmielając się już więcej zasłaniać sobie uszu. Sunął ostrożnie jak ślimak, rozplaszczając się na posadzce lub dając nura w bok, gdy jakiś szaleńczy dysk groził mu unicestwieniem. Dotarłszy wreszcie na środek sali, uchylił się przed wirującym gongiem, którego dźwięk opadł od pisku do jęku, gdy metalowa powierzchnia otarła się o ludzkie ciało. Conan dosłyszał przeraźliwe dzwonięcie. Rozejrzał się wokół. Słoneczny dysk, zawrócony gwałtownie ze swego kursu przez łańcuch bijaka, obrócił się i szerokim łukiem ruszył ku swej ofierze. Nim Cymmerianin zdążył zareagować, dysk był już nad nim. Wypolerowana, błyszcząca powierzchnia musnęła go delikatnie jak pieszczota kochanki i dźwięczący pocisk poleciał dalej.

Solennie ślubując bogom nie zaprzepaścić tej szansy, Conan popełnił po porysowanej, pokaleczonej podłodze. Ciężko dysząc, posuwał się naprzód, mimo powracającego bólu. Zdawał się zarówno na wzrok jak i słuch, próbując ocenić prędkość i kierunek ruchu każdego z gongów po sposobie, w jaki dźwięk wibrował mu w uszach i wewnątrznościach. Na każde trzy skoki do przodu musiał wykonać dwa w tył. Desperacko wypatrywał rozbłysków światła drżącego na zasłonie u końca pokoju. Mając wreszcie możliwość dopadnięcia celu, nie wiedząc czemu na moment zawahał się. W tej sekundzie dwa kołyszące się na boki gongi zderzyły się tuż przed nim, miażdżąc powietrze w miejscu, gdzie powinna właśnie znajdować się jego głowa. Zderzenie zmieniło kierunek ruchu dysków. Conan postanowił zaryzykować. Skoczył na jeden z kręcących się gongów, schwycił się łańcucha i przywarł doń, wirując szaleńczo wraz z instrumentem, ale też kierując się wraz z nim na drugi koniec pokoju. Tu pęd powietrza cisnął go na przed chwilą jeszcze nieosiągalne drzwi.

Dysząc i charcząc, Conan wymacał zamknięcie i otworzył je jednym pociągnięciem. Pospiesznie, by uniknąć zmiażdżenia ostatnim uderzeniem gongu, zanurkował przed siebie i upadł po drugiej stronie progu.

X

Krew i lotos

Ocknął się w ciszy, która grzmiała w jego uszach jak najpotężniejsza katarakta rzeki Styks. Była to jednak prawdziwa cisza, bez śladu dzwonięcia i dudnienia, jakie pozostawił za sobą w owalnym pokoju. Ile czasu upłynęło od ustania tego hałasu? Ile czasu leżał tak skulony i otumaniony w niemal zupełnej

ciemności? Na te pytania nie mogła mu dać odpowiedzi pogrążona w półmroku komnata. Wyglądała na zadymioną, wypełnioną tajemniczym promieniowaniem. Mogły tu czyhać nowe zagrożenia, ale Conan niewiele o to dbał.

Podciągnawszy się do pozycji siedzącej, wydobyl z kieszeni słoiczek z maścią lotosową. Powtórzył kurację, która doprowadziła go aż tutaj. Namaścił szyję, udo. Posmarował także okolice uszu, pragnąc zapobiec skutkom przeraźliwego huku gongów. Tym razem balsam nie przyniósł żadnej widocznej ulgi. Conan czuł się sflaczały i znużony. Ledwie starczyło mu woli, by zmusić się do jakiegokolwiek ruchu. Jednak kiedy wreszcie stanął o własnych siłach, stwierdził że noga znowu może mu służyć za oparcie. Pociągając nią, ruszył przed siebie. Tym razem nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem drzwi za swymi plecami.

Drugi kraniec komnaty pozostawał niewidoczny w zadymionym półmroku. Opary zdawały się wznosić z podłogi, z miseczek lub kadzielnic. Czerwonawy żar delikatnie oświetlał rozszerzające się, falujące kolumny dymu. Conan domyślał się, że musiały one znajdować jakieś ujście w ciemności nad jego głową, gdyż inaczej powietrze w pokoju nie nadawałoby się do oddychania. Mimo to nozdrza mrowiły od gryzącego zapachu palonego drewna i różnych aromatycznych substancji. To nie lotos, ocenił Conan, w każdym razie nie tylko lotos.

Skierował się ku najbliższej grupie kadzielnic. Wydawało mu się, że coś dojrzał pośród nich. Gdy się zbliżył, łyzy rozmyły mu ostrość widzenia. Głowa zaczęła ciążyć. Cymmerianin był bliski utraty świadomości. Zatrzymał się pośród smukłych kolumn dymu i spróbował rękami oczyścić powietrze przed twarzą. Teraz mógł już posuwać się naprzód. Zastygł jednak na widok groteskowego kształtu, oświetlonego przez żar. Na posadzce leżało ciało zdeformowane torturą łamania bambusową ramą.

Mężczyzna, niegdyś wspaniałej postury, teraz wyglądał przerażająco. Nie pozostał żaden skrawek odzieży, by zakryć jego zbrukaną godność. Conan widział śmierć zadawaną w taki sposób przez wojowników Hwong, znęcających się nad turańskimi jeńcami. Gruby jak udo konar ciernistego drzewa thungee prostowano za pomocą kąpieli w solance. Następnie przymocowywano go do skośnej ramy, a drugi koniec podwiązywano od tyłu do szyi ofiary. W miarę jak drewno wysychało, powracając do swej naturalnej krzywizny, kolczasta kora wbijała się w plecy nieszczęśnika. Jednocześnie głowa torturowanego była systematycznie odginana, dopóki zależnie od szczęścia nie został on uduszony lub nie pękł mu kark.

W tym wypadku, jak zgadywał Conan, obsuszanie kolczastego drąga przyspieszyło ciepło żarzących się płomieni, jeśli rzeczywiście tortury dokonano tutaj. W każdym razie był to straszliwy koniec i powolne konanie.

Oglądając zniekształcone ciało, Cymmerianin uświadomił sobie nagle, że wygląd zwłok nie został spowodowany wyłącznie słabością oświetlenia. Pochyliwszy się niżej, przyjrzał się okopconej, zakrwawionej skórze. Nie miała odcienia żółtego ani śniadego, tylko znacznie rzadziej występujący w tych stronach - czarny. Z miejsca gdzie Conan stał, twarz ofiary, odchylona ostro do tyłu za brzeg ramy, była niewidoczna. Pełen złych przeczuć Cymmerianin powłókł się sztywno wokół narzędzia tortur. Teraz ujrzał wyraźnie zamordowanego. Rysy, choć obrzmiałe i zniekształcone, potwierdziły jego najgłębsze obawy. Nie miał już żadnych wątpliwości. U jego stóp leżał martwy Jurna. Nie wierząc własnym oczom, Conan wyciągnął rękę i pogłodził policzek martwego przyjaciela. Skóra była sucha jak pieprz i tak nienaturalnie ciepła, jak falujący wszędzie wokół dym.

Cymmerianin gwałtownie wstrzymał oddech. Dławiła go gorycz dymu i gorycz gniewu. Pragnął oddalić się jak najszybciej od tej przerażającej sceny. Zataczał się, deptając na oślep rozpalone kadzielnice. Nie zauważył bólu. Powłócząc nogami, zagłębił się wreszcie w ciemność. Z podrażnionych oczu ciekły łzy. Przypływ morderczej furii szybko pochłonęło morze rozpacz. Cóż on, Conan, jest w stanie zrobić, samotny i bezbronny w nieodgadnionych przestrzeniach straszliwego więzienia?

Najwidoczniej musiał leżeć nieprzytomny przez całe godziny. W tym czasie Phang Loon schwytał Jurne - być może z powodu jego, Conana, bezmyślnych słów - i skazał na śmierć w największych męczarniach, jakie tylko można sobie wyobrazić. O ile, oczywiście, władca nie kłamał podczas rozmowy z Cymmerianinem. Pewnie schwytałszy Kushitę, przedtem go zamordował...

Ale właściwie, jakież to ma znaczenie? W żadnym wypadku nie było możliwości odwetu. Gdyby nawet Conan zaczął teraz krzyczeć, dając upust swej wściekłości wobec niewidocznych obserwatorów, którzy z pewnością kryją się gdzieś na górze, co mógłby w ten sposób osiągnąć? Jego protest brzmiałby jak

blaganie o litość, żalosne wyznanie słabości. Przenigdy! Conan zdławił smutek. Będzie musiał tłumić ból i oszczędzać go wraz z resztkami siły, jaka mu pozostała.

Odzyskawszy zdolność widzenia, choć wciąż zdeorientowany w ciemności, postanowił raz jeszcze spojrzeć na ciało przyjaciela. Na wprost przed nim dymiła grupa kadzielnic, ale czy były to te same? Wątpliwe. Barwa nikłego płomienia wydawała się nie czerwona, lecz żółta, a unosząca się wokół woń znacznie ostrzejsza. Jednak pośród oparów majaczył jakiś ciemny kształt... Zaciekawiony tym Conan osłonił twarz i śmiało ruszył przed siebie.

Postać oświetlana migocącym żółtym światłem szczęśliwie nie okazała się trupem. Mężczyzna ubrany w koszulę o luźnych rękawach z przetykanego złotem jedwabiu, biały jedwabny pas, lekko spiczaste pantofle i luźną myckę spoczywał w swobodnej pozie. Jednakże jego łożo stanowiła brudna prycza z surowego bambusa, obciążona najpodlejszym brezentem. Z długiej fajki, której cybuch tkwił w ustach śpiącego unosił się dym. Przez szary obłoczek Conan mógł jednak dojrzeć znajome orle oblicze. - Babrak! - Z radością niemal równą dręczącej przed chwilą rozpacz, Conan niepewnie postąpił naprzód. - Miło cię widzieć, przyjacielu! Przynajmniej jesteś żywy... Czy również wpadłeś w łapy ludzi Phang Lopna? - Nie mogąc przyklęknąć z powodu zranionej nogi, Conan gwałtownie przykucnął przed posłaniem. - Babraku, musisz wiedzieć, że zamordowali Jumę! Albo oddali go Hwongom, co na jedno wychodzi. Wypruję im za to flaki! Jurna zmarł okrutną śmiercią. Jego ciało gdzieś tu leży. Czy je widziałeś? Babrak, chłopie, czy ty jesteś przytomny?

Młody Turańczyk odpowiedział jedynie pustym spojrzeniem i nieobecny półuśmiechem rozchyłonych ust. Jego twarz, w blasku ognia delikatnie połyskująca od potu, miała całkowicie bezmyślny wyraz. Ciemnobrazowe oczy były rozszerzone i puste. Tylko wargi regularnie dotykały kościanego ustnika fajki, wciągając kłębiący się strumień szarego dymu.

- No, chłopcze, jesteś znarkotyzowany jeszcze bardziej beznadziejnie niż ja! Nauczyłeś się, ku obrazie swej wiary, pragnąć lotosu! - Podnosząc się z przycy przyjaciela, Conan próbował jeszcze żartować. - Nie powinniśmy byli zostawiać cię na pastwę tej kapryśnej knajpianej zdzirze. To pewnie stara matka Phang Loona! - Śmiech Conana brzmiał martwo i sztywnie. Nie wywołał też żadnej reakcji u Babraka. - Ale nie przejmuj się chłopcze, to otumanienie minie. Jakos zabierzemy cię stąd. Odrzucisz te niemęskie ciuchy przyjemności narkotyku! Chodź, pomóż mi opuścić to piekielne miejsce i pomścić Jumę! - Wyciągnął rękę do bezwładnie leżącego młodzieńca.

Na twarzy Babraka nie ukazał się żaden znak najmniejszego zrozumienia. To, że Turańczyk w ogóle dostrzegł przyjaciela, można było poznać tylko po jednym. Widząc dłoń Conana, oderwał fajkę od ust, tak powoli, że smuga dymu przepłynęła jeszcze od pożółkłego ustnika do wilgotnych warg. Z ospałą grzecznością wyciągnął fajkę, czestując nią Conana.

Ten gest sprawił Cymmerianina w przerażenie. Conan nie krzyczał jednak ani nie wyrwał fajki z dłoni przyjaciela. Wiedział, że musi powstrzymać gniew. Jeśli rzeczywiście istniała nadzieja na uratowanie Babraka, należało postępować łagodnie. Choć Crom jeden wie, że Conan sam ledwie już się włókł. Decyzja o wyprowadzeniu z labiryntu nieprzytomnego przyjaciela poważnie ograniczała szansę Cymmerianina.

Żalność ścisnęła Conanowi trzewia. Co prawda, widział nieraz, jak inni ulegają urokowi lotosu, ale nigdy nie był to ktoś tak mu drogi jak Babrak! Nigdy też nie musiał szukać możliwości ucieczki dla człowieka pogrążonego tak głęboko w narkotycznym transie jak to dziecię Tanina. Z pewnością, myślał Conan, lepiej będzie powrócić po niego później, na czele zbrojnego oddziału... Lub jedynie pomścić go, wyprawiając bebechy Phang Loonowi! Prawdę powiedziawszy, można już było uznać Babraka za trupa. A i samemu Conanowi w każdej chwili groziła równie nędzna śmierć.

Cymmerianin miotał się w rozpacz. Nie umiał podjąć decyzji. Minęło wiele czasu nim postanowił zawrócić i ratować przyjaciela. Ale falujące dymy mamiły go i myliły drogę. Najbliżej unoszące się kolumny oporów nie przypominały już tych, które ostatnio oglądał. Przezroczyście płomienie zdawały się zbyt wysokie, a ich kolor dziwnie blade, widmowo błękitny. Conan zbliżył się.

I tym razem postać, oświetlona blaskiem gorących płomieni, wprawiła go w przerażenie. Chociaż straszliwe przeczucie mówiło mu, czego może oczekiwać, musiał precyzyjnie się przez ścianę gryzącego dymu, by się upewnić. Wówczas to

zażawione oczy upewniły go, że trzecim jeńcem Phang Loona była jego ukochana, Sariya.

Leżała na wyściełanej satyną, pięknie rzeźbionej kanapie, niskiej i długiej, przeznaczonej do snu i miłości. Gładka jedwabna wstęga przepaski biodrowej okrywała jedynie pępek. Frywolna pelerynka, choć malowniczo ułożona, naprawdę niewiele mogła osłonić. Kolczyki, naszyjnik, bransolety i para wysadzanych klejnotami pantofli, które raczej więziły kształtne stopki niż były im niezbędne, dopełniały stroju dziewczyny.

Była żywa. Ogarnięta pożądaniem, leniwie przeciągała się na łożu, na którym spoczywała niczym niewolnica z haremu w oczekiwaniu swego paszy. A jej oczy błąkały się po falujących oparach, a smukłe dłonie gładziły i skubały prześcieradła. Aksamitna skóra błyszczała w błękitnym blasku od obfitego potu.

Cały urok Sariyi, jej spontaniczność kochanki i świeżość młodej dziewczyny znikwały w tej groteskowej scenerii. Conan poczuł przypływ pożądania. Pohamował się jednak całą siłą woli.

- Sariya! Ten potwór ściągnął cię tutaj! - Jego głos chrypiał i drżał. - Chodź, dziewczyno, wydostaniemy się stąd i powrócimy do naszej małej chatki. To koszmarna, tragiczna noc, ale najlepsze można jeszcze ocalić, przysięgam.

Kobieta usłyszała jego głos, to było oczywiste. - Zastygła w bezruchu. Ale zamiast radości jej śliczna twarz okazywała zmieszanie. Migdałowe oczy starały się przeniknąć falujący dym, a rubinowe, wilgotne wargi zaciskały się nerwowo, jak gdyby w przestrachu. Nagle spojrzenie dziewczyny odnalazło mówiącego, a z ust wyrwał się okrzyk grozy.

- Sariya, dziecko, to ja, Conan! Chodź, ucieknijmy stąd! Pozwól mi się wesprzeć na twym ramieniu.

Conan wyciągnął ręce do ukochanej. Jednak złapał tylko pustkę, gdyż dziewczyna skuliła się w najdalszym kącie łoża. Próbując osłonić nagość smukłymi dłońmi o czerwonych paznokciach, patrzyła dziko na intruza, a z szeroko otwartych ust wydobywał się przeszywający, przeraźliwy krzyk.

- Co jest, dziewczyno? Cicho, maleńka. - Gdy tak stał, utraciwszy odwagę, jej krzyki wciąż brzmiały mu w uszach, powodując narastający ból pod czaszką. W końcu histeryczny wrzask przeszedł w monotony skowyt, jakby Sariya znalazła się na granicy szaleństwa. Conan odwrócił się i odszedł w ciemność.

Cóż to za podły drań! Na bogów, jak Phang Loon mógł z taką łatwością odebrać jemu, Conanowi, wszystko, co najdroższe i zbrukać lub całkiem zniszczyć? Czy to rzeczywistość, czy tylko narkotyczny sen? Jak, na litość Cromy, jak można po tym wszystkim żyć? Lepiej byłoby umrzeć. Cymmerianin czuł, że jego dusza już jest martwa, pogrzebana w zimnej piersi! Jedynie lotos zmuszał go jeszcze do wysiłku, wyzwalając resztkę energii... W ciemności zamajaczył niewyraźny kształt następnych drzwi. Nie wahając się, Conan otworzył je.

Spostrzegł obojętnie, że tym razem znalazł się w wydłużonym pokoju, żółto oświetlonym przez przymocowane do ścian lampy. Obrzydliwie śmierdzący dym unosił się z umieszczonych w płytkich wnękach kadzielnic. Jedyną ozdobę tego pomieszczenia i, jeśli Crom pozwoli, śmiertelną pułapką stanowiła wysoka czarna rama, rzeźbiona na kształt splecionych węży. Lustro. Bez ociągania Conan dowlóknął się do kryształowej tafli i zajrzał w głąb.

Okropność nad okropnościami! Wcielone, mrozące duszę zło! Spoza szklanej powierzchni wyzierał obrzydliwy trup... Tunika okrywała go jak całun pogrzebowy. Ciało zdawało się bardziej złachmanione niż okrywająca je przegniła tkanina. Jedynym śladem życia na pożółkłej twarzy były zakrzepłe ropne wycieki. Conan zamarł ze zgrozy. Bez żadnych wątpliwości to on we własnej osobie! Wyciągnął rękę, pomarszczoną, przegniłą rękę. Odbicie w zwierciadle wysunęło ku niemu jakiś zdeformowany szpon! To dlatego Sariya tak krzyczała, niemal dostając pomieszania zmysłów. Conan gorąco dziękował bogom, że dziewczyna nie rozpoznała w tych żywych zwłokach swego kochanka i wybawcy. Mogłaby wówczas dostrzec w nim potwora, odzianego przez śmierć i zdolnego dać jedynie śmierć i rozpacz nieszczęsnej istocie, która weźmie go w objęcia.

Stojąc przed lustrem, sparaliżowany widokiem własnej przerażającej postaci, Conan wodził kruszycami się palcami po bezliku cięć i zadrapań na swej twarzy i ciemieniu, gdzie obwisła, chora skóra odchodziła upiornie od kości. Rozstępująca się blizna na karku, poszarpana i potwornie przeżarta przez rozkład, w każdej chwili groziła głowie odpadnięciem od obnażonych kręgow i wiotkich strun ścięgien. Pocięta, luźno obwisła skóra pod podartą tkaniną



wyglądała jak pokrywająca trumnę pajęczyna. Conan przyglądał się wężlastym konarom ramion i spróchniałym pniom nóg, jednej słabej i bezużytecznej, drugiej obrzmiałej, uginającej się pod ciężarem rozkładu, gotowej rozpaść się i wyrzycić fontanny ropy...

Prawda! To była całkowita prawda! Conan poczuł się nagle zafascynowany przerażającą rzeczywistością. Phang Loon go otruł. Lek uśmierzający jątrzył tylko i zanieczyścił rany. A on, Conan, bezmyślnie godził się smarować tą niosącą rozkład maścią. Sam skazał się na tak potworną śmierć, jakże różną od radosnego zgonu w walce. Czekał go los potwora lub niewolnika Phang Loona, póki gnijące ciało nie rozpadnie się na kawałki zbyt drobne, by odczuwały cierpienie...

- Wciąż jeszcze mogę cię uratować, nieszczęsny. - Mocny głos rozlegał się z drugiego końca komnaty. Stał tam Phang Loon w towarzystwie muskularnego Soola. - To, co widzisz, jest jedynie efektem działania narkotyku. Rozkład da się jeszcze powstrzymać, a nawet odwrócić dzięki lekom. - Sool, na skinienie swego pana, wyciągnął przed siebie garnuszek, znacznie większy od słoiczka, z którego czerpał Conan. - Obraz w tym zwierciadle jest jedynie twoją prawdziwą naturą. Lotos splukał wszelkie złudzenia, zmył je jak oczyszczający kwas! Obdarowałem cię darem widzenia, byś mógł pojąć bezsens swego bytu i poddał się potężniejszej woli. - Mówiąc to, władca powoli zbliżał się do lustra. Sool nie odstępował swego pana nawet na krok.

- Pamiętaj, niewolniku, samozadowolenie i ślepotę, o którą tak skamlesz, tylko ja mogę ci przywrócić. Jeśli chcesz jeszcze raz przywdziać szaty iluzji - skinał dłonią w stronę kamieni posadzki - wystarczy byś padł mi do stóp i błagał o litość. Jako twój pan, zajmę się tobą. Bądź pewien, głupcze, że zwrócę twą marną nienawiść i gniew przeciw tym, którzy rzeczywiście odpowiadają za twój obecny stan, przeciw zbuntowanym wrogom i zdrajcom w naszych własnych szeregach. Podporządkuj mi się, nieszczęśniku, i ciesz błogosławieństwem pokoju.

- Władco... - Głos Conana zdawał się bulgotać w rozdartej gardzieli, przerażająca twarz obróciła się ku oprawcy. - Phang Loonie... Jak mówisz, odarłeś mnie ze wszystkiego. Odebrałeś mi wolność, sławę, miłość, ciało i życie. - Półmartwy potwór, który niegdyś był człowiekiem, sunął powoli do przodu. - Na ile jest to prawdą, a na ile szatańskie czary, tego nie wiem. Wiem jednak, że moja zguba jest prawdziwa. Pozostawiłeś mi jedynie ból. - Żywy trup przysunął się bliżej, ale satrapa ani jego sługa nie cofnęli się przed nim. - Ból jest teraz wszystkim, co posiadam. Nie mogę pozwolić, byś także i to mi zabrał!

- A więc bardzo dobrze, nie chcesz wybrać zależności. - Phang Loon odwrócił się zniecierpliwiony. - Jak ci mówiłem, moja metoda jest niezawodna. Sool, wykończ go!

Natychmiastowy atak zmusił Conana do gwałtownego cofnięcia się. Ranny stracił równowagę. Ból, który poczuł, gdy uderzył o podłogę, niemal przekonał go o nieodzowności poddania się. Jednak Cymmerianin zaskoczony odkrył, że jego zniszczone ciało nie tylko nie rozpadło się na skutek uderzenia, ale nawet odpowiedziało instynktownymi ruchami obronnymi. Zdrowe kolano potężnym ciosem ugodziło Soola w krocze. Pięści rąbały w szyję i pierś napastnika z siłą, która z pewnością obezwładniłaby mniej masywnego mężczyznę.

Ale sługa Phang Loona był wyszkolonym zapaśnikiem. Całym ciężarem wciąż przygniatał Conana. Mocne dłonie zacieśniały żelazny uścisk, gniotąc i dusząc szyję przeciwnika, jakby chciały oderwać głowę swej ofiary od przegniłych ramion. Widocznie jednak ciało Conana pozostawało w lepszym stanie niż pokazywało to lustro Phang Loona. Cymmerianin czuł jednak, że traci swe prawdziwe, nie będące narkotyczną uludą, życie, wyciskane straszliwymi rękami Soola.

Mimo osłabienia szybko się pozbierał. Miotał się i rzucał, lecz jego siły słabły. Coraz trudniej było mu stawiać czoło sprawnemu zabójcy. Choć ciało nie rozdzierało się jak zgniły pergamin, to jednak bolało okropnie. Conan dźwignął się, by zrzucić z siebie napastnika i poczuł, że chora noga skręca się. Ogarnął go mdlący ból. W desperacji sięgnął, by wyłupić Soolowi oczy, lecz, co dostrzegł jeszcze zaćmionym spojrzeniem, nawet nie zdołał musnąć twarzy zabójcy.

Nie mając już siły, by zdobyć się na ostatnie przekleństwo, bezbronny... Ale zaraz... skrobiać i grzebiąc martwiejącymi palcami w zapoconych fałdach tuniki, odnalazł kieszeń, a w niej prawie już pusty słoiczek z maścią. Wyciągnawszy go, rozgniół o posadzkę. Wieczko potoczyło się pomiędzy okrychy szkła. Cymmerianin sięgnął na oślep i chwycił grube denko o poszarpanych

brzegach, ciał nim twarz przeciwnika.

Wciskał szklany odłamek i wkręcał w spoconą, mięsistą skórę na policzku Soola, tuż przy kąciku rozciągniętych złośliwym uśmiechem ust. Nie ustawał, szarpiąc się jednocześnie. Minęła cała wieczność. Kurczący się wszechświat gasł powoli. Nadchodziło zapomnienie...

Nagle w cudowny sposób uścisk na gardle zaczął się rozluźniać. Powietrze wdarło się do płuc, zamieniając krew w płynny ogień. Całe ciało podjęło zmagania o odzyskanie oddechu.

Powracała zdolność widzenia. Conan dostrzegł twarz przeciwnika, zwiotczała w wyrazie leniwego oszołomienia. Uśmiech Soola stał się dziwnie błogi. Tryskający krwią krater rozwarł na policzku zabójcy niczym trzecie, niesymetryczne oko, najwyraźniej nie powodował bólu. Resztki lotosowej maści wymieszały się z krwią Venji, dostarczając mu oszałamiających wrażeń. Świat przestał dla niego istnieć. Kiedy Conan odepchnął od siebie wielkie dłonie napastnika i uwolnił się spod opasłego cielska, jego wróg pozostał w pozie na czworakach, gapiąc się oczarowany na płyty kamiennej podłogi.

Phang Loon stał z nieobecny wyrazem twarzy, nie wykonując żadnego ruchu, nie ingerując w przebieg walki. Ostateczne rozstrzygnięcie pojedynku było więc kwestią sekund. Ręce Conana zacisnęły się i kark Soola ustąpił ze stłumionym trzaskiem. Oprawca padł na podłogę, pogrążając się na wieki w swym lotosowym śnie.

Conan przekroczył zwłoki i ruszył ku drzwiom. Wtedy usłyszał, jak Phang Loon klnie. Władca ruszył, by zablokować uciekinierowi drogę. Cymmerianin wyszczerzył zęby z zadowolenia i ruszył na spotkanie wroga. Musiał wyglądać rzeczywiście groźnie. Phang Loon zaważał się, sięgnął do pasa po miecz i nie znalazłszy broni, zrejterował. Rzucił się w stronę ściany i sięgnął do ukrytego sznura. Głośne dzwonienie na alarm, bardziej przeraźliwe niż dźwięk zabójczych gongów, rozdarło powietrze. Conan, wiedząc, że nie potrafi schwytać zwinnego wroga, pospieszył w stronę ciężkich wierzei. Znalazł je lekko uchylone. Za nimi ciągnął się poprzecinany odnogami i płaszczyznami drzwi korytarz, oświetlony żółtym blaskiem ściennych lamp. Słyszając tupot nóg, Cymmerianin ruszył w przeciwną stronę i skręcił w najszersze ze sklepionych przejść. Wiodło ono do mrocznego składu, zastawionego koszami i skrzyniami.

Nawet w ciemnościach, przemykając pod ścianami, Conan rozpoznał zawartość piętrzących się tu pak. Wyposażenie turańskiego wojska - to, co było tak potrzebne jego kolegom żołnierzom, a niedawno tajemniczo zaginęło. Widać transport został przeznaczony przez Phang Loona na jego własny użytek lub do sprzedaży na czarnym rynku. Hańba. Gdyby miał więcej czasu, Conan przetrząsałby kosze w poszukiwaniu jakiejś broni. Ale brak mu już było sił. Liczne rany doskwierały boleśnie, organizm domagał się lotosu, a całe ciało dygotało ze zmęczenia. Jego złachmaniona, zakrwawiona postać nawet w mroku wydawała się dostatecznie przerażająca.

Przed zmęczonymi oczyma zamajaczyły kolejne drzwi. Nim Cymmerianin zdołał ich dotknąć, otworzyły się i jakiś człowiek wpadł prosto w jego ramiona.

Mężczyzna nosił tunikę cesarskich poddanych Venji. Nie miał żadnej broni i tylko szarpał się desperacko. Conan, pokonując ból i znużenie, zdusił krzyki mniej rosnącego przeciwnika, przygniatając go do futryny. Nie był pewien, czy złamał mu kark, czy tylko go ogłuszył. Zamknawszy drzwi, powłókł bezwładne ciało za sobą i cisnął je na stos połamanych koszyków.

Przypominające jaskinię pomieszczenie, w którym się teraz znalazł, cuchnęło gnojem i paszą. Conan domyślił się, że trafił do stajni. To dobrze, stajnia musi mieć wyjście na dziedziniec! W świetle samotnej przyćmionej lampy nie dostrzegł straży, pokuśtykał więc przed siebie po pokrytym słomą klepisku. Minął boksy, woń których świadczyła, że mieszkają w nich konie. Zobojętniałe wierzchowce ciężko dyszały w cuchnącym upale. Idąc pomiędzy zagrodami z grubych bali, Conan dosłyszał przemierzające się wewnątrz większe cielska i wyczuł mocniejszy odór. Słonie. Zwolnił z obawy, że te inteligentne stworzenia wywęszą krew ciekącą mu po szyi i podniosą alarm, ujawniając obecność intruza.

Wiedział jednak, że w swym obecnym stanie, słaby i poraniony, nie zdoła już zbyt daleko się dowlec. Czy nie mądrzej byłoby zaszyć się w stercie słomy. Już zaczynał odczuwać szarpiące żądze, które domagały się nowej porcji lotosu. Było jeszcze jedno wyjście. Mógł rozdrażnić któreś z mocarnych zwierząt i dać się stratować na śmierć. Lepsze to, niż dostać się ponownie w ręce Phang Loona. Cymmerianin wątpił, czy władca okazałby się tak miłosierny, by pozwolić swej

ofierze umrzeć bezbolesną śmiercią.

Nagle zza drzwi składu dobiegły krzyki i chrobot otwieranego zamka. Conan skorzystał z jedyne go dostępnego ukrycia. Położył się na wznak i przeturlał pod ciężką furta do pierwszej z brzegu zagrody.

Zatrzymał się, gdy drogę zatarasowała mu tytaniczna noga, wielka jak słup i pokryta szczecina. Po nerwowym ruchu tej kończyny, Conan poznał, że jego obecność nie została tu mile przyjęta. Zwierzę niemal na pewno było samcem, prawdopodobnie słoniem bojowym. Teraz przesunęło się w tył i zerknęło ku intruzowi. Cymmerianina ogarnęła obawa, że zostanie rozgnieciony o solidną ścianę z drewnianych bali jak pchła. Nie miał innego wyboru, musiał przesunąć się do przodu, ku trąbie i kłom olbrzyma.

Poza wszystkim, rozumował, słoń było ćwiczony do słuchania poleceń, a nie tylko do zabijania. Nie powinien bać się samotnego człowieka, którego ma w polu widzenia. Przy odrobinie szczęścia, jeśli uda się powstrzymać bestię od trąbienia lub zmiżdżenia go, kryjówka może okazać się znakomita. Strażom nie przyjdzie do głowy szukać uciekiniera w boksach słońi.

Przecisnąwszy się obok wielkiej nogi na moment przed tym, jak otarła się ona o ścianę, Conan dopełznął do narożnika zagrody. Ten kąt był wymurowany z nieregularnych kamieni i Cymmerianin poczuł się tu bezpieczniejszy. Nie mógł jednak opanować dreszczy, gdy szary łeb zwierzęcia zbliżył się do niego. Wielkie, zaciemniające światło uszy w kształcie muszli, szeroko rozstawione, nakrapiane na brązowo kły i masywna trąba, opuszczająca się wężowym ruchem, znalazły się tuż koło jego twarzy. Wilgotny, giętki koniuszek trąby musnął Conanowi czoło, podbródek i niuchał dalej wzdłuż całego ciała, prawdopodobnie w poszukiwaniu broni lub jakiegoś smakołyku. Zwierzę dopominało się o nagrodę.

Tymczasem w stajniach rozbrzmiewał gwar głosów. Słychać było tupot biegnących stóp. Teraz kroki zwracały. Promienie latami błyskały nad furtami boksów, a gardłowe głosy brzmiały jak szczekanie.

- To ta zagroda, z której dobiegają hałasy.

- Tak, i spójrz, zwierzę jest niespokojne!

Niespokojne z powodu waszego jazgotu, miał ochotę wrzasnąć im Conan. Tymczasem skulił się w narożniku nieruchomy jak skała, pozwalając masywnemu nochalowi kontynuować przeszukiwanie. Kiedy wilgotna trąba dotarła do piersi i szyi uciekiniera, olbrzym parsknął i nastroszył uszy, wyraźnie podekscytowany zapachem krwi.

- Musimy wyprowadzić słonia i przeszukać stajnię!

- Tak, przyniesie oścień. Ale używaj go ostrożnie. Ten tutaj, to niebezpieczna bestia!

Ośmieliwszy się rozejrzeć, Conan ze zgrozą spostrzegł, że z zagrody nie ma wyjścia do przylegających boksów. Przed nim olbrzymi słoń nerwowo kołysał się na boki. Jego oczy zezowały ku tyłowi, by rozpoznać sprawców zamieszania przy furcie. Doprowadzony do ostatnich granic rozpacz, Conan wypełznął ze swego kąta. Sięgnął do ociekającego krwią karku i nabrał na palce trochę zgęstniałej posoki. Na płaskim murze ściany wyrysował widziany niegdyś piktogram, trzyczęściową pętlę z dwoma zwisającymi końcami.

Słoń parskając, wodził oczyma za dłonią człowieka. Wreszcie zbliżył trąbę do kamienia. Jej czuły koniuszek bezbłędnie przesunął się po wyrysowanym kształcie. Potem, ku przerażeniu Conana, olbrzym wciągnął głęboki haust powietrza i potężnie zatrąbił.

Rozdzierający ryk wstrząsnął solidnymi murami stajni, rzucając Conana na kolana. Dygocąc z bólu i oszołomienia, Cymmerianin oczekiwał, iż zaraz zostanie ciśnięty o kamienie. Z trudem podniósł twarz i zdumiony stwierdził, iż wielkie zwierzę przyklękło, a zwinięta w pętlę trąba tworzy stopień dla pragnącego przejażdżki pasażera. Nie zastanawiając się ani chwili, Conan oparł się na zdrowej nodze i, wspomagany przez unoszącą go trąbę, wdrapał się na kudłaty grzbiet.

Na szczęście słoń nosił nabijaną ćwiekami obrozę. Podobna przepaska otaczała także jego czoło, tworząc coś w rodzaju uzdy. Conan uchwycił się jej z całych sił, a tymczasem zwierzę zawróciło w zagrodzie i zaczęło taranować furte. Cesarski sługa Venji próbował na powrót zamknąć ją i zaryglować, ale mu się nie

powiodło. Impet wywalonych wrót cisnął nim aż pod ścianę przeciwległego boksu. Drugi ze strażników podbiegł, wymachując ościeniem. Szybko jednak legł, zmiądzony ogromną nogą. Słoń ponownie zatrąbił i ruszył naprzód, nabierając prędkości. Po chwili wypadł przez uchylone wrota stajni. W pędzie z hukiem staranował jedno z dwóch bliźniaczych skrzydeł bramy. Boksy napełnił ryk, wrzask i łomot. To pozostałe zwierzęta wpadły w szal, podniecone buntem jednego ze swych towarzyszy.

Conan wczepił się w szeroki skórzany pas, okalający czoło słonia. Na szczęście, szeroki grzbiet stanowił dla jeźdźcy dość miękka, płaska platformę, gdyż rozszalałe zwierzę nie zważało już na nic.

Pędzili teraz przez dziedziniec, rozświetlony pochodniami i pełen miotających się we wszystkie strony ludzi. Strażnicy i służba, oszołomieni straszliwymi rykami, pierzchali im z ich drogi. Los tych, którzy nie zdołali umknąć, nie wart był złamanego szeląga. Kilka źle wymierzonych strzał zaświszczało obok Conana, ale żadna z nich nawet nie drasnęła grubej skóry zwierzęcia. Jedyną poważną przeszkodę na drodze do wolności stanowił zamkowy zwodzony most.

Znajdował się on pomiędzy dwiema flankującymi go kamiennymi wieżami. Conan dostrzegł szeroką rampę z pozbijanych bali, przerzuconą nad fosą o nieznaną głębokości. W odpowiedzi na alarm, most zaczął się podnosić. Conan słyszał brzęczenie łańcuchów i zauważył mężczyzn pochylonych nad kołowrotami na szczytach wież. Obciążona ciężką przeciwwagą rampa była bardzo masywna. Gdy jej dopadli, unosiła się właśnie powoli. Instynkt nakazał jeźdźcy silnie pociągnąć w tył za obrozę, ale nie były to cugle i słoń nie zatrzymał się. Wręcz przeciwnie, szarżował prosto na zbyt już dla niego stromą przeszkodę. Conan zacisnął obie ręce na skórzanej uprzęży. Słoń natarł na uniesioną do połowy rampę.

Nogi oszalałego olbrzyma zadudniły po drewnianych belkach mostu. Conan usłyszał jęk napiętych łańcuchów i zgrzyt zapadek w dźwigniach. Nagle jednak rampa zaczęła powoli opadać. Rozległy się krzyki bólu i wściekłości ludzi zbijanych z nóg lub zrzucanych ze szczytów wież przez szybko odwijające się kołowroty. Tymczasem słoń parł w górę po skrzypiących, trzęsących się balach, aby gdy tylko most opadł z hukiem, rzucić się przed siebie na przeciwległy brzeg. Potykające się zwierzę w końcu wyrównało krok i pogalopowało w mrok nocy.

Na dziedzińcu zaś panował dziki chaos. Zewsząd dobiegały krzyki i jęki. Nie było jednak widać żadnych oznak pościgu. Przed uciekinierami rozciągały się wydarte dżungli pola ryżowe, a biała droga wiła się łagodnie w świetle księżyca.

## XI

### Wojna bogów i królów

- Więc ten cudzoziemiec, Conan, wciąż żyje! - Imperator Yildiz przeciągał się na haftowanej sofie. - Zdołał przetrwać nie tylko bitwy i ciężkie rany, ale również trzydniową pijatykę w portowym mieście! To od wielu dni najlepsza wiadomość, jaką słyszę.

Pan Całego Turanu zażywał właśnie odpoczynku na Dworze Protokołu. Wokół kręciło się kilku urzędników. Niewolnica z haremu karmiła władcę obranymi ze skórki winogronami. Zręcznymi palcami wsuwała mu purpurowe kulki pomiędzy wargi. Yildiz, któremu jej wysiłki sprawiały wyraźne zadowolenie, kontynuował:

- Kiedy tylko będzie na tyle sprawny, by znieść podróż, powinien zostać odwołany do Aghrapuru! Urządzimy wielkie widowisko na jego cześć, ogłosimy go bohaterem.

- Ogłosimy go bohaterem... - Generał Abolhassan przetrawiał w myślach słowa swego pana, z trudem kryjąc pod wąsem grymas niezadowolenia. - Odradzałbym Waszej Światłości takie posunięcie. - Generał zerknął znacząco na siedzącego u jego boku Euranthusa, sygnalizując eunuchowi, czego ma się trzymać. - Czemuż chcesz w ten sposób wynieść prostego żołnierza, panie? A w dodatku cudzoziemskiego dzikusia?

Yildiz odwrócił głowę, by schwycić winogrono z palców swej konkubiny. Żując je, znów spojrział na Abolhassana. - Nie wiem generale, czy spostrzegłeś, że ostatnio nasze plany militarne powodują niezadowolenie na dworze. Śmierć Dashibt Beya była ciosem dla nas wszystkich. Trudno też oczekiwać, że uda się powstrzymać plotki na temat losu Ibn Uluthana. Potrzebuję pretekstu, by ogłosić

święto, urządzić ucztę i odzyskał w ten sposób powszechne poparcie ze strony moich poddanych. Sprawa świetnie się do tego celu nadaje.

- Imperatorze, ośmielam się zaprotestować! Mimo wszystko, twoi podani nie są nielojalni. - Abolhassan z niezwykłą ostrożnością poruszył ten temat. - Widziałem, panie, jak zręcznie uporałeś się z objawami niezadowolenia wśród dam dworu. Te rozmowy, podwieczorki... Miałem zaszczyt towarzyszyć ci podczas pierwszego spotkania, kiedy to lady Irilya tak otwarcie się zbuntowała. Gdyby nie ona...

Yildiz roześmiał się.

- Tak, Irilya Fazarazendra, ta lisica! Nie myśl, że przestała mnie podgryzać. Nie dała się przekonać jak pozostałe damy i wciąż próbuje psuć moje dyplomatyczne posunięcia. - Yildiz przerwał i chwycił wargami kolejne winogrono. Niewolnica delikatnie ściągała zębami gorzkawą skórkę owocu, wysysała pestki, a potem ostrożnie wsuwała słodki miąższ do ust imperatora.

Po chwili Yildiz podjął temat.

- Teraz Irilya stoi na czele organizacji, zwanej Ligą Pierwszych Żon, która nie tylko oponuje przeciw naszej polityce, ale kwestionuje również nasze tradycje, na przykład wielożeństwo! A co ty myślisz o tym, mój kwiatuszku brzoskwini? - Uszczypnął różowy policzek swej hurysy. Dziewczyna odęła wargi w udawanym niezadowoleniu. - Irilya organizuje podwieczorki, spotyka się z zagranicznymi dyplomatami, powołuje na prawo kościoła... tańczący derwisz w niewieścich szatkach! Pragnąłbym, żeby była mniej czcigodną osobą i czyjaś inna małżonką, a nie najbogatszego z moich szachów!

- Dlaczego? Przecież ta kobieta jest jawną zdrajczynią, panie! - Eunuch Euranthus ochoczo podchwycił temat. - Nawet pośród poddanych tak wiernych jak twój naród, taka bezwstydną suka może sprawić kłopoty...

Abolhassan był doskonale poinformowany o poczynaniach swego wroga. Od pierwszego otwartego starcia polecił specjalnie śledzić Irilyę dzień i noc. Jak dotychczas, na szczęście, jej działalność ograniczała się do zwalczania imperatora Yildiza, co sprzyjało planom generała. Oficer słuchał teraz ostrożnie, obawiając się cokolwiek - wiek doradzać swemu władcy. Denerwował się też, gdyż wyglądało, że audiencja przerodzi się, w następną niesmaczną orgię pieszczot i karesów. Nie było rady na upodobania i kaprysy władcy.

Tymczasem niefortunne odezwanie Euranthusa wprowadziło Yildiza w nastrój rozgoryczenia.

- Chciałbym ci przypomnieć, nadworny eunuchu, że to nie tylko lady Irilya składa petycje - stwierdził ze smutkiem. - I nawet nie tylko kobiety. Dworzanie, kupcy, zarządcy prowincji, nawet niektórzy z twoich braci eunuchów szemrają przeciw kampanii w Venjipurze. I mają swoje racje! - Imperator zwrócił spojrzenie na Abolhassana. - Koszty wojny stają się nie do zniesienia. Uznałem za niezbędne nie tylko podnieść podatki, ale także zebrać podwójną dziesięcinę od naszych dzierżawców. Kosztowna broń i zaopatrzenie popłynęło w górę rzeki Ilbars. Nie wspomnę już o nocnych rekrutach. Wszystko to bez żadnych wyraźnych efektów. Rośnie tylko liczba wdów i sierot, beznogich żebraków, handlarzy lotosu i ich klientów - bezmiar wszelkiego zła! Gdzież są ci oczekiwani niewolnicy, te łupy i trybuty, te szlaki handlowe, które obiecywano moim poddanym? Jakże więc mam odpowiadać na protesty? Wystarczy tego, generale, bym zadał sobie pytanie, czy mądrze jest ciągnąć tę wojnę i czy ty jesteś w stanie ją wygrać!

- Najjaśniejszy, Wszechwiedzący Imperatorze! - Abolhassan, słysząc słowa władcy, wpadł w popłoch. - Jeśli troski doprowadziły cię do zwątpienia w siebie, w twą nieograniczoną mądrość, panie, to mogę bezpiecznie powiedzieć, że się mylisz. Raczej zwątp, panie, w wąpiących, tych, którzy podkopują twoją politykę i przedkładają własne marne dostatki ponad twoje jasno wytyczone cele. - Generał wyprostował się dumnie jak wierny żołnierz broniący swego imperatora. - Panie, ośmielam się sugerować, że jesteś nadmiernie łaskawy w swej wyrozumiałości dla wszystkich tych składających petycje wicherzycieli. Rozważ też, błagam, czy opisana przez ciebie sytuacja nie prosi się o ogień i miecz, a chociażby bat i kij. Musisz zachować pełny autorytet i przywołać tych nieprzejednanych do porządku. - Ciemne oczy miały błyskawice, ale ostrzegawczo zerkały na Euranthusa. - Na tym etapie nie jest jeszcze potrzebna czystka, panie. Wystarczy przykładne ukaranie zaledwie kilku osób, począwszy od tej kobiety, Irilyi.

- Abolhassanie, czyż nigdy nie zrozumiesz? - Yildizowi zdawał się powrócić spokój, co często zdarzało się po przemowach generała. Uśmiechnięty władca rozparł się na sofie, przyciągając bliżej dziewczynę z miską winogron. -

Moja polityka militarna to nie wojna na noże i pałki. Prowadzę istotniejszą walkę - o zaufanie narodu. Nie toczy się ona w bagniskach dżungli, tylko w umysłach i sercach ludzi. To wojna królów i bogów.

Uwagę Yildiza odwróciły nowe pomysły hurysy. Przerwał więc i zmienił pozycję, by konkubina mogła wsuwać winogrona wargami, do ust imperatora, bez zbędnego pośrednictwa palców. Sztuczka ta pozostawiała jej dłoniom swobodę dla kontynuowania innych, bardziej intymnych, pieszczot. Na chwilę Yildiz odwrócił się do Abolhassana.

- Jak już mówiłem, generale, do prowadzenia dalszej wojny potrzebuję bohaterów, ceremonii i widowisk. Te narzędzia propagandy mogą mieć większą wartość niż zwycięstwo w polu. Skutecznie zyskają mi popularność tu, w Aghrapurze. Uehonorowanie tego barbarzyńcy przypomni ludowi ideę rozszerzenia naszego władztwa daleko poza obecne granice Turanu. Pozwól mi, generale, sterować dworem i miejską tłuszcą, a ty dowódz wojskami! Zyskam ci wielu rekrutów i dam szansę do okazania talentów na odległych polach bitewnych.

- Twoja wola, panie. - Abolhassan skłonił się nisko, zdając sobie sprawę, że twarz mu płonie. Rozwścieczało go, że ten prostak objawiał tak niebezpieczny zmysł do kierowania państwem... Leczyć trzeba było zachować ostrożność i pozwolić temu cesarskiemu wieprzowi myśleć, iż rumieniec spowodowany jest skromnością. - Dziękuję. Wysłuchaj jednak, Wasza Światłości, mojej przestrogi. Kreowanie bohaterów stwarza ryzyko. Barbarzyńca może głupio gadać, a może i zbyt mądrze. Może powziąć buntownicze zamiary lub sprawić nam tu inne kłopoty. Nie znamy wystarczająco tego nieokrzesanego cudzoziemca.

- Racja, generale. Nie znamy. - Yildiz przez chwilę poświęcał się nowej rozrywce - kąsaniu ucha niewolnicy. - Może nawet wyrośnie on ponad szeregi, by stać się tak wartościowym oficerem, jak ty Abolhassanie. Mam nadzieję, że to nie obawa przed konkurencją nastawia cię przeciw niemu! A jeśli nie spełni on naszych oczekiwań... to cóż. - Imperator wzruszył ramionami. - Szczęśliwie, nieudanych oficerów zawsze można odkomenderować do odległej pogranicznej stacji. To jeszcze jedna korzyść z rządzenia rozległym imperium! - W oczach władcy błysnęła iskierka ironii. - Tarim z wami, panowie. - Skinał dłonią, oddalając swych podwładnych.

- Zdrowia, panie. Niech Tarim zachowa twe panowanie. - Abolhassan i Euranthus odwrócili się i żwawym krokiem wyszli na korytarz, gdzie rozległo się echo ich kroków. Nie zaczęli rozmowy, póki nie oddalili się odpowiednio od strzeżonych drzwi.

- Niech szlag trafi tego nadętego głupca! Użyliśmy dzikusa do odwrócenia uwagi Yildiza od prawdziwych kłopotów i celów wojny, a teraz on chce wywyższyć tego prostaka! Już to widzę. - Abolhassan szedł tak szybko, że jego towarzysze o krótszych nogach musieli podbiegać, by dorównać mu kroku.

- Obawiam się, że pomysł imperatora może być trafny, generale - wydyszał Euranthus. - On jeszcze może zniweczyć nasze wysiłki i odzyskać zwolenników na dworze.

- To prawda. - Abolhassan zastanawiał się chwilę w milczeniu, wbijając wzrok w posadzkę. - Pozwólmy Yildizowi ściągnąć tego barbarzyńcę do stolicy. Wykorzystamy go jako naszą marionetkę. Ale natura człowieka z Północy jest nieprzewidywalna.

Niemal biegnąc po pustym korytarzu, Euranthus niepewnie skinał głową. - Już raz próbowaliśmy pozbyć się tego dzikusa, prawda?

- Tak. Moi szpiegowie donieśli, że jest zbyt gadatliwy. Teraz, niestety, może ujawnić jeszcze więcej na temat sposobu, w jaki prowadzimy wojnę. Trzeba będzie go jakoś powstrzymać. Gdy Yildiz już zapowie ludowi uroczystości, to śmierć bohatera posłuży jako jeszcze jeden zarzut przeciw cesarzowi.

Euranthus przytaknął, uśmiechając się blado i ciężko dysząc. - Wykazałeś mądrość, doradzając okrutne środki przeciw wichrzycielom, generale. Brutalna rozprawa z opozycją jeszcze bardziej może podkopać władzę Yildiza i zwrócić przeciw niemu cały dwór.

Abolhassan gwałtownie się zatrzymał i wlepił wzrok w eunucha, który z rozpędu przebiegł jeszcze kilka kroków.

- Myślałeś, że to prowokacja? Środki, które zalecałem nie są ani odrobinę ostrzejsze o tych, które sam bym zastosował! - Poważnie potrząsnął głową i uśmiechnął się. - Ale mimo wszystko, eunuchu, chyba masz rację. Jeśli Yildiz ich spróbuje, to okrucieństwo mu się nie przysłuży. Prawdziwe imperium wymaga tyraństwa!

Euranthus uśmiechnął się, pragnąc udobruchać niebezpieczeństwo. - To prawda, generale. Ale brak mu na to siły. Abolhassan przytaknął z zadowoleniem. - Szczęśliwym trafem dla nas. Chodźmy, nasze plany muszą teraz nabrać przyspieszenia.

W centralnej komnacie Dworu Proroków czarnoksiężnik Azhar kierował półtuzinem akolitów przygotowujących magiczne utensylia. Nowo uzyskana ranga głównego maga nadała młodzieńcowi nie tylko powagi, ale także jastrzębiego wyglądu jego poprzednika. Widok śmierci Ibn Uluthana odcisnął w duszy Azhara trwały ślad. Całonocne obserwacje gwiazd i całodziennie ślęczenie nad księgami i notatkami zmarłego mentora zostawiały czas na jedynie krótkie drzemki w skwarne popołudnia. W konsekwencji coś z ciemności nocy mroczyło jego twarzy. Purpurowe cienie otoczyły mu oczy jak chmury spiętrzone nad grobem zachodzącego słońca.

Dzisiaj jednak Azhar dyrygował przygotowaniami z niezachwianą, niespożytą energią. Nadchodził rozstrzygający moment, który powinien przywrócić przewagę mocom Turanu. Wszystkie materiały zostały sprawdzone, zaklęcia ochronne wyrecytowane, a linie astrologiczne starannie wytyczne. Inżynierowie ze stoczni zbudowali gigantyczną balistę. Oczekiwała ona w gotowości, wsparta na podstawie w kształcie krzyża. Stalowy łuk wyginał się do tyłu, a naoliwiona, jedwabna ścięwa tworzyła kształt litery V, połyskując w południowym słońcu, które wpadało przez prowizorycznie załatanne szczeliny wielkiej kopuły.

Strzałę spoczywającą w specjalnym wyłobieniu przygotowano szczególnie starannie. Wyciosana z najtwardszego jesionu, starannie ukształtowana, wymalowana była w astrologiczne znaki i runy. Jej ostrze okuto twardym, porowatym metalem, wytopionym z meteorytu. Strzała ta została pobłogosławiona na świętym ołtarzu Tarima, a potem dla wzmocnienia nasączona tojadem i krwią żmii.

Drugim z najważniejszych składników magicznego układu był szeroki i masywny, osłaniający czarodziejskie okno czarny kamień młyński. Jego środek został pracowicie rozwiercony do rozmiarów odpowiednich dla przepuszczenia gigantycznego pocisku. W centrum kamienia zamontowano odłamki ze srebrzystego kryształu, pozostałe po zniszczonym oknie. Żaden z nich nie był wystarczająco duży, by wypełnić niewielką przestrzeń. Otaczały więc pierścieniem otwór. Przezierało przez nie szare światło podobne do tego, jakie filtrowano przez pustkę na zaklęcia Ibn Uluthana.

Azhar wiedział, że przywrócił wystarczająco wiele z poprzedniej mocy, by otworzyć kanał do Venjipuru. Oceniał, że ciężki kamień powinien zabezpieczać przed atakiem Mojurny. Otwór pośrodku głazu, choć niewielki, powinien wystarczyć do celów turańskich magów. Poprzez niego można skierować morderczą siłę łuku przeciw wysadzanej klejnotami czaszce. Albo jeszcze lepiej przeciw jej władcy. Teraz pozostało tylko sprawdzić celownik i stwierdzić, czy czarodziejska zaporą Mojurny została.

- Zachowaj gotowość! - zwrócił się Azhar do jednego ze swych uczniów.

- Nie wypuszczaj strzały, póki nie wydam rozkazu. Owinięty burnusem mężczyzna skinął w odpowiedzi głową. Ujął dźwignię u podstawy kuszy, tuż obok bełtu upierzonego czarnymi lotkami ze skrzydeł olbrzymiego sępa.

Azhar postąpił do przodu. W rękę trzymał moździerz wypełniony oleistym wywarem i magiczny tłuczek. To powinno pozwolić mu sterować oknem w tym mało prawdopodobnym wypadku, gdyby wrogie osłony były opuszczone.

Przez chwilę młodzieniec wahał się przed wejściem na linię strzału wielkiego łuku, ale obowiązek przemógł. Wzniósłszy cichą modlitwę do Tarima, ukląkł przed otworem w kamieniu, trzymając w rękach przygotowane magiczne utensylia. Przez falujący blask spojrzął w otwór.

Co Azhar ujrzał poza płaszczyzną kamienia, tego żaden ze świadków nie był w stanie powiedzieć. Widzieli, jak mag zamarł i wpatrywał się we wnętrze głazu, a szara poświata eteru oświetlała go niewyraźnie. Chwilę później blask pociemniał i coś wystrzeliło przez otwór. Niektórzy mówili potem, że był to olbrzymi pajak, ale większość zgadzała się, iż ciemna, kudłata ręka zacisnęła się na twarzy Azhara. Czarnoksiężnik cofnął się z krzykiem. Szatański uchwyt zsunął się na jego ramię.

Demoniczna dłoń zniknęła w otworze kamienia, ciągnąc za rękę Azhara. Drobnym mężczyzną próbował się uwolnić. Cisnął moździerz wraz oleistą zawartością na podłogę. Szarpał się i darł wniebogłosy, ale bez skutku. Jakaś siła wlokła go w stronę dziury. Akolici rzucili się na pomoc. Przytrzymali maga za drugą rękę,

krzycząc przy tym i ślizgając się na rozlanym oleju. Pomimo ich wysiłków, nieszczęśnik był nieuchronnie wciągany do młyńskiego kamienia. Najpierw łokieć, a potem ramię zniknęło w dziurze wielkości pięści. Zbyt wąski otwór miażdżył kości ofiary. Pękało przesłaniające okienko szkło. Głowa czarnoksiężnika uwięzła w kamiennym obwodzie, a kark przegiał się na bok, czemu towarzyszyły potępieńcze wrzaski torturowanego. Wreszcie zebranych dobiegł trzask żeber. Widząc głowę Azhara okropnie przegiętą na plecy i słysząc, że jego krzyki w końcu ucichły, akolici cofnęli się przerażeni. Z pełną grozy fascynacją obserwowali teraz, jak w niewiarygodny sposób ciało ich przywódcy znika, wsysane z chrzęstem przez ociekającą krwią dziurę.

Jeden z oszołomionych młodzieńców bezwiednie musiał szepnąć „Ognia!” albo drżąca dłoń strzelca ześliznęła się z dźwigni, gdyż balista wypuściła strzałę, które swym impetem wtłoczyła obute w sandały stopy Azhara w obcą pustkę.

Kamień rozłupał się z grzmiącym hukiem. Jego kawałki opadły na podłogę, tworząc zwał gruzu i po raz ostatni zamykając magiczne okno.

## XII

### Cesarskie wezwanie

Conan wzdrygnął się, budząc z lekkiego porannego snu. Przeszywający wrzask małpy wystarczył, by przeszedł go dreszcz. Cymmerianin nie mógł jeszcze przyjść do siebie po pobycie w zamku Phang Loona. Ale promienie słoneczne na przesłoniętym liśćmi oknie chaty, łagodne głosy ptaków i woń kwiatów stopniowo uśmierzyły lęk. Młodzieniec przeciągnął się, a szeroki hamak zatrzeszczał pod nim. Ku swemu bezgranicznemu zadowoleniu Conan stwierdził, że noga już go nie boli.

Sariya poruszyła się obok niego, pomrukując coś cicho. Jeszcze nie całkiem się zbudziła. Jej biodro, przesłonięte przejrzystą tkaniną, tworzyło piękną linię na tle bijącej z okna, zabarwionej zielenią jasności, a długie czarne włosy spływały obfitą kaskadą z jedwabnej poduszki. Conan przez chwilę podziwiał kształty dziewczyny. Potem splótł dłonie pod głową i wyciągnął się, rozkoszując spokojem poranka.

Sypialnia nie była już ozdobiona ciętymi kwiatami. Sariya przystroiła ją żywy mi roślinami o różnym przeznaczeniu. Niektóre kwiaty służyły do chwytania dokuczliwych owadów, inne przydawały powietrzu miłego aromatu. Cierniste pnącza za oknem odstraszały wścibskie małpy, ptaki i dzieci, a wonne zioła dawały się użyć jako lekarstwa i przyprawy. Główna izba chaty przekształciła się w salon, umeblowany rzadkimi egzemplarzami wiklinowych mebli, będących miejscową specjalnością, tkaninami i ceramiką. Wszystko to zdołał nabyć Conan za swój niewysoki żołąd. Talizman Sariyi, czaszka dzika, wciąż zdobił szczyt ich dachu, opleciony teraz przez pnącza strojne wielobarwnymi kwiatami.

Hamak zakołysał się, a delikatna śniada dłoń prześliznęła po piersi Cymmerianina. - Mmm, nie śpisz już. I dzisiaj czujesz się dobrze... - Pytanie było raczej stwierdzeniem, zawierającym kuszącą propozycję.

- Tak, to prawda. Myślę, że powrócę już na służbę. Ale muszę jeszcze uważać na rany.

Sariya roześmiała się miękko, pieszcząc kochanka. - Nie to mówiłeś mi zeszłej nocy! Bałam się, że zrujnujesz chatę.

- No, cóż... Odzyskałem siły... mmm.

Splecione ciała przetoczyły się po rozkołysanej tkaninie.

Kochali się łagodnie. Conan wyczuwał w Sariyi jakąś powagę, zadającą kłam jej zwykłym żartom. Później, owinięci jasnymi sarongami, wzięli wiadra i powędrowali do dżungli. Idąc różnymi drogami, spotkali się przy strumieniu, nad głębokim do pasa stawem, powstałym dzięki postawionej przez Conana tamie. Kapali się, przekomarzali i chlapali nawzajem zimną wodą. Gdy wracali do chaty z napełnionymi wiadrami, dostrzegli krzepką postać siedzącą ze skrzyżowanymi nogami w cieniu ganku.

- Jurna! Od dawna chciałem cię zobaczyć! - Odstawiwszy wiadro, Conan podbiegł do dźwigającego się z ziemi przyjaciela i uściskał go serdecznie. - Jak ci się wiedzie, stary druhu?

- Nie brak mi zajęć, kiedy muszę doglądać zarówno swojego, jak i twojego oddziału! - Jurna wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ale miło mi widzieć, że już



ozdrowiałeś, Conanie. Nawet w babskich szatkach - porozumiewawczy uśmiech Kushity pełen był wyrozumiałości - wyglądasz dziesięć razy lepiej od człowieka, który czternaście nocy temu wyczołgał się z dżungli.

- Tak jest - dobrodusznie przytaknął Conan, zawieszając wiadro nad ogniskiem. - Wędrówka ze zrujnowanej kaplicy była piekielnie trudna, choć zdrowemu człowiekowi powinna zająć najwyżej godzinę. - Na ganku Cymmerianin rzucił sarong i kroczył ku drzwiom bezwstydnie nagi. - Czy już słyszałeś tę historię? Nie mogłem namówić tego po trzykroć przeklętego słonia, by zaniósł mnie choć o krok dalej. - Conan sięgnął po skórzany pas do noszenia broni, założył go i zapiał na płaskim brzuchu. - Musiałem zlecieć z grzbietu tego stwora, gdy on obwachiwał i obśliniał starożytną płaskorzeźbę. Całe szczęście, że znalazłem drogę powrotną do fortu. - Powróciwszy do ogniska, usiadł na kamieniu obok kupki popiołów.

- Znaleźć cię tutaj, kiedy przeszukaliśmy wszystkie knajpy i burdele Tarqheby i uznali, że pewnie nie żyjesz...! - Jurna potrząsnął głową z powątpiewaniem. - Uznałbym, że ta opowieść o słoniu to wytwór wyobraźni, jak wszystkie twoje majaczenia z tych pierwszych dni, gdybym nie wiedział, że jedno z tych zwierząt ocaliło cię już poprzednio.

- Nie, jego wyjaśnienia są wiarygodne. - Sariya, przyniósłszy z ogrodu naręcze melonów i bulw, położyła je na płaskim kamieniu i zaczęła myć wodą z wiadra. - Przyjaźń słoni z rodzajem ludzkim opiera się na wzajemnym szacunku. Mają one swoich bogów i zwyczaje, a do nich samych modlili się mieszkańcy Venjipuru w minionych stuleciach. Czasami zwierzęta pomagają temu, kto szanuje ich starożytną wiarę. Sam się o tym przekonałeś.

- Moja przyjaciółka jest biegła w starożytnych wierzeniach - powiedział Conan, zaczął układać stos z suchych gałązek i drewniaków, które „wyciągał ze specjalnie przykrytych koszy, by rozniecić ognisko. - Gdybym nie znał jej tak... gruntownie, myślałbym że jest czarownicą.

- Musi mieć w sobie coś, bo już dwa razy wyrwała cię z objęć śmierci. - Jurna patrzył to na gospodarza, to gospodynię z rozbijającą szczerością. - Nawet barbarzyńska odporność, którą tak się chełpisz, nie pomogłaby przy tych wszystkich ranach.

Sariya nie patrzyła w oczy Jurnie, ale z trudem hamowała uśmiech.

- Moje przygotowanie do roli kapłanki Sigtony obejmowało radzenie sobie z chorobami również za pomocą ziół leczniczych, a nie tylko modłów i rytuałów. - Uklękła obok Conana, gdy ten uderzył w krzesiwo i złożył dłonie, by rozdmuchać nikłą iskierkę. - Ale wszystkie medyczne umiejętności niewiele by znaczyły, gdybyście ty i Babrak nie pomogli mi pielęgnować Conana i strzec go podczas napadów gorączki.

Jurna skinął głową.

- Tak. Sytuacja wyglądała gorzej niż poprzednim razem. Nawet ze związanymi rękami i nogami w napadach głodu lotosu twój kochany nie był wcale kociątkiem! Ale nawet wtedy ziołowe dekokty pomagały go uspokoić, Sariyo. Jeśli zdołał uwolnić się od nałogu, to jest żywym dowodem twych czarodziejskich mocy. Conan jednym uchem słuchał ich rozmowy, zaabsorbowany rozpalaniem ogniska. Nagle poderwał się na równe nogi i sięgnął w górę, pod krawędź postrzępionej strzechy.

- Czy ty to przyniosłeś? - zapytał Jurna, zdejmując mały, owinięty w liście pakiecik, który wisiał pod okapem.

- Nie. Czy to jeden z fetyszy Sariyi?

Conan potrząsnął głową, odwijając suche liście. Powąchał ostrożnie ich zawartość, a jego nozdrza rozszerzyły się pod wpływem aromatu. Zmarszczywszy się, podszedł do ogniska i cisnął weń pakiecik, odsuwając się gwałtownie, by uniknąć bladego dymu, który wił się ku niebu.

- Lotos - oświadczył zwięźle i usiadł koło przyjaciela. - Zostawiony dla mnie przez kogoś życzliwego - bez wątpienia agenta Phang Loona. Często znajduję tu takie prezenty. Ale mniejsza z tym. - Wzruszył ramionami, a przez twarz przebiegł mu cień jakiegoś wspomnienia. - Któregoś dnia schwytam tego łajdaka. - Uśmiechnął się i klepnął Jurna w plecy. - Miło cię widzieć w zdrowiu, stary druhu. I dobrze samemu być zdrowym! Powiedz mi, co nowego w forcie?

Juma przez chwilę milczał. Obserwował błysk noża Sariyi, która klęcząc we wdzięcznej pozie przed gankiem, kroila bulwy. Wreszcie powiedział:

- Ty jesteś tą nowością, Conanie. Ale nie chciałem ci nic mówić, póki się nie upewnię, że jesteś już zdrowy. Zostałeś odwołany do Aghrapuru. - Zauważył, że nóż Sariyi zawisł przez chwilę w powietrzu. - Jednakże nie za karę

i nie na stałe, jak mi powiedziano. Podobno chcą cię ogłosić bohaterem i podczas publicznej ceremonii przypiąć ci do turbanu jakąś błyskotkę. Rozkaz jest podpisany przez generała sztabu Abolhassana, a wydany w imieniu samego imperatora.

- Ogłosić mnie bohaterem... Yildiz osobiście... - Conan zastygł na chwilę w osłupieniu, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. Potem poruszył się niespokojnie i poczęstował Jurna takim klepieniem w ramię, że czarnoskóry olbrzym aż się zakrztusił.

- Bohater, na Croma! Teraz będę miał tu coś do powiedzenia! - Cymmerianin poderwał się na nogi z taką łatwością, jakby nigdy nie był raniony oszczepem. - Załatwię Phang Loona. Poślę drania na szubienicę. I zniechęcę tego słabeusza, szarifa Jefara, do mieszania się w naszą wojnę! Sam w końcu awansuję do stopnia generała sztabu! Hmm, Abolhassan. Słyszałem już to nazwisko... ale mniejsza z tym! Sariya, będziesz mogła żyć po pańsku i odziewać się w droższe i bardziej kuse stroje! - Chwycił kochankę w objęcia. - To wielki dzień dla nas wszystkich!

- Chciałeś powiedzieć, dzień zagrożenia. - Wciąż odchrząkując, Jurna podniósł się wspierając o bambusowy filar. W odpowiedzi na zaskoczone spojrzenia przyjaciół, jeszcze srożej się nachmurzył. - Moim zdaniem, Conanie, trudno wyobrazić sobie, by spadła na ciebie większa katastrofa! Teraz jesteś wystawiony na widok publiczny, a w czasie wojny oznacza to niebezpieczeństwo. - Jurna wykrzywił twarz w grymasie niepokoju. - Zastanów się. Bezpieczniej byłoby poprowadzić lekką piechotę przeciw łucznikom, kawalerii i pancernym słońiom. Zapewne nie uda ci się wywinąć od tego zagrożenia, więc przynajmniej zachowaj ostrożność. Jeśli twoja dzika północna natura w ogóle zna taką cechę!

- Jumo, o co się piekiesz? - Conan ruszył ku przyjacielowi, nie wypuszczając z objęć Sariyi. - Niby kto powinien budzić we mnie taki blady strach?

- A choćby ci ważniacy, których wcześniej wymieniłeś! Szarif Jefar, na przykład. Omal go nie udusiłeś. Prócz tego władca Phang Loon, dusiciele i z tuzin innych osób aż po samego imperatora! Czy pozostał jeszcze jakiś Turańczyk, któremu nie dałeś powodu, by nie pragnął ujrzeć jak wydzierają ci wnętrzności? Nie rozumiesz, że dla wszystkich obecnych wrogów i przyszłych współzawodników to publiczne wyróżnienie, ten wielki zaszczyt, jakim zamierza obdarzyć cię imperator ahemm... - Jurna zaplątał się, zdenerwowany naiwnością przyjaciela. Po chwili zaczął od nowa. - Ożyją i nabiorą mocy wszystkie ich dawne urazy i żale! Muszą działać pospiesznie, by cię zniszczyć, zanim ty spuścisz z uwięzi swój, poparty nową pozycją, gniew! - Kushita w podnieceniu przemierzał ganek. - Co gorsza, wyruszysz bez przyjaciół w długą, ryzykowną podróż na wrogie terytorium - do zdradliwej stolicy! A Sariya zostanie tutaj, wystawiona na ciosy...

- Nie, ona pojedzie ze mną! Prawda, kochanie...? - Conan spojrzął na kobietę tulącą się do jego boku. Odpowiedziała mu smutnym spojrzeniem.

- Och, Conanie, to dla ciebie wielka szansa! Nie wolno mi cię wstrzymywać. - Lecz ja nie mogę porzucić obowiązków, jakie mam tutaj. Chorzy wieśniacy potrzebują mojej opieki, a wiele jeszcze może się wydarzyć.

- Tak, wiem - westchnął Conan. - I twoja szkółka. Powtarzasz to samo co wtedy, gdy chciałem, byś udała się ze mną do miasta. - Tak, muszę, dalej uczyć tutejsze dzieci.

- I to bez wątpienia tak skutecznie, że mogą już przerosnąć swych rodziców! Czasami się zastanawiam, czego ty je tak uczysz. - Potrząsnął ponuro głową. - Wy dwoje naprawdę umiecie obrócić triumf w smutek. - Spojrzął wyczekująco na Jumę, ale ten był zbyt pogrążony w myślach, by zwrócić uwagę na złośliwość przyjaciela. - Ale Sariyo, czy będziesz tu bezpieczna beze mnie?

- Tak. - odparła dziewczyna uroczyście i ucałowała go w ramię, po czym uklękła, by dokończyć przygotowywanie posiłku. - Zostanę w osadzie. Tamtejsze rodziny będą na mnie uważać i ukryją w razie potrzeby. Buntownicy ostatnio nie atakowali fortu.

- Nie. - Conan ociężale powrócił na swe miejsce na ganku i usiadł. - Nie chodzi mi o moich wrogów. Ale uważaj, dziewczyno. Pamiętaj, że ten stary szaman Mojurna już raz próbował cię zabić! Jurna i Babrak będą cię strzec, jeśli pojedą na północ sam. - Odwrócił się do Kushity. - A właśnie, co z Babrakiem? Nie widziałem go od kilku dni. - Próbował poprawić markotny nastrój uśmiechem. - Czy nadal milczy na temat swych przygód w mieście?

- Tak. Prawa Tarima zabraniają mu chwalić się sukcesami na niwie

miłosnej. - Jurna z całego serca odwzajemnił uśmiech. - Ale nadal wygląda na tak zadowolonego z siebie jak lis, który pożarł bażanta. Karczmarka musiała być dla niego bardzo miła.

Niepowracając już do smutnych tematów, zajadali soczysty żółty mięsz melonów i korzenną, słodką papkę z bulw. Jurna rażno pomagał gospodarzom oczyścić miski. Gdy już odbiło mu się po jedzeniu, Conan wdział tunikę, turban i przypasał broń. Pożegnał się z Sariją i ruszył do Fortu Sikander.

Wybrał główną bramę i najbardziej uczęszczaną drogę. Kroczył z agresywną pewnością siebie. Dzięki ostrzeżeniom Jurny, wyraźnie zdawał sobie sprawę ze spojrzeń, rzucanych spod oka. Niektóre wydawały się przyjazne. Kilku żołnierzy zatrzymało go nawet, by wymienić uprzejmości. Lecz większość obserwowała jego przejście w ponurym milczeniu lub ze skrywaną złością. Gdy mijał czarne, rozdziawione wejścia do namiotów, wyobrażał sobie, że dochodzi go gorączkowy szmer zakładów o jego szansę na przeżycie.

Okrążywszy róg ocienionego palmami baraku sztabowego, Cymmerianin zasalutował strażnikom, wkroczył w cień ganku i czekał. Wreszcie adiutant kapitana Murada wezwał go do środka. W półmroku izby siedział również szarif Jefar. Ordynans polerował mu jego kawaleryjskie buty. - Zgłaszam gotowość do służby, panie! - Conan starał się zachować normalny ton, unikając wszelkich dwornych ozdobników i modląc się jednocześnie w duchu do boga głupców, żeby tylko markotny szarif nie zechciał otwierać ust. - Jestem gotów.

- Dobrze, sierżancie. - Kapitan również kontrolował swój ton. - Mamy dla was świeże rozkazy. Natychmiast obejmiecie dowodzenie i wymaszerujecie z oddziałem najpóźniej w południe.

Conan poczuł, jak gardło mu się zaciska.

- Tak... tak szybko, kapitanie? Aghrapur leży wiele mil stąd i potrzebuję nieco czasu na przygotowanie...

- Aghrapur! - Głos szarifa Jefara trząsł się w kpiącym rozbawieniu. - Nie, ten rozkaz jeszcze tu do nas nie dotarł. Gdy się to stanie, z przyjemnością będę towarzyszył ci na północ jako twój przełożony! Ale jeszcze nie teraz. Twój kapitan mówi o rozkazie bojowym.

- Tak jest, sierżancie. - Odziany w szary turban Murad skończył coś bazgrać na skrawku pergaminu i pchnął go w stronę Cymmerianina po rozłożonej na stole mapie. - Nasi zwiadowcy zlokalizowali obóz wroga u stóp wzgórz Durba. Tutaj! - Kapitan patrzył na swój palec wycelowany w poplamioną, postrzępioną mapę. Nie chciał podnieść oczu i napotkać wzroku Conana. - Należy przeprowadzić zwiad i atak. Będziecie dowodzić dwiema kompaniami ciężkiej piechoty.

- Tak jest, barbarzyńco! - Śmiech Jefara zgrzytał nieprzyjemnie w uszach Conana. - Oto szansa dla ciebie. Możesz zapracować na tytuł bohatera!

### XIII

#### Samobójcza misja

Bitwa toczyła się na porośniętych dżunglą grzbietach wzgórz. Wrzeszczące pieniające się czerwienią fale zalewały cyple utworzone ze szczękających tarcz. Chmury strzał zaciemniały powietrze. Świszczały ze wszystkich stron, jak pikujące po zdobycz morskie ptaki. Zielone liście i kwitnące pnącza opadały, ścięte ciosami jataganów.

- Odtworzyć czworobok! Ej, żołnierzu, rusz się i wypełnij lukę! Musimy utrzymać szyk za wszelką cenę i posuwać się naprzód!

Zachrypnięty głos Conana ginał w hałasie. Rozkaz nie został wypełniony, gdyż wojownik, do którego Cymmerianin krzyczał, padł na ziemię, trafiony w naga łydkę. Dowódca wymamrotał przekleństwo. Strzały wroga trafiały do celu. Ukryci wśród koron drzew łucznicy mieli łatwe zadanie. Conan wiedział, że może to oznaczać szybki koniec Turańczyków, o ile pancerny oddział nie zdoła zająć wyżej położonego terenu.

Cymmerianin osobiście zapełnił niebezpieczną lukę, nie troszcząc się o ранego żołnierza. Żwawo ciał jataganem, by odtrącić ostrze włóczni, która przedarła się do wnętrza maszerującego czworoboku. Ranił w ramię jej posiadacza i rozorał twarz innego, atakującego go nożem Hwonga. Nagle mur tarcz zwarł się jeszcze raz przeciw wyjącemu tłumowi buntowników. Conan został wchłonięty do niewielkiej pustej przestrzeni czworoboku. - Naprzód, Turańczycy! Zewrzeć szeregi na tyłach! - Głos dowódcy chrypiał uparcie ponad zgiełkiem bitewnym. -

Przed nami ruiny, gdzie możemy opierać się tym małpom, póki Set nie zadzwoni na sąd ostateczny! Spokojnie, chłopcy, i naprzód!

Ciągły ruch zwiększał możliwość obrony, nawet pośród tarasujących drogę pni i krzaków. Gęstwina dawała szansę ucieczki przed skoncentrowanym ostrzałem łuczników. Conan starał się nie zastanawiać nad jedyną wadą taktyki przemieszczania się: brutalnym wyborem, czy wlec ze sobą rannych, czy też miłosiernie ich dobijać, o ile czas pozwoli.

- Conanie, a co z posiłkami? - Babrak przepchnął się za plecy sierżanta, mając na oku tyły czworoboku, za które był odpowiedzialny. - Jeśli pomaszujemy zbyt daleko przez dżunglę, to czy będą w stanie nas znaleźć?

- Posiłki! Dwie setki cesarskich Venji...! - Śmiech Conana brzmiał gorzko. Cymmerianin zniżył głos, by nie straszyć swymi prognozami żołnierzy. - Nawet jeśli nasz posłaniec do nich dotarł, byłbym bardzo zaskoczony, gdyby nadciągnęli z odsieczą. Coś mi się zdaje, że ktokolwiek wyznaczył nam tak nikłe odwody był tym samym głupcem, który oszacował liczbę buntowników na zaledwie czterdziestu! - Zrobił krok do przodu i ciął mieczem, by dobić leżącego mu pod nogami Hwonga. Wytarłszy klingę o jasnozieloną szarfę trupa, powrócił do Babraka. - Nie, jeśli przeżyjemy, to tylko dzięki własnej dzielności i dyscyplinie! A potem będę miał coś do powiedzenia naszym dowódcom. - Jego głos nagle wznosił się ponad wycia i jęki. Okrzyk bojowy miał zamaskować zwątpienie. - Walczcie, Turańczycy! Każdy z was jest wart dziesięciu tych wyjących buntowników!

Słowa otuchy wywołały w odpowiedzi jedynie rozproszone, zduszone wrzaski. To prawda, że opancerzony piechur, walczący ramię przy ramieniu w szeregu, mógł być liczony jako równoważnik co najmniej dziesięciu nagich napastników. Lecz, jak wiedział każdy doświadczony żołnierz, jeśli ich szyk się załamie, pancerze fatalnie utrudnią szybki odwrót przez las, czyniąc Turańczyków łatwym łupem dla zwinnych nieprzyjaciół. Nie mając innego wyjścia, dzielnie stawiali czoło deszczowi strzał i wyjącom hordom, wyrabując sobie drogę ku zarośniętemu krzewami ruinom, które miały im przynieść ocalenie.

- Przed nami brama zrujnowanego miasta! - mruknął Babrak do ucha swemu dowódcy. - Spójrz tam, mur jest jedynie porośniętym krzakami wałem! Dzięki niech będą Tarimowi, nie naprawili umocnień! Lecz któż to stoi na szczycie zburzonej wieży? Conan podążając wzrokiem za palcem Babraka, przesłonił oczy przed blaskiem słońca. Dojrzał postać, okrytą długim płaszczem z kolorowych pióra. Wsparty na wysokim drągu, którego koniec wieńczył znajomy, mieniący się kształt, starzec przez dłuższą chwilę spoglądał w dół, na pole bitwy. Wreszcie uległ perswazji dwóch ledwie widocznych Hwongów i zniknął za poszczerbionymi blankami.

- Mojurna! A więc to tu skrył się ten stary bies! - Conan chwycił ramię Babraka, zwalniając uścisk dopiero, gdy dojrzał na twarzy przyjaciela prawdziwy ból. - To był ten stary czarownik we własnej osobie, najwyższy kapłan wszystkich Hwongów. Widziałem go już wcześniej! Musimy bez zwłoki szturmować obozowisko!

- Tak jest, sierżancie. Jeśli taka twoja wola. - Choć wystarczająco zdyscyplinowany, by nie okazywać nadmiernego strachu, podoficer przysunął się bliżej i szepnął: - Wiesz, Conanie, jak ryzykowne jest złamanie szyku pośród przeważających sił wroga..

- Faktycznie ryzykowne, stary druhu. Ale kiedy rzucimy na drugą szalę szansę wygrania wojny jednym ciosem miecza... - Conan nie tracił czasu na dalsze tłumaczenia. - Nasze najlepsze siły muszą iść na czoło. Ty walczysz po mej lewicy, Babraku! - Wznosząc wysoko w górę okrwawiony jatagan, Cymmerianin jeszcze raz wysilił swój ochrypły głos do gardłowego wrzasku. - Turańczycy, formować klin! Za mną, na obóz! Roczny żołd będzie nagrodą dla tego, kto ubije czarnoksiężnika Mój urnę!

Krzyki Conana wznieciły szalę pośród walczących oddziałów. Ścigany przerażonymi spojrzeniami jednych, a krwiożerczymi wrzaskami innych, olbrzymi barbarzyńca ruszył dziarskim krokiem ku środkowi przegrupowującej się linii.

- Zabić Mojurnę, żołnierze! Niech bunt szcześnie! Za Tarima i Yildiza... do ataku!

Mordercza machina została puszczona w ruch. Miecze siekły ciała wrogów i listowie, włócznie orały wilgotną czerwoną rolę, a tarcze parły na tarasującą drogę dżunglę i rozcinały jej zielone fale niczym dziób rozpędzonej galery. Posuwając się naprzód, żołnierze śpiewali. Ponura, gardłowo brzmiąca pieśń, starsza niż Tarim czy samo turańskie mocarstwo, pierwotna jak bicie serca, ustalająca dziki rytm kroków i pchnięć, cięć i ciosów niosła się nad szeregami.

Turańczycy przemieszczali się szybciej niż poprzednio, na tyle sprawnie, że stale spychali wrogów przed sobą, zmuszając ich do odwrotu i umykali najgorszemu ostrzałowi. Conan pośrodku sformowanego przez żołnierzy klina szalał jak rozwścieczony demon. Jego miecz ciął i zadawał pchnięcia we wściekłym ataku, siejąc śmierć w szeregach anonimowych wrogów, którzy napierali na Cymmerianina. Bezlitosny metal wydierał z ofiar krzyk i jasne strumienie posoki.

Grupa bezradnych odzianych w zielone kaftany wieśniaków została wypchnięta na czoło przez nacisk kłębiących się szeregów. Nie mając dotąd pojęcia o potędze, obleczonych w stal przeciwników, umierali teraz z przerażenia, próbując za wszelką cenę wycofać się Turańczykom z drogi.

Inni buntownicy, w szczególności szczupli, zwinni myśliwi plemienia Hwong, żuli liście lotosu, by zwiększyć swą odporność na ból. Ich maczety były ostre i dawały swym właścicielom, którzy mieli je przywiązane do nadgarstków nawet podczas snu, poczucie bezpieczeństwa. Nawet ozdoby tych wojowników świadczyły o przezornym traktowaniu niebezpieczeństwa. - Wielobarwne sznurki, związane na żyłastych łokciach, ramionach i udach, służyć mogły jako opaski uciskowe. Gotowe do natychmiastowego zaciśnięcia podczas bitwy, hamowały ból i upływ krwi, pozwalając tym, którzy je nosili, walczyć mimo obrażeń zamieniających innych ludzi w łkające ofiary.

Conan nieraz stwierdził, że tym dzikim wojownikiem trzeba zadać dwa, trzy, a nawet więcej śmiertelnych ciosów następujących szybko po sobie. Odrąbał więc bezlitośnie kończyny i głowy, pozostawiając rannych wijących mu się pod stopami. Nawet konając, niektórzy z nich chwytali jeszcze za porzuconą broń i próbowali atakować Turańczyków.

Krwiożercza furia Conana doskonale uzupełniała niebywałą sprawność bojową jego towarzyszy. Nawet Babrak pracował włócznią i tarczą z rzadko widywaną u niego wściekłością. Na obu skrzydłach klina wojownicy dzielnie dokładali starań, by dotrzymać kroku swym dowódcom. Ci zaś szybko posuwali się naprzód ścieżką przez dżunglę. Jednak żołnierze przedzierający się przez większy gąszcz i odpierający ataki z boków i od tyłu, z trudem mogli utrzymać równe tempo. Klin nieuchronnie wydłużał się i zwężał jak rozciągnięty grot oszczepu. Szalejący Cymmerianin stano wił błyskający szpic tego ostrza, ale ofiary padały z tyłu. - Opancerzeni Turańczycy żołnierze stopniowo odciągani byli z szeregu przez szybko konających harcówników. Jeden po drugim nieuchronnie odwracali się, by bronić pleców własnych i swych towarzyszy. Gdy już pozwolili odciąć się od szybko kroczącego oddziału, wkrótce spotykała ich śmierć. Jednak impet ciężkiej piechoty pozwolił dotrzeć szczytowi klina pomiędzy ruiny. Ostatnia linia obrony Hwongów rozpięzchła się na widok zakrwawionych łupieżców.

- Utrzymać bramę! - Conan charczał i ciężko dyszał. - Przeszukać tamte pagórki. I namioty! Mojurna jest stary i powolny. Musi gdzie tu być.

Chwiejąc się z wyczerpania, pozwalając broni zwiisać na pasach, by dać odpoczynek pulsującym barkom, Cymmerianin ruszył porośniętą bluszczem alejką. Babrak sapał u jego boku. Choć obaj mężczyźni słaniali się na nogach, buntownicy czmychali przed nimi. Kilku tylko próbowało bronić niskich, porośniętych krzewami pagórków zwietrzałego kamienia.

- Conanie... a co z mocą Mój urny? - Głos Babraka również był przerywany i zadyszany. - Czy on nie użyje jakiegoś szatańskiego czaru, by odmienić los bitwy?

- Nie, nie sądzę. - Conan uniósł strasznie teraz ciężki miecz i machnął nim jeszcze raz, rozcinając zieloną ścianę szalasu, przytulonego do kruszącego się muru. Nie znalazł tu nikogo. - Kiedyś czarnoksiężnik zaatakował magicznym ogniem moich ludzi, gdy niemal zagnaliśmy go w ką... Ale on nigdy nie walczył w prawdziwej bitwie. Mówią, że jego prawdziwa siła leży w umiejętności zwalczaniu obcych czarnoksiężników, takich jak wasi kapłani Tarima.

- Czy podobnego czarta można zabić stalą? - Dostosowując się do tempa Conana, Babrak zsunął się za przyjaciela po porośniętych wrzosem kamieniach do zachwaszczonego jaru, który kiedyś mógł być aleją lub placem. - Czy ktoś to naprawdę wie?

- Wkrótce się przekonamy. Spójrz. - Uniósłszy miecz, Conan wskazał nim grupkę chłopów, pospiesznie przenoszących jakieś towary z namiotów do wysokich koszy. W pobliżu dwóch Hwongów unosiło z ziemi prymitywną lektykę, której jedna z żerdzi był zakończony czaszką drąg. W lektyce zasiadała jaskrawo odziana postać.

- Tutaj, psy! - ryknął Conan, zapominając o swym śmiertelnym wyczerpaniu

i zrywając się do biegu. - Tu jest Mojurna! - ryczał z wysiłkiem, niemal wykrztuszając serce przez zaschnięte gardło. Słyszał kroki deptającego mu po piętach Babraka, ale wszelkie inne odgłosy krzyki i bicie w tarcze były odległe. Większość z jego ludzi padła lub rozproszyła się pośród ruin. Tymczasem nadbiegało coraz więcej Hwongów, tworząc w wąskim wąwozie żywą zaporę pomiędzy nim a uciekającym czarnoksiężnikiem. Któryś z buntowników źle wymierzył cios włócznią. Klinga Conana odcięła knykcie trzymającej broń dłoni, a potem rozdarła gładko gardło mężczyzny. Inny wojownik skoczył do przodu, tnąc wokół sztyletami, trzymanymi w obu rękach. Żaden z noży nie był jednak dostatecznie masywny, by zmienić kierunek ciosu jatagana. Napastnik z rozłupanym czołem zalał się czerwoną kaskadą krwi. Nawet wtedy jednak Conan musiał zdobyć się na wysiłek, by powstrzymać ślepe, podsycane narkotykiem natarcie umierającego i powalić go na ziemię. W tym czasie pojawiło się dwóch kolejnych wojowników. Conan ruszył na znajdującego się bliżej, ufając, że Babrak zechce zająć się drugim.

W ferworze walki Cymmerianin dotarł do ścieżki, opadającej stromo przez wyrwę w murze. Tragarze, objuczeni koszami, tarasowali wąską dróżkę. Conan roztrącił ich na boki, gnając za tymi, którzy o kilkanaście kroków na przedzie pomykali truchtem z lektyką. Dosłyszeli kroki Conana i obejrzeni się z przestrachem za siebie. Szalejący miecz Cymmerianina ugodził ostatniego z tragarzy, który upuścił lektykę. Kiedy Conan przekraczał ociekające krwią ciało, starzec leżący na prymitywnym nosidle spojrzął na niego, unosząc dłoń.

Stare, wyblakłe oczy patrzyły bez strachu. Może było to tylko złudzenie, ale zmarszczki na żółtej, wiekowej twarzy wydawały się układać w wyraz lekkiego rozbawienia? Conan zamarł. Krew ściekała z jego miecza na bujne liście porastające boki ścieżki, a on przyglądał się lektyce, wleczonej w patetycznym wysiłku przez samotnego wieśniaka. Cymmerianin nie ruszał się, tylko patrzył. Miał wrażenie, że jego mózg został opanowany jakimś urokiem. Wyglądało na to, że dziwnie... Faktycznie zdawało mu się...

Chwilę później czarnoksiężnik zniknął mu z oczu pośród bujnego listowia, a za plecami zatupotały pospieszne kroki. Byli to nieuzbrojeni tragarze z koszami. Odwróciwszy się, olbrzymi barbarzyńca odsunął ich kopniakami na bok i ruszył w górę ścieżki. Hwong, który na niego natarł, otrzymał cios czubkiem jatagana w gardło. Krwotoku nie mógł powstrzymać żaden lotos czy zacisk. Porzuciwszy konającego, Conan przedarł się przez listowie i znalazł Babraka.

Dostrzegł przyjaciela na ścieżce, otoczonego wyjąca bandą buntowników. Skakali wokół niego wściekle, tnąc i kłując jego szczupłe, na wpół osłonięte pancerzem ciało nożami i włóczniami nawet wtedy, gdy młodzieniec padł bez życia na ciernistą, ubroczoną ziemię. W tym momencie garść znużonych bitwą Turańczyków nadciągnęła ze spóźnioną odsieczą. Buntownicy wymierzili zwłokom ostatniego kopniaka i odwrócili się, by stawić czoło żywym wrogom. Żniwo, jakie klinga Conana zebrała pośród nich, było krwawe. Rozszalała, podniecona cierpieniem furia Cymmerianina rozpaliała się wystarczająco, by przyćmić ból i zmęczenie. Nawet wtedy, gdy rąbał i rżnął wrogów, jedno tylko pytanie podsycane przez krew i łyż gniewu dążyło mu umysł. Czy to on uległ czarom albo został sprytnie wprowadzony w błąd, czy też zasuszony, uśmiechający się tajemniczy Mojurna w rzeczywistości był starą kobietą?

Noc ogarniała dżunglę, czając się jak pantera nad swym łupem. Z rzadka rozlegały się pospieszne kroki, ciche pozdrowienia lub tłumione przekleństwa, a sporadycznie, odgłosy walki. Nikły blask księżyca nie mógł przeniknąć baldachimu koron drzew. Ledwie wystarczał, by odbić błysk stali albo drżenie mokrego liścia, poruszanego czyjaś nieuważną ręką.

- Żołnierze, do mnie! Tędy, przez wodę. Pójdziemy w dół strumienia! - Przemierzywszy bezgłośnie trzy kroki, Conan zatrzymał się, uważnie nasłuchując pobliskiego tupotu stóp. Odgłosy, które go dobiegły, brzmiały przyjaźnie. Były ciężkim stapaniem opancerzonych, znużonych ludzi. Hwongowie poruszali się z nikłym szelestem, prawie niedosłyszalnym poprzez bulgotanie potoku.

- Szsza, chłopcy! Trzymajcie się blisko siebie i uważajcie na buntowników! Tutaj teren opada. - Mówiąc to, Conan dosłyszał brzęk miecza wymierzonego przeciw rzeczywistości czy wyimaginowanemu wrogowi. Chwilę później charczący jęk powiedział mu, że ktoś umarł, najprawdopodobniej jeden z jego żołnierzy. Rozległ się szybki tupot i świszczące ciosy, gdy inni na oślep atakowali napastnika.

Conan słyszał szemranie i przekleństwa swych ludzi. Znowu podjęli marsz.

Serce Cymmerianina zamierało z przerażenia. Prowadził około tuzina niedobitków - z pewnością nie więcej niż dwudziestkę z dwunastu dwudziestek, z którymi wyruszał z fortu. To oznaczało dwieście razy śmierć. Utratę takich żołnierzy jak Babrak. I po co? On, Conan, osobiście jest winien klęsce! Dłoń zacisnęła się kurczowo na rękojeści umieszczonego w pochwie miecza.

- Kto idzie? Stać i opowiedzieć się!

Okrzyk, któremu towarzyszył nagły wybuch odgłosów potyczki i gdzieś z tyłu bojowe pohukiwania Hwongów, spowodował, że część uciekinierów zamarła w bezruchu, a inni wpadali na nich w ciemnościach. Ale nawołujący głos brzmiał, jakby należał do Turańczyka. - Wróg czy przyjaciel? - Conan wyciągnął szyję, próbując ustalić źródła pomieszanych dźwięków. - Uważaj, jesteśmy ścigani!

- Jesteśmy Turańczykami. Upewnij się, że zabijacie teraz jedynie buntowników! - Zabrzmiało to ciszej, jakby krzyżący zwrócił się w inną stronę. - Sierzancie, prowadź oddział za moim głosem.

- Dobrze, uważaj na nas! Jesteśmy tutaj, w strumieniu! - Wymacując drogę przez mroczne zarośla, Conan dojrzał migotanie odległych pochodni i dosłyszał odgłosy walki. Jego ludzie przepychali się i dyszeli tuż za nim, pragnąc uniknąć śmierci w ostatniej chwili, gdy ocalenie było już w zasięgu ręki. Chwilę później stanęli, oślepieni światłem dotychczas zasłoniętej latarni.

- Gdzie są pozostali? Czy to wszyscy? - Szorstki głos okazał niepokój. - Conanie, oddział wysłany ci na pomoc wrócił do fortu. Podobno nie mogli cię odnaleźć, ale nie uwierzyłem tym psom! Więc przybyliśmy tutaj, trafiliśmy na buntowników i podążyliśmy ich śladem. Od godziny polujemy na zabłąkanych Hwongów.

Conan spojrział na zakrwawione, upiorne twarze swych ludzi, zapatrzonych w światło. Czuł jak w piersi wzbiera mu szloch.

- Przeciwnik miał straszliwą przewagę liczebną. Dowództwo musiało wiedzieć, że posyłają nas na śmierć! Ktoś za to zapłaci.

- Kogo macie na myśli, sierzancie? - Szara postać opuściła latarnię. Conan rozpoznał kapitana Murada, po którego bokach stało dwóch doświadczonych żołnierzy. - Jeśli myślisz o szarifie Jefarze, Conanie, to muszę cię ostrzec, że ta sprawa sięga znacznie dalej.

Conan pomógł rannemu żołnierzowi wydostać się ze strumienia, po czym przyjrzał się kapitanowi z uśmiechem.

- To o tobie myślałem, Muradzie. Sądziłem, że nie przyjdiesz nam z pomocą. I wiesz, że powinienesz być nadejść wcześniej! - Jego przekrwione spojrzenie przywarło do twarzy starszego oficera. - Ale dziękuję za ostrzeżenie. Rozważę je.

Murad skinął głową. W spokojnym świetle latarni wyglądał dziwnie żałośnie.

- Na coś złego zanosi się w Venjipurze. Zbyt wiele zła, by mógł mu zaradzić jeden człowiek.

- Tak, panie. - Ranny żołnierz stojący obok Conana nieoczekiwanie przemówił, zaciskając dłoń na ramieniu sierżanta. Błada twarz z zapadniętymi oczami, wyglądała jakby człowiek ten stał na granicy śmierci. - Obiecuj mi jedno, Conanie. Kiedy udasz się do Aghrapuru, powiesz im co tu się naprawdę dzieje!

#### XIV

##### Bohaterowie i zdrajcy

- Przeklęta armia turańska! Ciemniacy! - Conan zmęczony przesunął się na ławce w trzęsącym się wozie. - Czym kierowało się kwatermistrzostwo, przydzielając nam schorowane konie i taką skrzypiącą furę zamiast słoni? Dwa albo trzy długonose mogłyby ponieść nas znacznie wygodniej. I ledwo by odczuli tę odrobinę nędznych towarów. - Cymmerianin pogardliwie wskazał za siebie na karłowate drzewko w doniczce, kilka sztuk mebli trzciniowych oraz parę kufrów z żywnością i wybranymi specjałami. Większą część ładunku stanowiły prezenty dla imperatora i jego dworzan w Aghrapurze. - To zamiłowanie Turańczyków do trzymania koni w tropikach ma w sobie coś anormalnego, jak miłość Kothijczyków do owiec!

- O, tak - zawtórował mu z boku Jurna. - Zgodnie z porzekadłem, że legion ekspedycyjny ssie nawet zbędny cycek wykastrowanego muła! - Potrząsnął

głową ze stoickim wyrazem twarzy. - Dopiero niedawno, kosztem życia wielu żołnierzy, nasi oficerowie liniowi poznali wartość słoni w boju. Może potrwać lata, nim świadomość użyteczności tych zwierząt zdoła się przebić przez zakute łąby służb zaopatrzenia. Uznaj się za szczęściarza, że do podróży przez te obce pustkowia nie dali ci strusia.

Szerokim gestem Jurna ogarnął ludną, zieloną dolinę. Główna droga z Venjipuru na północ biegła wzdłuż najszerszego z odgałęzień rzeki, wijąc się pomiędzy porośniętymi dżunglą wzniesieniami ku wzniosłym Górom Kolchidzkim i zaśnieżonej Przełęczy Kasmarskiej.

Za pasmem gór rozciągały się suche wyżyny Turanu i Iranistanu. Jazda była szczególnie męcząca aż do górskiego fortu Tamrish. Tam dopiero mieli przesiąść się na barki i dopłynąć bystrym nurtem rzeki Ilbars do przystani pałacu królewskiego w Aghrapurze.

Jednak dotychczas podróżni nie opuścili jeszcze centralnej części krainy Venji. Droga, którą toczyły się wozy, była niczym więcej jak porośnięta trawa groblą pomiędzy zalanymi wodą ryżowiskami. Rzekę, raz po raz poprzegradzano zaporami, tysiącrotnie wykorzystano nim zmęczona osiągała Zatokę Tarqheba. Każde z poletek cierpliwie pielęgnowało co najmniej pół tuzina wieśniaków. Mężczyźni, kobiety oraz dzieci z obnażonymi nogami gięli w znoju karki, osłonięte szerokimi, słomianymi kapeluszkami. Prostowali się na chwilę, by spojrzeć na toczący się wóz, ale nie okazywali żadnej uniżoności. Nikt nie pomachał ręką do zdobywców i protektorów. Przyglądano się im z milczącą rezygnacją.

- O, tak! Wkrótce będziemy mieli spokój z tym wszystkim! - Conan rzucił znaczące spojrzenie nad skulonymi ramionami miejscowego woźnicy. Na przedzie kawalkady, otoczony czterema żołnierzami ze straży konnej, podążał na białym rumaku szarif Jefar. - Nie każdy tak zwany oficer liniowy jest wystarczająco bystry na umyśle - zauważył Cymmerianin i wpatrując się ponuro w porośnięte dżunglą stoki wzgórz dodał: - Wkrótce umkniemy od tych nie kończących się pół uprawnych i wrogich spojrzeń, a wkroczymy do obcej, odludnej krainy.

- I wtedy będziesz z nim walczyć...? - zaczął Jurna, lecz natychmiast został gwałtownie uciszony przez Conana, który znacząco wskazał głową zgarbioną postać woźnicy. Stary Venji o wygolonej głowie twierdził, że nie rozumie żadnego języka poza swym rodzimym dialektem. Mimo to Conan żywił wobec niego pewne obawy i nie chciał przekazywać tajemnic w języku turańskim, jedynym którym mógł porozumieć się z Jurną.

- Ten nasz woźnica - zagadnął prowokacyjnie - to nie człowiek, tylko cuchnąca sterta słoniowego łajna! Słoń musiał nieostrożnie uronić go na podolek jego matki, a ona, będąc kretynką, uznała gównem za ludzkie dziecko!

Woźnica nawet się nie obejrzał. Jego zgarbione plecy nie poruszyły się, zmarszczki na potylicy wygolonego czerepu nie drgnęły. Dla przyjaciół było jasne, że mężczyzna nie rozumie turańskiego. - Więc wyzwiesz szarifa Jefara? - Jurna spojrział ostrożnie na plecy zdążających przed nimi jeźdźców. - A co z jego konną strażą?

- Tak, wyzwę, go, w chwili gdy nie będzie już wokół gapiących się wieśniaków, którzy mogliby o tym plotkować. Jeśli odmówi, a wiesz, że to robi, to upokorzę go, a potem i tak zabiję. - Conan poklepał wsunięty do pochwy miecz. - Strażnicy są doświadczonymi żołnierzami. Pozwolą na uczciwy pojedynek. Jeśli nie, to zostawiam ich tobie.

- Tysięczne dzięki za ufność w me siły! - Jurna spojrział na porośnięte dżunglą zbocze wzgórza, które przybliżało się do koryta rzeki i do drogi. - Więc jesteś pewien, że to szarif Jefar zarządził tamtą fatalną misję?

- Tak. Sporządził fałszywe raporty zwiadu, działając na tajne zlecenie pewnego oficera sztabowego, Abolhassana. Kapitan Murad to stary sukinsyn, ale przy tym dobry oficer. Świadomie nie poświęciłby na próżno życia tylu Turańczyków. - Conan potrząsnął głową pochmurny i zakłopotany. - Wygląda na to, że jedynym celem tej misji była moja śmierć!

Jurna przytaknął. Nie wydawał się zaskoczony.

- Pamiętaj, ostrzegałem cię przed niebezpieczeństwami związanymi z rolą bohatera. Teraz pozwolili mi towarzyszyć ci do stolicy. Być może również zostałem skazany.

- Wszystko wskazuje na to, że podpadliśmy obaj! Może to i lepiej, że Sariya nie chciała jechać. - Conan wyraźnie posmutniał. - Ale jeśli nawet nasze podejrzenia są słuszne, to zapewniam cię, że moja przyjaźń wyjdzie ci na zdrowie



bardziej niż Babrakowi.

Jurna przez chwilę milczał w zadumie, wspominając zmarłego, a po chwili zmienił temat. - Dziwi mnie obecność kapłana Mojurny tak daleko w głębi kraju. Jesteś pewien, że to właśnie jego widziałeś? - Kushita zmarszczył brwi. - Poprzednim razem natknęliśmy się na niego w tajemnej świątyni na terytorium wroga, ale nawet wtedy szaman jedynie na krótko zszedł ze wzgórz, by odprawić jakiś bezbożny rytuał. Jakież mroczne sprawy ściągnęły go tym razem tak blisko Fortu Sikander? Ciekaw jestem tego bardzo.

Conan przez chwilę siedział w zamyśleniu.

- Jumo, muszę ci coś powiedzieć. Dowiedziałem się czegoś o Mojurnie... To znaczy, nie jestem pewien czy się dowiedziałem... ale myślę, że to ważne. To powód, dla którego zmarnowałem szansę zadania decydującego ciosu. A ryzykowałem przecież... wszystko... - Nuże, Conanie. - Przerwał mu Jurna, zaniepokojony i z lekka zdezorientowany. - Nie masz się co krępować! Wielekroć widziałem w mym ojczystym Kush ludzi z zamętem w głowie na skutek czarów. To się zdarza. Mogą minąć miesiące nim zła moc całkiem ustąpi. Lecz, na Otumbe, kto to się zbliża?

Donośny chłupot dobiegał od strony bagnistego ryżowiska, pola dziwnie wyludnionego. Zza zasłony drzew ukazała się grupa konnych. Siedmiu jeźdźców okrywały starodawne zbroje, rzadko już widywane w Venji poza straganami z osobliwościami. Ponad kawalerią łopotał sztandar w czarno-żółte, tygrysie pasy - symbol buntowników. Wierzchowce zanurzone po pęciny maciły spienioną, rozbryzującą się wodę. Przez ryżowisko sunęła nadnaturalna fala. W czasie gdy podróżni przyglądali się w osłupieniu, szyk konnych rozdzielił się. Trzech jeźdźców ruszyło na kawalerzy sto w, którzy zatrzymali się jakieś pięćdziesiąt kroków z przodu, a czterech skręciło ku wozowi.

- Niech Tarim zrobi mnie eunuchem, jeśli to są zwyczajni buntownicy! - szepnął Conan, dobywając miecza. - Jeszcze nie widział takiego, którego stać by było na więcej niż hełm z garnka na ryż, a już na pewno nie na konia! - Mówiąc to, przypasał broń. - Spójrz jak rozdzielili siły. Nasze chabety i drzewko w doniczce muszą być dla nich cenną zdobyczą! Nie, herbaciarzu, nie chłoszcz swoich leniwych szkap. Zatrzymaj wóz! Ustaw go w poprzek drogi, o tutaj, żeby zatarasować przejazd. Dobrze, teraz trzymaj zaprzęg w bezruchu! - Conan wydawał polecenia w prostej mowie Venji. Ale woźnica, lekceważąc rozkazy, zanurkował na dno wozu i tam przycupnął pod ławką.

Wkrótce napastnicy byli już przy nich. Jurna i Conan stanęli do obrony. Kushita dzierżył topór na długim trzonku, który wy dobył spod ławki, a Cymmerianin wymachiwał mieczem. Natychmiast rozdzwoniło się jak w kuźni, gdy dźwięczący metal uderzał o metal. Walce towarzyszyły wrzaski, rżenie i tupot końskich kopyt.

Jeźdźcy pojawiali się jeden po drugim, sprawnie atakując. Jednak wysokość i stabilność platformy wozu dawała broniącym się pewną przewagę. Pierwszy z napastników padł, zwalony z siodła ciosem topora Jurny, drugi zalał się krwią pod mieczem Conana. Tymczasem innemu z buntowników udało się wspiąć na wóz, ale jedynie po to, by zostać z powrotem zrzuconym na ziemię. Chorąży, najwyraźniej dowódca oddziału, od początku trzymał się z tyłu, chrapliwym krzykiem zachęcając swych żołnierzy do nadludzkich wysiłków. Ale drugie podejście napastników zakończyło się dla nich jeszcze gorzej. Jeden rozciągnął się martwy na ziemi, inny pełznął jęcząc na groblę. Trzeci próbował utrzymać się na osłabłym, zakrwawionym koniu i jednocześnie toczyć pojedynek na topory z Jurną. Przywódca pogalopował na drugi koniec drogi, gdy w szarży wprost na wóz nie udało mu się nadziać Cymmerianina na kopię.

Jednak Conan, masując odrętwiałą ze zmęczenia rękę, nie czekał na następny atak. Wsunąwszy do pochwy miecz, skoczył z wozu wprost na grzbiet jednego ze zdezorientowanych brakiem jeźdźca wierzchowców.

Poczuł jak zwierzę zachwiało się pod jego ciężarem. Koń podrzucił zadem i stanął dęba, rżąc i parszcząc przeraźliwie. Conan gwałtownie ściągnął cugle i wbił obcasy w żebra wierzchowca, który, chcąc nie chcąc, ruszył na groblę. Wóz dzielący Conana od napastnika, dał Cymmerianinowi czas na opanowanie zwierzęcia.

- Jumo, ja znam tamtego z chorągwią - krzyknął do przyjaciela, wciąż ścierającego się z człowiekiem na krwawiącym koniu. - Biorę go na siebie, a ty kończ tutaj.

Kushita, zajęty ściągnięciem nieprzyjaciela z siodła, nic nie odpowiedział, tubylczy woźnica zaś kulił się nadal pod ławką. Nie miało to jednak większego znaczenia. Conan pognął swego rumaka wokół wozu ku czwartemu z

jeźdźców, a ten opuścił zakończoną proporcem lancę i ruszył z impetem, by nadzieć na nią przeciwnika.

Starli się wśród rozbryzgiwanego błota, szczęku oręża i stukotu kopyt. Zapanował chaos. Nagle zakończony proporcem czubek kawaleryjskiej lancy poleciał z łopotem w bagno, odrąbany potężnym uderzeniem miecza. W tym momencie opancerzony wojownik gwałtownie przerwał bój i pognął konia z powrotem do dżungli. Conan z dzikim okrzykiem bojowym na ustach ruszył za uciekinierem w pogoń.

Pozostali trzej napastnicy, wciąż jeszcze w siodłach, nadal bezskutecznie usiłowali pokonać eskortę wozu. Turańczycy na komendę szarifa Jefara sformowali szereg rodem z placu musztry. Ich taktyka, widowiskowa na parady, wyglądała komicznie i wręcz żałośnie wśród błotnistych pól i wysoko rozpryskiwanych łuków wody.

W tym czasie Conan galopował nisko pochylony nad końskim grzbietem. Twarz zalewało mu błoto. Wypluwał je co chwila i ścierał z oczu. Rumak, mniej obciążony niż wierzchowiec dźwigający okrytego pancerzem Hwonga, z wolna doganiał uciekiniera. Trudno było jednak Conanowi dostrzec obiekt pogoni w pianie mętnej wody wyrzucanej w górę przez kopyta. Pancerny jeździec skrył się ponownie w dżungli. Jego wierzchowiec musiał jednak zwolnić na niespodziewanie wznoszącym się stoku, co pozwoliło pogoni zbliżyć się znacznie. Koń Conana zepchnął wierzchowca wroga na pobocze ścieżki. Umykające zwierzę przemknęło zbyt blisko wiekowego drzewa. Ogromny konar stracił jego jeźdźca z siodła. Mężczyzna zderzył się z porośniętą zielskiem ziemią ze spiżowym brzękiem pancerza. Pozbawiony jeźdźca rumak pogalopował w głąb lasu. Conan, ściągawszy ostro cugle, zmusił swego wierzchowca do zatrzymania się.

Zeskoczył z końskiego grzbietu i podbiegł do powalonego wojownika. Grzebieniasty hełm spadł z głowy leżącego, który dyszał ciężko, bezskutecznie macając za zgubionym mieczem. Twarz, chociaż zakrwawiona i zniekształcona przez zmiążdżony nos, wydała się Conanowi dziwnie znajoma. Skośne, wąskie oczy wskazywały na khitajskie pochodzenie.

- No, proszę, sam władca. Oczekiwałem ponownego spotkania. - Miecz Cymmerianina zawisł nad wrogiem. - Gdybym miał trochę czasu, chciałbym się z tobą pojedynkować... Ale nie mam czasu. Przykro mi. - Conan ciał pomiędzy rozszerzone strachem oczy, rozrabując czaszkę.

Zostawiwszy drgające w agonii ciało, powrócił do zdyszanego konia. Gdy go dosiadał, usłyszał chłopot błota, szelest liści i szuranie kopyt po leśnej ściółce. Ponaglił konia i ruszył na spotkanie zbliżającego się jeźdźca. Wkrótce też natknął się na ostrożnie przemykającego wśród drzew szarifa Jefara.

- Ach, Conan, więc przeżyłeś. - Twarz turańskiego oficera zakwitła uśmiechem, który miał zamaskować początkowe zaskoczenie. - Godny podziwu wyczyn, walka na ukradzionym koniu z opancerzonym nieprzyjacielem. - Szarif ukradkowo rozglądał się wokół. - A gdzież jest przywódca buntowników? Uciekł ci, jak mniemam?. Szkoda, bo moi ludzie właśnie są zajęci dobijaniem jego ludzi i nie będzie skąd zaczerpnąć języka... O Tarimie! - Rozbiegane oczy Turańczyka natrafiły na rozciągnięte wśród zielska opancerzone ciało.

- Nie, szarifie, on nie uciekł. - Opuściwszy miecz, Conan skierował wierzchowca w bok, między krzaki. - Nie sądzę, aby była potrzeba informować cię, kto to taki. Wszak osobiście zaplanowałeś z nim tę zasadzkę i moją śmierć! Ale to już ostatni z twoich zdradzieckich uczynków.

- Co wy gadacie, sierżancie? Walczymy po tej samej stronie... - Potok słów Jefara urwał się gwałtownie, gdy Conan ze zgrzytem dobył miecza i wznosił gotowy do walki oręż. - Niech cię piekło pochłonie, barbarzyńco! - Szarif, zamiast stawić czoło przeciwnikowi, zawrócił wierzchowca ku polom ryżowym.

Koń, zdyszany i otępiały z gorąca, nie wykonał jednak manewru dość szybko. Cymmerianin momentalnie znalazł się obok uciekiniera. Nie zadał ciosu opancerzonym, okrytym lawendowym płaszczem plecem szarifa, lecz rzucił się na oficera i własnym ciałem zepchnął go z siodła. Obaj wpadli w kwitnący czerwono krzak i potoczyli się zwarci w dzikiej walce pośród zieleni. Zwisające kwiaty dygotały jak szalone, wreszcie stopniowo uspokoiły się i zupełnie znieruchomiały.

W końcu krzak zadrżał raz jeszcze, a jego gałązki trzasnęły pod naporem czyjegoś ciężaru. Conan podniósł się z ziemi, trzymając w ręku umazany posoką sztylet szarifa Jefara. Ciężko dysząc, odrzucił skrwawiony nóż daleko w las i odwrócił się, by stawić czoło następnemu wrogowi, którego przybycie zwiastował

chlupot kopyt, zbliżający się od strony pobliskiego pola.

Tym razem był to jednak Jurna, ściskający czarnymi, ubroczonymi krwią kolanami bezpańskiego konia. Ostro ściągnął cugle, spojrzął ze zrozumieniem na Conana i przeniósł wzrok na odziane purpurą wciśnięte w krzak ciało. - Nasz ukochany szarif... Bez wątpienia okrutnie zabity przez buntowników.

- Tak - wydyszał zmęczony Conan. - Ale bez obawy. Już wzięłem pomstę na ich przywódcy, który gdzieś tam leży. - Pochyliwszy się, by podnieść swój miecz, wskazał nim stratowaną ziemię. - Jak się domyślałem, był to Phang Loon. Chociaż miło mi stwierdzić, że w obecnym stanie nikt go nie pozna. - Odwrócił się i odszedł, by zatrzymać błakające się pośród drzew bezpańskie konie.

Jurna zawrócił swego wierzchowca i ruszył na spotkanie trzech żołnierzy, którzy właśnie galopowali od strony ryżowiska. Ściągnęli cugle i unieśli zabłocone przyłbice, przypatrując się niecodziennej scenie z mieszaniną zdumienia i podejrzliwości.

Kushita przemówił do nich burkliwie.

- Dobra robota, panowie. Widzę, że wszyscy buntownicy zostali zabici. Po bohaterskiej śmierci szarifa Jefara ja, jako najstarszy ranga, obejmuję dowództwo. Pozostaje nam tylko obedrzeć trupy i kontynuować podróż do Aghrapuru!

XV

Triumf

Rzeka Ilbars miała swe źródła wśród bezdroży Gór Kolchidzkich. Zasilały ją śniegi, topniejące na wzniosłych, poszarpanych turniach i deszczowe nawałnice na mniej stromych stokach. Nagimi rozpadlinami i wąwozami spływały w dół niezliczone potoki, pozwalając przeżyć kozicom i niedźwiedzim, jaszczurkom i panterom. Wody wiły się dalej, tworząc szersze rozlewiska i strumienie, w których poili owce i pławili swe konie stalowoocy górale.

Tam gdzie dopływy łączyły się w potężną Ilbars, krajobraz stopniowo stawał się coraz bardziej płaski. Przez żyzne doliny i stepy rzeka toczyła swe wody powoli i dostojnie, jakby z przyjemnością kreśląc meandry wśród bujnych łąk. Ta szeroka, gładka arteria tłoczyła ożywczą krew w ciało imperium. Handel, wyprawy łupieżcze i wędrówki ludów miały ścisły związek z rzeką, nad którą wyrosło wiele kwitnących miast, od otoczonej murami Samary, przez bogaty w karawany Akif, aż po sam Aghrapur - pulsujące, błyszczące serce Turanu.

Ilbars roiła się od łódek rybackich, czółen, trzciniowych tratów, wiosłowych galer, a nawet galeonów o wysokich masztach, płynących w górę rzeki na zrefowanych żaglach jak widma z wybrzeży morza Vilayet. Mimo tej różnorodności statków, odbijająca od ruchliwego nabrzeża w Akif barka o niskiej burcie i prostokątnej nadbudówce wyglądała dziwnie i niezgrabnie. Zbudowano ją z mocnych, ledwie ociosanych belek, które dobrze unosiły się na wodzie, nawet jeśli nie zostały ciasno zbite i uszczelnione żywicą i pakułami.

Była to typowa łódź przeznaczona do jednorazowej podróży, a płynęła z położonego pośród lesistych - wzgórz Tamrishu. W stolicy barka miała zostać rozbita, jej belki zaś użyte na krokwie szybko wznoszonych budynków mieszkalnych albo na mocne kile zgrabniej szych statków.

Choć powolna i nieforemna, zmuszała mniej masywne łodzie do ustąpienia jej z drogi, gdy kołysząc się sunęła ku głównemu nurtowi rzeki. Po jej pokładzie, pośród przekleństw i stukotu drągów, służących bardziej jako broń niż wiosła, przechadzała się godna uwagi postać. Był to szczupły, wyperfumowany, elegancki eunuch z pałacu królewskiego. Człowiek ten zdecydowanie nie pasował do tak prymitywnego środka transportu. Tylny pokład barki stanowił istną zagrodę wiejską, wypełnioną rozmaitymi zwierzętami oraz powiazanymi w pęczki i popakowanymi w kosze plonami pól i ogrodów, przeznaczonymi na miejskie targowiska. W tym otoczeniu jedwabne szaty i zniewieściała postawa podróżnego przyciągały spojrzenia i wywoływały komentarze, wygłaszane ścisłym głosem z powodu obecności wielkiego niewolnika o naoliwionej skórze, trzymającego się za plecami swego pana i dźwigającego za nim rozmaite sakwy.

Eunuch wyraźnie czegoś lub kogoś szukał. Spacerował niezdecydowanie wzdłuż niskiej burty barki, czasami zagadując kogoś z siedzących tam wieśniaków. Nie uzyskawszy odpowiedzi, marszczył nos w wyrazie zniecierpliwienia i przechodził dalej. W końcu dotarł do zagródki oblepionej przez muchy, spokojnie przeżuwanego byczka i tu wreszcie otrzymał konkretne informacje.

Odziany w turban ze szmat właściciel bydłęcia, possał w zamyśleniu bezżębne dziaśła, a potem wskazał w stronę rufy, gdzie kilku marynarzy pochyliło się nad wiosłami o szerokich piórach, kierując ruchem płaskodennej barki i nie pozwalając rufie zbyt długo się rozkołysać przy wykonywaniu skrętu.

- Conan? - Eunuch, uniósłszy z gracją tunikę, by uchronić ją przed ochlapaniem wodą i innymi, mniej wonnymi substancjami, zwrócił się do wiosłarzy. - Czy jest pomiędzy wami, żeglarze, sierżant Conan z Gwardii Ekspedycyjnej? - Czerpiąc odwagę z obecności muskularnego niewolnika, dworak zatrzymał się w bezpiecznej odległości od gapiących się na niego obdartych próżniaków. Marynarze przyjęli go pochrzakiwaniem i szyderczymi uśmiezkami, a ich białe zęby połyskiwały z surowych, spalonych słońcem twarzy. Kilku splunęło pogardliwie, jednak najpotężniejszy z mężczyzn zachował spokój. Nie nosił turbanu. Proste czarne włosy opadały mu na ramiona. Odziany był w łachmany, w których z trudem można było poznać tunikę sił ekspedycyjnych. Przekazawszy wiosło sąsiadowi, człowiek ów wystąpił naprzód i przemówił z północnym akcentem.

- Ja jestem Conan, ostatnio z Venjipuru. A to mój przyjaciel, sierżant Jurna. - Skinął ręką na potężnego czarnoskórego mężczyznę, który siedział obok niego na koszu, przechylając do ust glinianą flaszkę z winem. - Czy jesteś wysłannikiem imperatora Yildiza?

Pytanie wywołało pohukiwania i chichoty wśród pozostałych żeglarzy. Lecz ich rozbawienie wkrótce ustąpiło miejsca uniesionym brwiom i pomrukowi zdziwienia. Albowiem na skinienie głowy swego pana, niewolnik otworzył jeden z koszyków i wypuścił białego gołębia pocztowego. Ptak zatrzepotał na próbę skrzydłami, a potem pofrunął prosto na wschód, ku słońcu. Eunuch zaś z dostojną miną pozdrowił Conana głębokim, energicznym ukłonem.

- Witaj. Jestem Sempronius, pierwszy sekretarz kancelarii cesarskiej. Powiedziano mi, że podróżujesz na pokładzie tego... statku, lecz nie spodziewałem się znaleźć cię... na rufie. - Eunuch był zgrabnym mężczyzną o delikatnych rysach, ubranym wyłącznie w jedwabie - od turbanu i kamizelki, po pantalon i spiczaste pantofle. Poruszał się energicznie i wyniośle, a jego spojrzenie rzucone na zatłoczony pokład wyrażało bezmiar niesmaku. Skończywszy mówić, uniósł do nosa pachnącą lawendą chustkę, by zagłuszyć smród krów i innych bydła.

- Oczywiście - odpowiedział mu otwarcie Conan - wykupiliśmy normalny przejazd, wedle rozkazu. Ale potrzebne były silne ręce do pomocy w sterowaniu przy rwącym nurcie i do walki z rzeczonymi piratami. - Cymmerianin pomógł wstać Jurnie. Kushita podniósł się z ociąganiem, przekazując swą butelkę innemu żeglarzowi. Pomachał wiosłarzom w pijackim pożegnaniu i wraz z przyjacielem ruszył w ślad za Semproniusem. - Nasze manatki i dary dla imperatora są złożone tam. - Conan wskazał na dach przysadzistej, przypominającej pudło nadbudówki, gdzie przytoczono delikatniejsze ładunki, aby się nie zmoczyły.

- Dary z krain południowych? - Zbliżyli się do budki. Sempronius patrzył na stosy towarów, złożonych na górnym pokładzie, obli - żując z zainteresowaniem wąskie wargi. - Czy przywieźliście ze sobą jakiś dobry... lotos lub, powiedzmy, konopie?

- Nie - odpowiedział beznamiętnie Conan, ledwie zerkając na Jurne. - Przywieźliśmy doniczkę z drzewkiem dla imperatora Yildiza, jak również trochę, wyrobów z wikliny i drobniejsze prezenty.

- Och - Sempronius szybko stracił zainteresowanie ładunkiem. - No dobrze. Moim zadaniem jest przygotować cię do publicznego występu podczas triumfu i bankietu oraz przedstawić Jego Światłości i dworowi. - Odwrócił się i popatrzył na nich z wahaniem. - Myślę, że dotyczy to was obu, gdyż rzeczywiście robicie wrażenie. Choć potrzebny nam będzie także jakiś rodowity Turańczyk dla wzbudzenia w tłumie uczuć patriotycznych.

- Jeden zaczął z nami podróż. - Jurna z pijacką werwą włączył się do rozmowy. - Niestety, zginął pierwszego dnia, podczas napadu buntowników. Biedny szarif Jefar! - zakończył z łzawym, przesadnym westchnieniem.

- Nieważne. - Sempronius wrzucił ramionami, okazując zupełny brak zainteresowania. - Martwi są dla nas nieużyteczni. Kiepsko służyłoby naszym celom prezentowanie motłochowi zwłok bohatera. Generał Abolhassan wyznaczył jakiegoś dobrze prezentującego się Turańczyka do odegrania tej roli albo zrobi to osobiście. - Krocząc, jakby był właścicielem barki, pośród pasażerów, którzy z szacunkiem rozstępowali się przed nim, eunuch poprowadził żołnierzy wokół nadbudówki na mniej zatłoczony przedni pokład. - Czeka nas wiele zajęć -

audiencja, obchód pałacu i przyznanie wam odznaczeń. - Mówiąc to, Sempronius dał znak niewolnikowi, by położył bagaże na pustym miejscu przy burcie. Sługa natychmiast zaczął przenosić pakunki.

- Powiedz mi - zapytał z zainteresowaniem Conan - czy będzie nam dane zobaczyć wykładane masą perłową wanny imperatora? Wiele o nich słyszałem, jak też o sprawności zatrudnionych w łaźniach niewolnic...

- Będziecie potrzebowali kąpieli przed uroczystościami! Mój niewolnik namaści was wonnymi olejkami. - Sempronius odwrócił się do Conana, trzymając przy twarzy skrawek opalizującego jedwabiu, który mógł być chusteczką. - Kiedy byliśmy na rufie, gdzie trzymają bydło, nie zauważałem tego tak bardzo - eunuch afektownie zmarszczył nos - ale, szczerze mówiąc, śmierdzą, sierżancie.

- Śmierdzą, czyżby? - Conan rzucił wściekle spojrzenie na Jumą. - Chyba nie bardziej niż ty sam, wykastrowany dudku, z tą cuchnącą pomadą i dworskimi pachnidłami! W dżungli słabości do takich wonności pozwolą cię szybko wytropić i zabić. - Zacisnął ciężką pięść i machnął nią przed twarzą tego, który go poniżył. Eunuch i niewolnik przysunęli się jedynie bliżej siebie, nie ustępując przed zagrożeniem. - Jeśli rozgniotę i rozplaszczę ci nos, to myślę, że mój zapach nie będzie ci już tak bardzo przeszkadzać! - Rozwścieczony Conan ponownie zerknął na Jumą, lecz ten, otępiały od alkoholu, nie wyglądał na zainteresowanego awanturą.

- A zresztą, dobrze. Jakież to ma znaczenie? Nie potrzebuję nacierania olejkiem przez pachnącego kastrata! - Nagle Conan porzucił bojową postawę. Strząsnąwszy z siebie nędzne szczątki kamizeli i wyskoczywszy z podartych bryczesów, podszedł do burty i skoczył do wody, ochlapując przestraszonych obserwatorów.

Nurt rzeki toczył się z umiarkowaną prędkością. Sporadyczne ruchy nogami wystarczyły, by Conan utrzymywał się w pobliżu barki, podskakując i baraszkując w wodzie. Brzeg rzeki, zarośnięty trzcinią i przesłonięty nisko zwieszającymi się gałęziami drzew przesunął się przed oczami pasażerów, którzy pilnowali, czy nie ma w pobliżu krokodyli i wykrzykiwali pełne werwy ostrzeżenia. Łodzie żaglowe podpływały bliżej barki, by stwierdzić przyczynę zamieszania.

Nie trzeba było długo czekać, by Jurna także się rozebrał i wskoczył do wody. Pijackie otępienie zniknęło pod wpływem rześkiego porannego chłodu wody. Czarnoskóry oficer również posiadał rzadką umiejętność pływania. Podczas gdy dwóch osiłków bawiło się i próbowało nawzajem wepchnąć pod wodę, Sempronius wychylił się za burtę i wylał im na głowy zawartość flakonu z niebieskiego szkła, namaszczając kąpiących się mydłanym, perfumowanym olejkiem.

Baraszkowanie w wodzie trwało dość długo. Wreszcie obaj mężczyźni dali się namówić do powrotu na pokład i, po obesznięciu, do założenia jedwabnych fatałaszków. Teraz wyglądali prawdziwie dostojnie. Jednak dostarczone przez Semproniusa kosztowne, srebrno-szare tuniki dziwnie kontrastowały z nie ostrzyżonymi głowami i zarośniętymi, ogorzałymi twarzami. Pragnąc temu zaradzić, eunuch owinął mokre czupryny swych gości fioletowymi turbanami, po czym poddał każdego z nich zabiegom polyskującej brzytwy.

Ze świeżo ogolonymi, natartymi oliwą twarzami Jurna i Conan prezentowali się wprost znakomicie. Eleganckie szaty i jasne spojrzenia nadawały im obu niemal arystokratyczny wygląd. Współpasażerowie na barce, głównie wieśniacy i kupcy, obserwowali to stopniowe przeobrażenie i przyklaskiwali jego wynikom. Odsunęli się dopiero, gdy z jednego z koszy niewolnik Semproniusa wydobyl daktyle i palmowe wino, by wynagrodzić żołnierzom uległość.

Porozumienia nie udało się osiągnąć jedynie w sprawie sponiewieranych, w niczym nie przypominających wykwintnej broni noży, których obaj weterani nie chcieli oddać. Sempronius przekonywał, że przepoczone, skórzane rękojeści wyglądają ordynarnie na tle szarf jasnych, nowych mundurów. By w końcu dopiąć swego, zdesperowany eunuch zaproponował w zamian wysadzone klejnotami sztylety o złotych rękojeściach, należące do niego i jego niewolnika. Wojownicy stwierdzili, że dorównują one ostrością stalowej brzytwie niemego niewolnika.

Potężna Ilbars kierowała teraz swój bieg na wschód, zwawiej tocząc wody ku stolicy i morzu. Krajobraz po obu brzegach rzeki zmieniał się. Coraz więcej pojawiało się terenów zagospodarowanych i zaludnionych. Jednak tempo podróży okazało się zbyt wolne dla Semproniusa, który w miarę jak słońce zbliżało się do zenitu, tracił chłodne opanowanie.

- Gdzież jest ta łódź? - mruzczał zirytowany. - Byłby to zły omen, gdyby mój gołąb został porwany przez jastrzębia! Tłuszcza niewiele zważa na takie

znaki, ale nie imperator.

W końcu jednak pojawiło się pozłacane czółno. Sunęło w górę rzeki przez cieniste płycizny przy południowym brzegu. Płynęło gładko pod mistrzowskimi uderzeniami pagajów ośmiu klęczących wioślarzy, którym rytm ustalał usadowiony na rufie dobosz w czerwonym turbanie. W odpowiedzi na sygnały eunucha, niecierpliwie dającego sygnały przybyszom, czółno zatoczyło łuk ku środkowi nurtu. Ledwie wioślarze zdążyli zatrzymać je przy burcie barki, a już Sempronius zeskokczył na pokład i gestami nakazywał załadunek.

- Chodźcie, nie możemy się spóźnić! Ty - krzyknął do niewolnika - przenieś to dziwaczne drzewko! Ale sam pozostań na barce i doglądaj reszty bagażu!

Sługa odwrócił się, by wypełnić polecenie.

Po chwili czółno popędziło naprzód. Conan i Jurna machali na pożegnanie swym wiwatującym wielbicielom. Donica z drzewkiem ustawiona została dla równowagi na dziobie, a trójka pasażerów przysiadła pośrodku łodzi na wypolerowanych ławkach, osadzonych w poprzek drewnianego kadłuba. Płynęli teraz z prądem rzeki, co nadawało im znaczną prędkość. Było to odczuwalne szczególnie, gdy łódź przybliżała się do brzegu. Wtedy trzciny, drzewa i proste szałaszy umykały do tyłu z zapierającą dech szybkością. Jednak przez większą część drogi pozostawali w środku nurtu. Wioślarze bez wysiłku wymijali większe, wolniejsze statki. Mniejsze, bardziej chyba łodzie zachowywały bezpieczną od nich odległość, respektując złoty emblemat cesarski, umocowany pod zwieńczonym głową orła dziobem czółna.

Tylko raz Conan położył dłoń na ramieniu jednego z wioślarzy, proponując że go zmieni i wypróbuje swą zručność. Jednak nagi marynarz tylko spojrział wyniośle do tyłu i potrząsnął odmownie głową, wyraźnie niezadowolony, iż wypadł z rytmu. Więc Conan siedział beczynnym wraz z pozostałymi, sącząc gęste palmowe wino, którego nową butelkę wydobyl Sempronius. Kołysani przez cichy szept wioseł, miarowe pulsowanie bębna i melodyjną pieśń, podejmowaną od czasu przez wioślarzy, podróżni obserwowali mijane widoki.

W zadziwiająco krótkim czasie niebo na wschodzie zaczęło się barwić miedzianą mgiełką dymów z dziesięciu tysięcy miejskich kominów. Jednocześnie na obu brzegach pojawiało się coraz więcej budynków. Ruch na rzece narastał, co bynajmniej nie stanowiło przeszkody dla doświadczonej załogi, zwłaszcza że rzeka wyraźnie się rozszerzała. Mijali niewielkie wysepki. Na niektórych wznosiły się otoczone murami, nakryte kopułami wille patrycjuszki cesarstwa. Południowy brzeg był bagnisty. Roilo się tam od małych, rozpadających się łodzi, będących domami nadrzecznej biedoty.

Wreszcie Conan dostrzegł obwarowania miejskie Aghrapuru, majaczące ponad zwieszającymi nad wodą gałęziami wierzbami. Poznaczone otworami strzelniczymi mury ciągnęły się daleko na południe. W stałych odstępach wyrastały z nich smukłe wieże.

Ku zaskoczeniu Cymmerianina, czółno przybiło do brzegu przed bramami miasta. Zaczumowali przy szerokim kamiennym nabrzeżu, gdzie tłoczył się las masztów. Był to wyraźnie kwitnący port. Długi pomost kończył się brukowanym placem, otoczonym komorami celnymi i straganami kupców. Rejwach, który nieprzyjemnie uderzył przybyszów w uszy, wydał się Cymmerianinowi podejrzenie intensywny. Senny nastrój wywołany winem wzmógł tylko zaniepokojenie. Dźwięki przywodziły na myśl oblężenie twierdzy. Lecz gdy Sempronius powiódł gości wśród ciżby kawalerzystów i ich stojących dęba wierzchowców w jasnych uprzężach, Conan zrozumiał, że właśnie trwają przygotowania do parady.

- Z drogi! Hej tam, odsuńcie się, prowadzę bohaterów! - Rozkaz Semproniusa brzmiał urzędowo i ostro, choć wydany został wysokim głosem kastrata. - Gdzież, na bogów, podział się honorowy rydwan? Spatulusie, ty nędzny eunuchu, kto dowodzi tym bałaganem? Ach, tam jest generał! Chwała ci, wielmożny panie, przybyliśmy! Triumf może się rozpoczynać.

Stanęli przed roslym oficerem w czarnym turbanie, którego wzrok prześliznął się po Cymmerianinie szybko i bez zainteresowania. W chwili, gdy Conan dosłyszał nazwisko „Abolhassan”, wymamrotane gdzieś w pobliżu, pojał kim jest ten mężczyzna i zaczął mieć się na baczności. Generał odwrócił się i wsiadł do przystrojonego złotem rydwanu, a Sempronius powiódł swych podopiecznych w stronę szerokiego, niskiego, prostokątnego pudła, wyłożonego haftowanymi poduszkami. Dziwny obiekt wyraźnie przeznaczono im do dalszej podróży.

- A cóż to jest, tratwa? - rzucił pytanie Conan. Nie doczekawszy się

wyjaśnień, pozwolił jednak wprowadzić się do środka i spoczął na poduszkach. - A może siedzisko na słońcu? - zagadnął Jurne, gdy Kushita umieścił się naprzeciw niego. - Jeśli tak, to jak dostaniemy się na grzbiet słońca?

Sempronius zaabsorbowany urzędowymi obowiązkami pospieszył gdzieś, nie udzielając odpowiedzi. Ciekawość Conana została więc zaspokojona dopiero, gdy do pudła zbliżyło się ośmiu niewolników w jedwabnych koszulach. Nieśli po dwóch długie, wypolerowane tyczki. Wszystkie cztery drągi zostały przyćwieczone klamrami na bokach platformy - dwa w poprzek i dwa wzdłuż. Nagle, jakby bez wysiłku, pudło zostało podniesione na wysokość ramion, tworząc miękką, odkrytą lektykę.

Conan nie czuł się całkiem ukontentowany. Niesiono go w powietrzu jak spętaną świnię w drodze na ucztę. Z drugiej jednak strony ruch pojazdu był posuwisty, a nosiciele manewrowali lektyką z równą zręcznością jak wioślarze królewskim czółnem. Wymijając kolumny kawalerii i piechoty, przedostali się przez ruchliwy dziedziniec i wkrótce dotarli do wschodniej bramy miasta, przystrojonej girlandami i bukietami kwiatów.

Nadszedł czas nie kończącego się oczekiwania. Tragarze, jak dobrze wyćwiczone psy, pełni gotowości ulegle warowali przy postawionej na ziemi lektyce. Lecz w końcu rozległa się fanfara, a w odpowiedzi zagrzeczołały bębny. Lektyka została uniesiona w górę i zaczął się marsz.

- Nie widzę potrzeby tej zbrojnej eskorty - powiedział Conan do Jurny. - Czółno mogło dowieźć nas prosto do przystani pałacu imperatora. - Czy myślisz, że hołd ten jest wyłącznie nam składany? - Kushita, choć bardziej pijany od Conana, nie był aż tak nieprzytomny, by cynicznie się nie uśmiechnąć. - Wyrzynanie wrogów w dalekich krainach jest tylko jednym z zadań, które nam przeznaczono. Powinieneś wreszcie to zrozumieć. Najważniejsza przysługa, którą mamy oddać imperium, być może nasza ostatnia i zakończona śmiercią, wciąż jest przed nami i nie wykluczone, że zakończy się dla nas śmiercią!

W tym czasie lektyka przesunięta blisko czoła pochodu, minęła bramę miasta. Conan doznawał dziwnych wrażeń podróżując na leżąco. Z zainteresowaniem patrzył w górę na szczeliny i strzelnice łukowato sklepionej wieży, na ostre metalowe zęby prowadnic bramy. Trąby grzmiały ze szczytów murów, a zamiast głązów i wrzącej oliwy na maszerujących spadał deszcz kwiatów.

Na dziedzińcu wewnątrz bramy lektyka gwałtownie się zatrzymała, podobnie jak cała kolumna, zarówno za nią, jak i przed nią. Siwobrody miejski rajca w połyskującym złocistym turbanie zawiesił girlandy na szyjach obu bohaterów. Potem zaś, ku zaskoczeniu pasażerów, do lektyki wspięły się dwie hurysy o obfitych biodrach, w przejrzystych, zwiewnych strojach. Dziewczyny zastygły na poduszkach w zachęcających pozach. Ciągący za lektyką tłum, składający się głównie ze zwykłych przechodniów i kilku miejskich próżniaków, zaczął poświsztować i pohukiwać przewidująco, gdy pochód ruszył dalej.

- No panienki, jesteście mile widziana nagrodą dla steranych żołnierzy! - Conan przysunął się bliżej do pulchnej, ładnej dziewczyny, poklepując jej miękką oliwkową skórę. Hurysa odwróciła się, by pomachać wiwatującym gapiom. Lektyka jeszcze raz gładko ruszyła do przodu, a tragarzom wyraźnie nie przeszkadzał dodatkowy ciężar obu kobiet. Jedyną zauważalną różnicą był nieco mniej energiczny start i trochę większe chybotanie na zakrętach.

- Nie, panie, opanuj się! Stanowimy jedynie element dekoracyjny waszej lektyki, tak jak te kwietne wieńce! - Dziewczyna obróciła się z zadziornym uśmiechem do Conana i odsunęła jego dłoń ze swego uda. - Błagam również, byś nie robił zbytniego nieładu w mej sukni.

- Nie martw się o to, dziecino. - Conan otoczył ramieniem jej plecy. - Jeśli ci chłodno w tym skąpym przyodziewku, to nakryję cię i ogrzeję..

- Nie, panie, nie tutaj! - odpowiedziała sztywno. - Po prostu machaj tłumowi i raduj się. - Ujęła rękę Cymmerianina, uniosła ją wysoko i pokiwała w niezgrabnym pozdrowieniu. - Będzie masa czasu, by zabawić się później, w pałacu.

Jurna wyraźnie natrafił na podobną, zręczną odprawę. Conan pojął, że dziewczyny bezbłędnie potrafią ostudzić męskie zapały. Wyglądając na roznamiętnione swawolnice, naprawdę prezentowały cały swój uwodzicielski czar tłumowi, a ich współpasażerom pozostawało niewiele więcej, jak tylko profesjonalna uprzejmość. Straciwszy w końcu nadzieję, Conan zadowalał się odpoczynkiem pośród poduszek. Miał tylko nadzieję, że udało mu się przybrać dystygowaną pozę.

Pochód posuwał się szeroką, prostą aleją, wzdłuż której ciągnęły się

wysokie mury rozległych posiadłości. Po obu stronach drogi pozostawiono miejsce dla gapiów. Było ich jednak niewiele, głównie niewolników z pobliskich pałaców i dworów, mimo że przemarsz kolumny eskortującej bohaterów powinien był wzbudzić większe zainteresowanie. Maszerujących poprzedzała grupa jaskrawo odzianych heroldów w fezach. Ich nieustanne trąbienie odbijało się niemiłym echem wzdłuż ulicy. Za nimi kolumna rozszerzała się w poczwórny szereg doboszy. Daleko na przedzie Conan mógł dojrzeć kity ich czapek i podrzucane w górę pałeczki.

Dobosze poprzedzali sześćdziesięciu żołnierzy doborowej piechoty z tutejszego garnizonu, za którymi podążał butny dowódca, generał Abolhassan, powożący samodzielnie wspaniałym, czterokonnym rydwanem. Czarno-złote lejce pasowały kolorystycznie do ogierów hebanowej maści i ich pozłacanej uprzęży. Conan, obserwując przybranego w czarną tunikę i złocony półpancerz generała, nie mógł powstrzymać ukłucia zazdrości. Zdawał sobie sprawę, o ile bardziej bohatersko wyglądał Abolhassan w porównaniu z nim samym, wrzuconym do nie przystojącej mężczyźnie lektyki, wystrojonym jak paw, bez zbroi, wzgardliwie ignorowanym nawet przez mizdrzące się do tłuszczy ladacznice.

Ale mogło być jeszcze gorzej. Za rydwanem generała, a tuż przed lektyką Conana szła grupa, stanowiąca niezbędny element uroczystego triumfu - brudni jeńcy, wlokący się w łańcuchach, z posiekanymi batem plecami, obarczeni najcięższymi kajdanami, aby wyglądali jeszcze słabiej i nędzniej. Byli Hyrkańczykami, bez wątplenia schwytanymi w jednej z potyczek daleko na wschodzie. Nie pochodzili z Venjipuru i nawet nie wyglądali jak tamtejsi buntownicy. Nie mieli nigdy do czynienia z Conanem i prawdopodobnie równie niewiele z Abolhassanem. Ale nieświadomy niuansów politycznych lud potrzebował po prostu pokonanych, na których mógłby wylać swą pogardę. Gdy nieszcześnicy ciągnęli się, chłostani przez konnych turańskich nadzorców, tłum syczał i przeklinał. Niektórzy ciskali w jeńców kamieniami i odpadkami, jak dyktował powszechny hyborejski obyczaj.

Potem następowała miła zmiana nastroju: Conan i Jurna, bohaterowie prosto z Venjipuru - junacko prezentujący się wojownicy, mimo że cudzoziemcy. Za ich lektyką maszerowało jeszcze wielu miejskich kupców, żołnierzy i cenionych niewolników. Szczególną sympatię i zainteresowanie tłumu wzbudzały roześmiane hurysy, wychylające się przez burty lektyki, by pokazać zgromadzonym swoje bujne wdzięki. Część tego uznania spływała na towarzyszących dziewczętom wyraźnie skrępowanych olbrzymów z zachodu, jednego jasnego, drugiego czarnego jak smoła, którzy witani byli dobrodusznymi oklaskami, a nawet wiwatami.

Zaraz za lektyką toczył się zaprzężony w osiołka wózek z tropikalnym drzewkiem, dającym gapiom posmak autentycznego Venjipuru i wojny gorejącej w głębinach jego dżungli. Turańczykom oryginalna roślina wydawała się pierwszym skromnym symbolem ogromnych łupów, jakie popłyną na północ w nagrodę za militarną sprawność imperium.

W dodatku wokół powoziku z donicą galopowali dający doskonały przykład tej sprawności kawalerzyści-akrobaci. Kłusowali i zawracali zwinnymi końmi przez całą szerokość alei, stawali w siodłach, przeskakiwali w biegu z konia na konia i wykonywali wszelkie możliwe sztuczki. Jeźdźcy ci nosili turańskie tuniki wojskowe, jednak byli drobniejszej budowy i bardziej eleganccy niż żołnierze, których imperium życzyłoby sobie wystawić do bitwy. Podobnie ich rumaki przypominały bardziej konie cyrkowe. Ale znowu niewykształona tłuszcza nie była w stanie odróżnić woltyżerów od prawdziwych kawalerzystów, ani nie rozumiała, jak niewiele te popisy mają wspólnego z okrucieństwem działań wojennych. Gapie przyjmowali przedstawienie entuzjastycznie, oklaskując jeźdźców i ciągnąc za nimi, by zobaczyć więcej śmiałych wyczynów.

Pochód woltyżerów zamykała jadąca stępą regularna kawaleria z miejskiego garnizonu. Na wzniesionych lancach łopotwały jaskrawe proporce, przesłaniające Conanowi widok. Jednakże w tyle rozbrzmiewały fanfary i werble, co oznaczało, że pochód rozciągał się jeszcze daleko za lektyką. Cały ten zgiełk wywołał w końcu pożądany efekt. Kiedy dotarli do dzielnicy o gęściejszej, piętrowej zabudowie, tłum zgęstniał, napływając wąskimi bocznymi uliczkami. W alei zgromadzili się mężczyźni w turbanach, fezach i o wygolonych głowach, kobiety zakwefione i odziane mniej skromnie, a przede wszystkim roje nagich, rozwrzeszczanych dzieciaków, przyciągniętych atrakcjami, jakie zwiastował ten spiżowy rejwach.

Conan, obserwując reakcje tłumu, wyczuwał atmosferę pewnej rezerwy. Na zwróconych ku lektyce twarzach malował się sceptycyzm, nawet uraz. Wyglądało na to, że zahartowani ubóstwem mieszkańcy miasta nie mieli w zwyczaju obdarzać byle



kogo swą sympatią. Mężczyźni wlepiali wzrok w półnagie hurysy, nieskromne mężatki i karczemne dziewczki posyłały Conanowi i Jurnie całusy, odziani w łachmany chłopcy otwierali usta na widok błyszczących wojskowych galonów. Jednakże przeważał nastrój niezadowolenia. Niektórzy gapie szydzili lub miotali przekleństwa, nawet wygrażali pięściami. Większość jednak okazywała jawnie brak zainteresowania. Cymmerianin, którego oko wyćwiczyły lata złodziejskiej praktyki, wypatrzył kilku rzezimieszków, pracujących w tłumie dla własnych korzyści. Uznał więc w końcu, że to po prostu normalny, wielojęzyczny miejski motłoch.

Kiedy pochód minął karczmy oraz otwarte targowiska i wkroczył do zamożniejszej dzielnicy, zabudowanej świątyniami i budynkami publicznymi, wygląd tłumy uległ zmianie. Po alei krążyli sprzedawcy, - trzymając wysoko w górze tyczki z preclami i wiązkami suszonych ryb, które sprzedawali za drobne miedziaki. Prawdopodobnie zaradni eunuchowie szepnęli wcześniej słówko o paradzie, a może sprzedawcy, tak jak i złodzieje, zmobilizowali się do pracy na widok narastającej ciżby ludzkiej. Pośród rozmaitych kwiatów, monet, gałązek i innego śmiecia ciskanego w maszerujących znalazła się cała wędzona ryba, która rąbnęła Conana w pierś. Niepewny, czy spowoduje to wzrost sympatii czy niechęć, nie zważając na nic, Cymmerianin zjadł ją z apetytem.

W rojnej dzielnicy świątyń i różnorodnych instytucji tłumy wkrótce zgęstniały na tyle, że zablokowały aleję. Oddziały piechoty i konnych zostały wysłane przodem, wzdłuż skrzydeł pochodu, by utarować drogę. Abolhassan, który wydał ten rozkaz, nie wykazywał skłonności do spowolnienia tempa marszu, więc wojsko pospieszyło kłusem, spychając widzów na pobocze.

Jednak ani Conan, ani nikt z uczestników parady nie spodziewał się tego, co miało nastąpić. Od strony zakończonej minaretem świątyni Tarima nadciągnęła grupa odzianych na czarno kobiet i mężczyzn. Żałobnicy wynurzyli się spod otwartej arkady i natarli na przechodzące oddziały. Głośno lamentując i zaciskając w powietrzu pięści, przedarli się aż do rydwanu generała. Okrzyki „Zwróć nam naszych synów!” i „Gdzie są nasze dzieci?” wzniosły się ponad gwar tłumy.

Żołnierze wartko zwarli szeregi, ale nie byli w stanie odeprzeć żałobników. Rozgorzała walka. Żałobnicy padali na bruk powaleni przez pieszych żołnierzy, okładani tępymi końcami lanc przez konnych. W zamieszaniu hyrkańscy jeńcy próbowali czmychnąć. Rozprawiano się z nimi krwawo. Jednak pochód zbyt szybko minął scenę konfliktu, by Conan mógł wyrobić sobie jasne zdanie, czy powinien wyskoczyć z lektyki i wziąć udział w bijatyce. Tragarze sprawnie posuwali się naprzód, nie trzęsąc i nie gubiąc kroku, nawet gdy musieli deptać po wijących się w agonii ciałach.

Nastrój widzów stał się wyraźnie wrogi. Wieść o potyczce rozniosła się w tłumie, gniewne okrzyki witały maszerujących. Wobec nieobecności jeńców, nieczystości i odpadki przeznaczone na nich były teraz ciskane w żołnierzy, którzy na płaz okładali mieczami agresywnych plebejuszy. Mimo to tłum naciskał coraz bardziej. Triumfalna parada przekształciła się w regularną bitwę. Można było tylko oczekiwać, że za chwile, trąby miast fanfar zaczną grać na trwożę, a lance z proporczykami opuszczą się do zadania ciosu.

Jednak to, co wydarzyło się dalej, nastąpiło bez ostrzeżenia. Maszerujący skręcili w sąsiedztwo wysokich kamienic w obrabie starych murów miejskich. Niezbyt daleko w przedzie zamajaczyły już wieże i kopuły pałacu. Nagle Conan ze zdumieniem ujrzał, jak Juma ściąga swoją towarzyszkę na dno lektyki, co sprawiało wrażenie nagłego wybuchu namiętności. Nagle z poduszek wokół nich zaczęły wyrastać krótkie, pierzaste drzewca. Cymmerianin poczuł, że pojazd zachwiał się i opadł. Bez namysłu chwycił za ramię hurysę i wyskoczył, pociągając dziewczynę za sobą. Przycisnął ją do ziemi i próbował wepchnąć pod lektykę, lecz niewolnicy, przestępując swych rannych braci, zawzięcie szli dalej, by jak najszybciej wynieść pojazd ze strefy zagrożenia. Hurysa, wleczona przez Conana, musiała biec pochylona. Protestowała ze złością, lecz Cymmerianin nie pozwolił jej opuścić cienia poruszającej się platformy.

Abolhassan zatrzymał swój rydwan, którego uprząż była najeżona strzałami. Na rozkaz generała oddział piechoty ruszył biegiem ku zniszczonemu budynkowi, z którego najprawdopodobniej nastąpił atak. Inni żołnierze wywlekali z tłumy dobrze wyglądających gapiów, by zastąpili zabitych tragarzy. Zwłoki odciągano na bok. Kiedy hurysa Conana, biadając nad obolałym ramieniem, doprowadzała do ładu potargane włosy i przyodziewek, Cymmerianin zajrzał do

lektyki, zaniepokojony o przyjaciela.

Jurna, wciąż leżąc twarzą w poduszkach, nie wyglądał na rannego. W odpowiedzi na niecierpliwie poszturchiwania Conana spojrział w końcu w górę. Na wykrzywionym czarnym obliczu widoczne były smugi różu i barwiczki do oczu. Jego towarzyszka zarumieniona i pozbawiona tchu, również czuła się wyśmienicie.

- Na Otumbe, czy już po wszystkim? Dla mnie była to najlepsza część tej jazdy! - Kushita nie wykonał najmniejszego wysiłku, by przyjąć godniejszą postawę.

- Hmmm, Jumo, spójrz tutaj! - Conan nie podzielał zuchowatego zapału swego druha. - Ten typ, Abolhassan, mówi, że strzały nadleciały z tamtego budynku, ale spójrz na kąt pod jakim się wbiły! - Wskazał na sterczące z poduszki pierzaste drzewce. - Każdy głupi widzi, że wystrzelono je z przeciwnej strony.

- Aaa, tak, ale cóż to ma za znaczenie? - Wzruszywszy potężnymi ramionami, Jurna znów położył się przy boku swej towarzyszki, która ze szczerym zainteresowaniem pocierała nosem jego szyję. - Zabójcy już dawno uciekli!

- Być może. - Znalazłszy się daleko w tyle za rydwanem, lektyka ruszyła znowu naprzód. Conan maszerował niezmordowanie obok niej. - Zwróciłem uwagę na strzały uderzające w rydwan Abolhassana. Gdyby mnie kto pytał, to miały groty wcześniej odłamane. - Chwytał jedną z wyszywanych poduszek z lektyki i odwrócił ją spodem do góry, odsłaniając ostry jak igła czubek, wystający z drugiej strony. - Strzały, którymi mierzono w generała nie były tak śmiertelne jak te!

- Tak myślisz? - Jurna zmrużył gniewnie oczy, a potem się roześmiał. - Pewnie masz rację. Świetna okazja, aby nauczyć się czegoś o metodach władzy i niebezpieczeństwach, jakim my, bohaterowie, musimy stawiać czoła.

Odwróciwszy się od Conana, czarnoskóry oficer powrócił do obściskiwania uległej hurysy. Druga dziewczyna siedziała znużona pośród poduszek, przyglądając się zajętej sobą parze z odrobiną zazdrości. Conan nie wspinał się już z powrotem do lektyki, tylko skradał ostrożnie obok niej. Marsz był teraz szybszy, gdyż wojsko bezlitośnie oczyszczało drogę przed czołem kolumny. Garstka pozostałych gapiów sterczała w drzwiach, oknach i na rogach zaułków, obserwując ponurym wzrokiem, jak pochód posuwa się ku pałacowi.

## XVI

### Dwór Protokołu

Z rozległego dziedzińca stajennego cesarskiego pałacu Conan i Jurna zostali poprowadzeni do dobrze strzeżonych drzwi wielkiego gmachu. Tam napotkali Semproniusa, który widocznie dotarł tu wcześniej powozem czy też łodzią. Postępując za eunuchem, minęli patrzące spode łba, nieruchome warty i wkroczyli na długi korytarz o posadzce zdobionej arabeską.

- Przyjęcie powitalne na waszą cześć odbędzie się na Dworze Protokołu - oznajmił eunuch, krocząc energicznie. - Nie planowano żadnej specjalnej ceremonii, ponieważ Jego Światłość przybędzie dopiero jutro. Musicie jedynie wmieszać się w tłum i starać się sprawiać stosowne wrażenie. Uważajcie na maniery, jedzcie i pijcie jak dworzanie, a będziecie dobrze przyjęci.

- Tak mówisz? - mruknął Conan. - Będę jadł i pił jak najostrożniej, by uniknąć trucizny! Czy wiesz, że już zdążyliśmy się natknąć na zasadzkę? A może to ty zaaranżowałeś, Semproniusie?

- Nie, nie, sierżancie! To był godny pożałowania wypadek, za który bardzo przepraszam, i straszliwy cios, zadany planom imperatora w tak świątecznym dniu. - Zwalniając kroku i ścisząc głos, Sempronius zerknął na swych gości przestraszony. - Od jakiegoś czasu krążyły pogłoski o buncie i spisku, ale któż mógł się spodziewać, że malkontenci posuną się tak daleko? - Potrząsnął kształtną głową, chwast przy fezie zakolysał się rytmicznie. - Imperator został już o tym poinformowany, zapewniam was. W swej łagodności Jego Łaskawość postanowił nie ogłaszać jeszcze powszechnego alarmu. Jutrzejsza ceremonia udekorowania orderami odbędzie się zgodnie z planem. - Eunuch zatrzymał się w hallu, a jego głos ścichł do ledwie słyszalnego szeptu. - Wiedźcie, że to może być ostatnia szansa zdobycia powszechnego poparcia dla kampanii w Venjipurze bez sięgania po ostrzejsze środki. Błagam, byście pomogli najlepiej jak potraficie.

- Aha - przytaknął Conan w zamyśleniu. - Buntownicy, powiadasz? A co z Abolhassanem? Czy ci spiskowcy jakoś specjalnie go cenia?

Twarz Semproniusa nagle stężała.

- O tym nie mam nic do powiedzenia. Zarówno mój zwierzchnik, eunuch Euranthus, jak i sam generał uznają te pogłoski za potwarz! Obaj wciąż ślubują wierność Najjaśniejszemu Imperatorowi Yildizowi.

- Tak, tak. Wieczną wierność, do czasu. - Rzuciwszy Jurnie sceptyczne spojrzenie, Conan dalej naciskał Semproniusa. - Czy na bankiecie będzie obecny generał Abolhassan? Może porozmawiamy o tym bezpośrednio z nim!

Eunuch odwrócił się, popatrzył w głąb hallu i rzucił ostro:

- Nie wiem, ale ostrzegam, że nie warto z nim zadzierać. Błagam, nie zepsujcie wieczoru dalszym przelewem krwi czy niesubordynacją!

Gdy dotarli w pobliże podwójnych drzwi, strzeżonych przez nieruchomych, odzianych na czerwono gwardzistów, Sempronius zamilkł. W ogromnej sali kręcił się barwny rój rozgadanych, roześmianych dworaków, całkiem odmienny od ulicznej ciżby. Gdy trzej przybysze stanęli w progu zabrzmiała fanfara, a białowłose eunuch zaanonsował imiona Conana i Jurny. Straże uwolniły gości od broni, która, jak powiedziano, miała im zostać zwrócona później. W tym momencie Sempronius zniknął, a ich otoczyli smukli, strojni dworzanie.

- No nareszcie, przybyli bohaterowie! Cóż to za wspaniali, silni mężczyźni!

- Faktycznie! Czy jesteście krajowcami z Venjipuru, czy z jakiejś innej barbarzyńskiej krainy?

- Nie, nie, ten jaśniejszy przybył z Vanaheimu, tak było w komunikacie! Ale podobno zna cywilizowaną mowę.

- Powiedz nam, wojowniku, ilu ludzi zabiłeś? Założę się, że zbyt wielu, by ich zliczyć! No, ale powiedzmy w ciągu ostatniego roku, ilu? - Tak, tak, powiedz! Czy zabijałeś także kobiety i dzieci, czy raczej brałeś w niewole? -

- Ależ dziko wyglądają. Istni brutale! Teraz wiem, dlaczego używamy barbarzyńców do walk na granicach imperium!

W pytaniach mieszał się głupi podziw z protekcjonalizmem. Na szczęście były zbyt liczne, by na nie od razu odpowiadać. Tymczasem służba roznosiła puchary z wybornym kumysem, co odwróciło uwagę od faktu, że żołnierze nie udzielają żadnej odpowiedzi.

- Musicie być nieźli. Jeśli zmęczą was jatki w odległych krainach, przybывajcie do mnie. Niewolnikom na mojej plantacji daktyli, kilka dni jazdy na północny-wschód stąd, przydałaby się twarda ręka. To łatwa robota, nie musicie nawet mówić ich językiem. Prawdę powiedziawszy, nasz ostatni nadzorca był niemową! Kiedy więc przeminie czas waszej służby, sierżancie, zajrzyjcie do mnie. Jestem Craxus z Pogranicza Kezank, do usług!

Mężczyźni czuli się w obowiązku stanąć twarzą w twarz z bohaterami, ale przezornie ustępowali, zniechęceni ostrzegawczymi pomrukami wojowników i ich gburowatymi spojrzeniami. Kobiety były bardziej natarczywe. Nęcił je srogi wygląd. Ku zdumieniu Conana, Jurna po mistrzowsku wykorzystywał sytuację, uwodząc swą prostotą i tajemniczymi napomknieniami o własnym bohaterstwie.

- Och, sierżancie Jumo, wyobrażam sobie, jak to jest być księżniczką w osadzie atakowanej przez wasze oddziały! - Smukła mężatka, na której jedwabny turban zużyto więcej materiału niż na krótką, luźną suknię, zaprosiła Kushitę, by usiadł obok niej na wyściełanej poduszkami sofie. - Wyglądasz imponująco! A teraz powiedz mi prawdę. Nie zawsze przecież mordujecie kobiety?

Tymczasem Conan wpadł w oko pulchnej Turance, śniadej lecz miedzianowłosej na skutek domieszki zachodniej krwi. - Zazdroszczę wam, żołnierze, podróży do egzotycznych krain i przygód w obcych portach! My, kobiety, musimy się zadowalać domowymi przyjemnościami. - Ułożyła się wygodniej wśród poduszek, zaciskając na stwardniałej dłoni Cymmerianina delikatne palce. - Mówią, że w Venjipurze można dostać różne rzadkie specyfiki. Czyś przywiózł jakieś podarunki pamiątki dla nas, mieszczuchów? Na przykład, eliksiry z lotosu lub inne zagraniczne smakołyki?

- Nie. - Conan surowo potrząsnął głową. - Te trunki kradną duszę. Doświadczyłem ich szatańskiej mocy i widziałem zbyt wielu ludzi, których doprowadziły do śmierci czy obłądu. Ryzykowne jest nawet używanie lotosu do uśmierzenia bólu ran. Niektórzy żołnierze uczą się pragnąć go coraz bardziej. Sami się ranią, żeby trzeba było zastosować balsam, póki nie rozchorują się i nie umrą na zakażenie krwi. Skonfundowana szczerą wypowiedzią Conana, kobieta

puściła jego ręce. Równocześnie jednak opowieść wzbudziła jej głębsze zainteresowanie. Przez kilka uderzeń serca wpatrywała się w zamyśleniu w oczy Cymmerianina, a potem szepnęła coś do swej towarzyszki, która ciągle gruchała z Jurną.

- Panowie oficerowie - oświadczyły wreszcie obie. - Apetyty musicie mieć... wprost wilcze po tak długiej podróży! Pozwólcie, że podamy wam napoje oraz przysmaki z tamtego stołu. Zaczekajcie tutaj. Zaraz wrócimy, by dalej słuchać waszych fascynujących historii.

Kiedy zniknęły w tłumie, Conan usiadł na sofie obok przyjaciela.

- Chodź, Jumo, zabierajmy się stąd. Nie mogę znieść tych indagacji. To przywołuje zbyt wiele złych wspomnień.

Odstawiając opróżniony kubek na wykładaną mozaiką podłogę, Jurna wzruszył ramionami.

- Po prostu siedź i baw się, Conanie, a gwarantuję ci tej nocy urocza towarzyszkę do łóżka. Te dworskie samiczki będą kochać się krócej i na mniej męczący sposób niż dziewczki obozowe. O ile, oczywiście, zapomnisz o Sariyi...

Conan nie ukrywał irytacji.

- Jumo, jak możesz z takim spokojem oddawać się przyjemnościom, kiedy w nasze plecy wymierzono strzały, a wrogowie zmagają się przeciw nam? Ty, który ostrzegałeś mnie przed niebezpieczeństwami stolicy...

- Czyż nie wspominałem przy tym, że życie bohatera jest krótkie, ale intensywne? Teraz nie mamy innego wyboru, jak tylko odprężyć się i dobrze bawić.

- Jurna opadł rozluźniony na poduszki z leniwym wdziękiem pantery. - Najlepszym sposobem zachowania życia choćby do jutra jest udawanie, że niczego nie podejrzewamy. Jutro spotkasz Yildiza. Wtedy pewne sprawy mogą się same wyjaśnić.

- Tak, być może. Ale z tego co widzę, nawet tron Wschodzącego Słońca wygląda niepewnie. Wydaje mi się, że powinienem ostrzec imperatora nim noc dobiegnie końca albo wysledzić źródło zagrożenia!

Jurna ostrzegawczo ścisnął ramię Conana i ściszył głos do dyskretnego szeptu.

- Nie dawaj wiary słowom i wywodom Semproniusa. Ten eunuch jest tak samo podstępny, jak każdy kastrat. A ponad wszystko, nie napomykaj o żadnym zagrożeniu dla władzy Yildiza, póki nie jesteś gotów wziąć odpowiedzialności za jej podkopywanie!

- Dzięki za radę. - Conan odtrącił dłoń Kushity. - Ale nie mogę usłużyć czekać. Bierz sobie obie dziewczyny z moim błogosławieństwem, Jumo. Bądź jednak czujny - zakończył i wśliznął się w tłum.

Abolhassana nigdzie nie było widać. Drażniło to Conana, którego opętała myśl o konfrontacji z generałem. Cymmerianin pragnął bezzwłocznie wyjaśnić rzeczywiste czy wymaginowane podejrzenia. Czujnie przeczesał wzrokiem zatłoczony, wysoko sklepiiony hali. Nie miał z tym kłopotu, gdyż o głowę przewyższał większość tłoczących się tam mężczyzn. Napotkał dziesiątki spojrzeń. Niektóre wyrażały niesmak, inne ciekawość. Conan zdał sobie sprawę, że wzrost, karnacja i strój czynią go człowiekiem rzucającym się w oczy.

Czul się coraz bardziej zdenerwowany. Nie mógł zręcznie przemieszczać się w tłumie, on, który potrafił poruszać się nocą w dżungli bez potracenia choćby jednej gałązki. Miał wrażenie, że bez zderzenia nie zdoła wyminąć żadnego z paplających, rozgestykulowanych dworzan. Ciągle musiał uwalniać się od ich głośnych grzeczności czy protestów. Wyminawszy szczególnie hałaśliwą, ciasno stłoczoną grupkę, Conan wpadł wprost na oficera straży miejskiej.

- Ach, oto Conan, duma Venjipuru - wykrzyknął ten ostrym, wysokim głosem. - Chciałbym zamienić z tobą słówko, chłopie.

Conan nerwowo cofnął rękę. Wobec tego nieznanemu zaczął poklepywać go po ramieniu.

- Ej! Daj mi przejść, człowieku! Kim jesteś? - Przesuwając się o krok, Cymmerianin zmusił tłum do rozstąpienia się. Musiał widzieć dłonie mężczyzny, który go zaczepił i mieć czas, by zareagować na nagły cios lub pchnięcie nożem.

- Ja? Jestem Omar, kapitan Miejskiej Gwardii Konnej. Na dzisiejszej paradzie wiodłem zbrojny w szable oddział, by chronić cię przed tłumem twych... wielbicieli. - Średniego wzrostu, odziany w purpurową tunikę oficer uśmiechnął się, a po chwili wybuchnął rżącym rechotem. Miał nieprzyjemną, poczerwieniałą od napitków, ozdobioną brązowym wąsem twarz. Wokół ust rysowały się głębokie bruzdy, co dodawało rysom wyrazu pogardy i fałszu. - Chodźmy pogadać sam na sam. Nawet jeśli jestem starszy od ciebie, zarówno wiekiem jak i stopniem, nie

chciałbym, by stanęło to między nami.

- Ja również. Zwłaszcza, że gwardziści miejscy nie mają władzy nad oficerami liniowymi. - Z rękami luźno zwisającymi po bokach Conan całą siłą hamował się, by nie chwycić za rękojeść sztyletu. - Być może nie. Chciałem tylko pogadać z tobą - Omar przerwał, wyraźnie szukając aplauzu na twarzach obserwujących tę scenę dworzan - i pogratulować ci zwycięstwa pod... gdzieś to było... pod Sikander! Czytałem oficjalne raporty. Poradziłeś sobie znakomicie. Słyszałem, że zginęło około tysiąca Hwongów, co pozwala sądzić, że naprawdę było ich dwakroć tyle. A godne podziwu straty po naszej stronie, dowodzą tylko twojej odwagi. Dobra robota, żołnierzu! - Omar rozejrzał się, jak gdyby ów triumf należał do niego.

- Tak, właśnie - dokończył wreszcie przy rozbawionych pomrukach widzów. - Mam tylko jedną drobną uwagę krytyczną. Gdzie podziałeś kawalerię, chłopie? - Z uniesionymi brwiami i rozłożonymi dłońmi, Omar poddał ten zarzut ocenie gapiów. - Przecież konna szarża mogła podwoić straty nieprzyjaciela, przy niewiele większej ilości ofiar w naszych szeregach. Walka na słońiach może należy do tradycji na dalekim południu, ale nic nie zastąpi oddziału konnicy!

Conan speszony spuścił wzrok. Niepokoiła go liczba intensywnie wpatrzonych oczu.

- Jeśli mówiąc o Sikander, masz na myśli bitwę o Świątynię Słoni, to kawaleria w ogóle nam wówczas nie towarzyszyła. Nawet nie udało im się zlokalizować pola walki. Zresztą nawiasem mówiąc, nie widzę większego pożytku z koni podczas walk w dżungli.

- Ano właśnie! - zapiał triumfalnie Omar. - Tu się właśnie mylicie, sierżancie! Pozostawić kawalerię na tyłach to jak zaprzac konia za pługiem i założyć jarzmo na własne barki. Kiedy wróg, rozbity, rzuca się do ucieczki przez leśne ostępy, wtedy oddział konnicy może zabłysnąć, doganiając zbiegów, jadąc im na karkach i bezlitośnie wycinając! Jeśli żywisz panie uprzedzenia do kawalerii, to zapewne tylko dlatego, iż jej nie wypróbowałeś!

- Niech Crom skarzę cię za twoją pychę, człowieku! Kiedy wyrzynano moich przyjaciół, byłbym szczęśliwy widząc nadejście jakiegokolwiek pomocy, czy to na koniach, na wielbłądach, czy choćby na kozach! Ale nie nadciągnęli, bo ta twoja kawaleria unikała walki! Czy to z powodu apatii swych chorowitych chabet, czy też z przyczyny własnego tchórzostwa, skazali nas na śmierć. - Pomimo wcześniejszego postanowienia, Conan nie tylko ścisnął już rękojeść sztyletu, ale ze złością wsuwał go i wysuwał z pochwy.

- Panie, czuję się obrażony! Ta zniewaga wymierzona we mnie i moich braci może zostać zmyta jedynie krwią! - Postawa Omara nagle uległa zmianie. Mówił teraz cicho, wyprostowany jakby kij połknął, a oczy błyskały mu gniewnie. Conan wiedział, że przeciwnik jest sprawny i wyćwiczony, pomimo lekko obwisłego brzucha. Zapowiadała się ostra walka.

- Zaprosiłbym cię teraz na dziedziniec stajenny - ciągnął rozjuszony kapitan - jednak widzę, że nie jesteś przygotowany. - Spoglądając na wysadzany klejnotami nóż Conana, poklepał długą pochwę miecza, która wisiała mu u pasa. - Dlatego ośmielam się zaproponować miejskie koszary o północy. Tam broni jest dostatek.

W ciszy, jaka zapadła pośród najbliższych gapiów, wyraźnie zabrzmiał szmer odległych rozmów i brzęk szkła. Conan, zaczerwieniony i poirytowany, nie dbał już o maniery. Jego podniesiony głos zaszokował zebranych. - Niech cię diabli, łotrze. Będę szczęśliwy, potykając się z tobą o północy, o ile dzięki temu uwolnię się teraz od twojej bezczelności! Obyś się smażył w najgłębszych czeluściach piekieł Tarima! - Odwrócił się i zaczął przepychać przez tłum. Buczenie głosów za jego plecami narastało, ale jeszcze nie wszyscy zorientowali się, co zaszło. Conan znalazł schronienie wśród ciżby, stłoczonej wokół stołu bankietowego. Pusty w środku kwadrat z ułożonych na kozłach desek zastawiony był jadłem wszelkiego rodzaju. Oblegały go dziesiątki wygłodniałych gości. Niektóre z potraw nakładali odziani w bluzy i pantalone służący, którzy poruszali się w pustej przestrzeni pomiędzy blatami, podczas gdy lokaje roznosili talerze pomiędzy świętujących.

Conan przedarł się do stołu i zaczął zachłannie wpychać do ust całe garście winogron i malin. Podniósłszy wzrok, niespodzianie ujrzał znajomą postać górującą ponad głowami dworaków. - Abolhassan, wciąż w hełmie i pancerzu przyjmował z rąk gnącego się w pokłonach sługi szpikulec z nadzianymi nań owocami i kawałkami mięsiwa.

Conan ucieszył się szczerze. Kapitan Omar o piskliwym głosie może jeszcze stracić swój łup, jeśli jego zwierzchnik pozwoli się sprowokować. Mamrocząc szorstkie przeprosiny i ostrzeżenia dla tych, których potraçał, Cymmerianin zaczął torować sobie przejście ku celowi wokół stołu.

Nagle zastąpiła mu drogę godna uwagi postać. Była to wysoka, dorodna kobieta w maleńkim czepeczku. Jej szaty równie wspaniałe, jak suknie innych dam dworu, miały coś męskiego w kroju. Najbardziej rzucały się jednak w oczy długie płowe włosy, powiewające za nią jak sztandar. Dostojnej pani towarzyszyły trzy czy cztery dworki o typowej dla kobiet turańskich urodzie. W ich oczach płonął ogień taki sam jak we wzroku jasnowłosej przywódczyni. - Czyżbyś był Conanem, bohaterem Venjipuru? - Głos kobiety był dostatecznie donośny, by przyciągnąć uwagę zgromadzonych przy stole. - Czy ty jesteś tym męznym oficerem? Masz wkrótce zostać odznaczony przez imperatora w uznaniu za zasługi w południowej kampanii?

- Tak. - Napotkawszy jej spojrzenie, Conan poczuł się mniej pewnie. - To ja.

- Dobrze. Pozwól więc, że najpierw ja cię udekoruję! - Bez chwili zwłoki chwyciła srebrny półmisek i cisnęła jego zawartością na Conana, plamiąc wojownikowi twarz i jedwabny strój gęstym, różowym sosem. - To dla was wszystkich, miłośników wojny, dzieciobójców, którzy prowadzicie naszych braci i synów na śmierć i marnujecie bogactwa kraju w okrutnej, pełnej pychy wojnie!

Ostry głos rozbrzmiewał o wiele donośniej niż poprzednio wrzawa uczty. Wszyscy obecni w sali wlepili wzrok w górującego nad tłumem bohatera w zbrukanych szatach. Martwą ciszę przerywały jedynie zdumione westchnienia. Nadeszła chwila na odpowiedź Conana. Cymmerianin podniósł drewnianą misę z pływającymi w korzennym sosie kawałkami owoców.

- A to - oznajmił - dla gładkich turańskich kobiet, które tuczą się na handlu i daninach z zagranicy, ale gardzą tymi, którzy im to zapewniają!

Mówiąc to, lunął zawartością naczynia w kierunku napastniczki.

Płowowłosa zwinnie uskokczyła przed śluzową mazią, tylko jedna z kształtnych nóg i rąbek spódnicy zostały zabrudzone. Natomiast dwóch niewinnych eunuchów, którzy stali za plecami napastliwej damy, padło ofiarą zamachu Conana. Wściekle prychnął i narzekając, otrzepali się z oślizłych owoców. Potem zamiast zaatakować Conana nożami czy pięściami, chwycili naręcza pieczywa, kiełbasek, kostek melona i innych wiktuałów i zaczęli nimi ciskać we wroga.

Płowowłosa natychmiast przyłączyła się do burdy, wzywając swe towarzyski do okazania odwagi bitewnej. Cymmerianin, samotny i unieruchomiony przez panujący ścisk, stanowił łatwy cel, mimo to wiele pocisków przelatowało góra lub bokiem. Wówczas to kolejne rozwścieczone zaczepką osoby włączały się do walki, chwytając ze stołu lub łapiąc w powietrzu, co się tylko dało. Niemal natychmiast wszyscy biesiadnicy zaangażowali się w bitwę, a po wielkiej sali śmigały we wszystkie strony owoce, bochenki, kotlety, kawałki nadziewanego drobiu, sery, ciastka i lały się wokół wszelkiego rodzaju sosy i leguminy. Pomimo gwałtownego wzrostu liczby uczestników potyczki, uwaga Conana skupiona była na jasnowłosej inicjatorce tych zająć. Uwalniając się od szarpiących go rąk, Cymmerianin dał nura w tłum. Lecz w tej samej chwili pośliznął się na jakiejś brei i padł na kolana. Następna propozycja ze strony eleganckiej przeciwniczki pojawiła się pod postacią ciężkiej fajansowej miski z krewetkami. Naczynie trafiło Conana nad okiem z impetem, który wprawił w kołysanie jego mózg. Kilka grzmiących uderzeń pulsusaomal nie rozsadziło mu czaszki, nim odzyskał równowagę i ponownie stanął na nogi. Kątem oka dostrzegł jeszcze płowowłosą, kierującą się do drzwi.

W pewnej odległości od stołu, nie zważając na wycie i tumult, rozmawiało dwóch oficerów: generał Abolhassan i kapitan kawalerii Omar. Generał haftowaną, jedwabną chusteczkę uważnie ścierał bladozielony płyn z wyłogów eleganckiej czarnej pelerynki. Górną wargę ścigał mu nieprzyjemny grymas.

- Ta suka Irilya posunęła się już za daleko - zauważył lodowato. - Dzisiejsza awantura świetnie niweczy plany imperatora, lecz na tym kończy się przydatność naszej damy. Armia lada moment zbuntuje się, a dwór, czego dowodzi ta niesmaczna scena, jest niewart uwagi. - Gestem wskazał na kłębiący się tłum. Przyjęcie raptownie nabrało orgiastycznej atmosfery zatracenia. Pijani uczestnicy biesiady tarzali się - w walce lub dając upust żądzy - po zaśmieconej jedzeniem podłodze. - Następnym razem Irilya mogłaby narazić nas na niebezpieczeństwo. Poleć, by ją do mnie doprowadzono.

Omar uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Planujesz przesłuchać ją i przy okazji uczcić wigilię przewrotu? Nie miałbym nic przeciw temu, by tak hożą dziewczuszkę przepytała osobiście! - Nagle, dostrzegłszy zły wzrok Abolhassana, spowaźniał. - Każę ją przysłać, jak rozkazałeś. I, oczywiście, rozprawię się z barbarzyńcą.

- Tak, zabij go publicznie, o ile to możliwe. Ale najpierw dalej go ośmieszaj. - Grymas Abolhassana przeistoczył się w złośliwy uśmiech. - To nie powinno być zbyt trudne zadanie dla tak doświadczonego żartownisia i pojedynkowicza jak ty. Jeśli Conan nie stawia się na wyzwanie, rozpuść szeroko wieści o jego tchórzostwie i zostaw go mnie. W obu wypadkach śmiechu warte mrzonki Yildiza poniosą fiasko. - Generał odwrócił się od Omara, który trzasnął obcasami i zasalutował. - A więc do jutra. A jutro bunt!

## XVII

### Nocna pogoń

Zdobionymi filigranem korytarzami, pędząc po posadzkach z jadeitu i lapislazuli, Conan ścigał lady Irilyę. Od momentu, gdy opuściła salę do rozpoczęcia pogoni nie minęło wiele czasu. Niższy poziom przestronnego zachodniego skrzydła pałacu stał tej nocy otworem dla uczestników biesiady, więc gwardziści w czerwonych liberiach nie reagowali, sztywni i nieruchomi, gdy jasnowłosa dama i olbrzymi żołnierze przebiegali obok nich.

Ścigający szybko dostrzegł uciekinierkę. Szczupła, długonoga kobieta wystawiała na ciężką próbę kondycję Conana. Jedyłą prawdziwą przewagą, jaką miał nad płowłosą, był odwieczny przywilej ścigającego, który wyraźnie widzi przed sobą drogę i wszelkie jej zakręty, dzięki czemu unika opóźnień wynikających z niezdecydowania.

Jednak Cymmerianin niewiele na tym zyskiwał, póki obydwójce nie przemknęli do zalanego księżycowym światłem ogrodu z żywopłotami i sadzawkami o geometrycznych kształtach. Tam wreszcie Conan zbliżył się na tyle, by słyszeć ciężki oddech Irilyi, poczuć woń piżma i rozgrzanego ciała. Serce mocno tłukło mu się w piersi, a nocne powietrze upajało niczym chłodne wino. Wiedział, że jest w stanie utrzymać to tempo. Biegł z niezachwianą pewnością pantery, ścigającej zwinną, smukłą gazelę.

Podobny do labiryntu ogród mógł równie dobrze służyć za schronienie, jak i za pułapkę. Na odgłos dudniących kroków Irilya spróbowała wymknąć się, wykonując nagły zryw w wąski przesmyk pomiędzy dwiema prostokątnymi fontannami. Conan natychmiast wykorzystał okazję i zmienił kierunek równie zwinnie jak jego ofiara. Przesadził narożnik bliższej z fontann. Ten skok pozwolił mu złapać Irilyę za ramię. Jednak, jak było do przewidzenia, zostało zbyt mało miejsca, by się zatrzymać. Pośliznąwszy się na płytach wąskiego chodnika Cymmerianin wpadł do wody, pociągając za sobą wierzgającą rozpaczliwie kobietę.

Pluski i przekleństwa rozbrzmiewały jeszcze przez kilka chwil, ale nie zwrócili niczyjej uwagi w opustoszałym ogrodzie. Wreszcie zapadła cisza, przerywana jedynie cichym, monotonnym szmerem fontanny. Myśliwy i zwierzyna stali nieruchomo naprzeciw siebie po kolana w wodzie. W zaciśniętej kurczowo, mokrej dłoni Irilyi połyskiwał sztylet.

- Dość, dziewczyno. Odłóż to! - rozkazał z wyższością Conan. - Gdybym miał ochotę na szermierkę, też wyciągnąłbym broń. Jestem jednak skłonny do wybaczenia! - Cymmerianin potrząsnął pozbawioną turbanu głową, rozbryzgując krople wody, jak trzepiący się mokry kundel. - Myślę, że wystarczająco odpłaciłem ci za afront tą małą kąpielą. Potrzebowaliśmy jej zresztą oboje, żeby spłukać resztki nocnego bankietu! A teraz zabierz ten rożenek sprzed mojej twarzy!

- Mogę to zrobić, barbarzyńco - Irilya opuściła ostrze - jeśli w przyszłości lepiej rozważysz, kogo nazywasz dziewczyną! - Łuk wody rozprysnął się, gdy stopa Conana z rozmachem podcięła nogi jego przeciwniczki. Znowu upadli wśród chłupotu i plusku, tym razem objęci ciasno ramionami. Po chwili rozległ się wilgotny odgłos ciosu i walczący rozdzielili się. Ponownie błysnęła stal.

- Precz, ty gwałcicielu, morderco! Następnym razem uszczerbek będzie trwały! - Klinga sztyletu Irilyi świsnęła znacząco na wysokości pasa.

- W porządku, na Croma! Chciałem tylko buziaka jako słodką rekompensatę! - Głos Conana brzmiał nieco mniej pewnie, gdy przyjmował postawę obronną. -

Wydawało mi się, że też masz na to ochotę. Póki mnie tak podle nie uderzyłaś!

- Wolałam cios niż pieszczoty - odrzekła, odwracając się. Bez pośpiechu cofnęła się do brzegu fontanny i wspięła się na jej obmurowanie. - Pocałunki zachowuję dla prawdziwych mężczyzn, a nie dla zbrodniczych fagasów generała Abolhassana!

Wsunawszy sztylet do pochwy, wzięła płowe włosy w garść i zaczęła wyciskać z nich wodę, która wysrebrzona przez księżycowe światło strużką spływała na pomarszczoną powierzchnię sadzawki.

- Abolhassan? Nie jestem jego przyjacielem. - Conan pochylił się, by usunąć z tuniki ostatnie ślady leguminy. - Mam powody wątpić w jego wierność dla królestwa.

- Wierność! - Śmiech Irilyi brzmiał czysto jak dzwoneczek. - Wierność? W Aghrapurze? Raczej własny awans! Zapewne zazdrościsz Abolhassanowi i masz zamiar zająć jego miejsce, by stać się jeszcze gorszym tyranem! Wystarczająco często przedstawiałam te sprawy imperatorowi, by wiedzieć, że gdy mowa o ambicjach nie ma żadnej różnicy pomiędzy żądnymi władzy mężczyznami a... eunuchami!

- Kiedy ja wyłożę tę sprawę, Yildiz będzie słuchać. - Conan, skończywszy ablucje, wykręcał teraz poły swej koszuli. - Byłby głupcem, patrząc przez palce na generała, który przywłaszcza zapasy magazynów wojskowych na swój własny tajny użytek.

Irilya ponownie się roześmiała.

- Mów Yildizowi, co chcesz, ale na swe własne ryzyko. On i Abolhassan znają się jak lyse konie. Nie udawaj tu przede mną, że taki z ciebie szlachetny wybawca królestwa!

Choć pełna pogardy, płowowłosa wydała się Conanowi szczególnie piękna, gdy tak pochylała się, by wycisnąć wodę ze spódnicy. Wciąż omijała wzrokiem swego rozmówcę. - Tańczysz, jak ci zagra imperator i popierasz jego ulubione wojenki. Jesteś nieodłącznym elementem zepsutego systemu, który wkrótce zostanie obalony. Najbezpieczniejszym dla ciebie rozwiązaniem byłoby opuszczenie miasta. Ale dlaczego w ogóle kłopotczę się twoim losem? Nie będę przecież po tobie płakać!

Wyprostowawszy się, ruszyła ścieżką w kierunku oświetlonych arkad pałacu.

- Poczekaj, nie odchodź! - zawołał Conan, brodząc do brzegu sadzawki. - Chcę dowiedzieć się więcej o twojej sprawie i o sytuacji tutaj, w Aghrapurze.

- O, naprawdę? - Irilya nie zwolniła kroku. - A dlaczegoż to miałabym zdradzać tajemnice właśnie tobie, memu politycznemu wrogowi? Dlaczego w ogóle mam tracić z tobą czas?

- Dlaczego? - Conan uparcie podążał za Irilyą. - Może dlatego, że gorsi wrogowie czyhają w pobliżu.

- Co, myślisz o nich? - Skręciwszy w alejkę przy fontannach, Irilya zatrzymała się na widok trzech postaci, które nagle wyłoniły się z mroku. - Czemu? To tylko goście, zaciekawieni naszymi zmaganiem albo moje przyjaciółki, pragnące sprawdzić, czy nic mi się nie stało! - Nabrała tchu i krzyknęła: - Hej, siostry, czy to wy?

Jej głos odbił się ostrym echem po cichym dziedzińcu. Odpowiedzi nie było. Ciemne kształty w turbanach zdawały się poruszać niczym zgrana grupa, która ma za zadanie przeszukać jak najszerszy obszar ogrodu. Gdy Irilya śmiało wkroczyła na pusty chodnik biegnący wzdłuż kolejnych sadzawek, wszystkie trzy postaci pospieszyły, by odciąć jej drogę ucieczki.

- Zdaje się, że to wysłannicy jakiegoś twego wroga - ostrzegł Conan, który, ociekając wodą, podążał tuż za nią. - Ale jeśli chcesz, zmiierz się z nimi; Będę cię osłaniał.

Irilya jednak mniej ufała barbarzyńcy niż kulącym się w mroku cieniom. Śmiało wyprostowana, z ręką zaciśniętą na sztylcie ruszyła żwawo naprzód. - Hej, wy trzej, opowiedzcie się! I dajcie damie ochronę przed tym łotrem, który mnie ściga.

Jej słowa przeszły bez echa. Nie było nic przyjaznego w sposobie, w jaki nieznanymi mężczyźni otoczyli płowowłosą piękność. Dwóch napastników chwyciło ją za ręce, trzeci zaś obrócił się, by zatrzymać nadchodzącego Cymmerianina. - Trzymaj się z dala - mruknął warkliwie. - To nie twój interes.

Twarz bandyty przybrała wyraz zaskoczenia, gdy ogromna ręka Conana zacisnęła się na jego szyi. Niemal jednocześnie nastąpił cios ręką sztyletu w skroń i przyduszony, nieprzytomny napastnik bez zmysłów osunął się na



ziemię.

Tymczasem Irilya odpierała ataki drugiego mężczyzny. Trzeci z bandziorów podzielił los swego towarzysza, padając pod ciosem ciężkiej jak młot pięści. Jego ciało z chlupotem runęło do fontanny.

W chwilę potem ostatni napastnik wrzasnął, raniony sztyletem Irilyi. Zaciskając dłoń na ranie, odwrócił się i popędził ku pałacowi. Conan ruszył za nim, ale obejrzwawszy się stwierdził, że Irilya spieszy w przeciwną stronę. Zakławszy, porzucił pościg za niezidentyfikowanym wrogiem i ruszył w pogoń za jasnowłosą.

- Co, żadnych podziękowań? - zawołał, zbliżając się do niej i chwytając za skraj mokrego, łopoczącego odzienia. - Dokąd to teraz podążasz?

- Czy nie możesz zostawić mnie samej? - rzuciła przez ramię. Nie rezygnował, więc dodała: - Jeśli dalej będziesz za mną biegł, mogę mieć dość twego natręctwa. Ostrzegam cię. Spróbuj czegokolwiek, a jedno z nas umrze! - Wydostawszy się spod żywoplotu na szeroki chodnik wiodący do zewnętrznego muru, zwolniła kroku.

- Cokolwiek możesz sobie myśleć o cesarskich żołnierzach, nie jestem gwałcicielem niewiast ani mordercą dzieci. - Conan zrównał się z Irilyą, zachowując jednak odpowiedni dystans. - Kim byli ci ludzie?

- Rozpoznałam w nich agentów pałacowych - wydyszała ciężko. - Wiedziałam, że jestem obserwowana, ale teraz sprawy musiały osiągnąć etap bardziej desperackich posunięć. Wygląda na to, że chcieli mnie uciszyć.

- Twego męża? - Wyrzucił z siebie Conan, a w jego myślach nagle zarysował się bezmiar komplikacji.

- Nie, on jest daleko stąd. Niewiele myśli o mnie i nie narzeka na brak towarzystwa cudzoziemek. - Idąc wyglądała wilgotną spódnicę w miejscach, gdzie delikatna materia przylgnęła do ud. - Ale ja...! Przypuszczam, że jestem teraz wyjęta spod prawa i nie mogę się czuć bezpiecznie nawet we własnej posiadłości. Jednak nie dbam o to. Cieszę się nawet, jeśli atak na moją osobę oznacza zbliżanie się przełomu!

Zamilkła, gdyż zbliżali się do wyjścia. Brama stała otworem, pilnowana przez dwie pary strażników o kamiennych twarzach, którzy nie zwrócili na nich żadnej uwagi. Conan i Irilyą znaleźli się na brukowanej miejskiej ulicy, gdzie na krawężnikach przysiedli żebracy i biedota. Patrzyli na wychodzącą parę, lecz nie próbowali prosić ani nagabywać. Przyczyną tej powściągliwości mógł być zarówno zszargany wygląd, jak i groźna sylwetka, a jeszcze groźniejszy grymas na twarzy Conana.

Oddaliwszy się od ciekawskich uszu, Cymmerianin powiedział:

- Mam wrażenie, że przybyłem do stolicy w czasie politycznego przełomu. Irilyą roześmiała się z goryczą.

- Tak jest! Jeśli ten zepsuty, obrzydliwy reżim przetrwa choćby jeszcze jeden dzień, to stanie się to tylko za specjalnym zrządzeniem wszechwiedzącego Tarima!

Skreśliła w bok. Conan podążył za nią brukowaną ulicą, która pięła się pod górę, oddalając od świateł pałacu.

- Nie boisz się więc wojny domowej? - uparcie wracał do tematu barbarzyńca.

- Czy może być coś gorszego od grozy tyranii? Kiedy szarifowie i satrapowie zmuszają naszą młodzież do udziału w wojnach, porywają niewinnych młodzieńców niemal z ulicy? - Irilya nie dawała się zbić z pantałyku. Przyspieszyła też kroku, by wysforować się odrobinę przed Conana. - Arystokratyczne pochodzenie pozwalało mi i kilku moim przyjaciółkom na dworze protestować, prosić, tłumaczyć. Aż do dziś. Teraz w końcu mówię: „Precz z obecnymi porządkami!” Wszelka zmiana z pewnością będzie zmianą na lepsze.

- Ależ ty nigdy nie widziałaś prawdziwej anarchii. - Conan wskazał na jasne mury kamienic, wznoszące się po obu stronach ulicy. Księżyc rzucał na nie rozproszone światło. - Te wszystkie domy spalone, ich lokatorzy żebrzący lub wymordowani, bandy łupieżców w całym mieście...

- Nie, sierżancie. Tutaj nie musimy się obawiać prawdziwej anarchii, chyba że ze strony takich barbarzyńców jak ty! Turan jest cywilizowanym krajem, jego lud potrafi rządzić się zgodnie. - Irilya potrząsnęła dosychającymi włosami, które spłynęły jej na ramiona jak peleryna ze srebrnej lamy. - Obywatele pragną jedynie mądrej, pokojowej władzy. Serca same im podpowiedzą, co należy robić, gdy nadejdzie czas. Większość miejskiego garnizonu już jest po

naszej stronie. W tej sytuacji zamieszki będą mieć charakter jedynie tymczasowy i doprowadzą do szczęśliwego zakończenia. Zrozum to, musi się na moment pogorszyć, zanim nastąpi poprawa!

- Hmm, nic o tym nie wiem. - Conan potrząsnął głową z powątpiewaniem. Jego naturalny sceptycyzm osłabiała satysfakcja z wciągnięcia tego cudownego stworzenia w poważną rozmowę. - Pamiętaj tylko dziewczyno, że gracze tacy jak Abolhassan nie nadstawiają swych cennych karków za darmo! Mogę się założyć, że on planuje skorzystać z tych przetasowań, a być może nawet zagarnąć tron!

- Czy nie widzisz, że generał jest skompromitowany w oczach opinii publicznej, tak jak sam Yildiz! Żaden z nich nie zdobędzie poparcia ludu, podobnie jak nie mogą wygrać swojej wojny w Venjipurze. Kampania przeciąga się z roku na rok. Największa nadzieja, czarodziejska moc Dworu Proroków, doznała klęski i została zablokowana. To rzecz powszechnie znana! Nawet pomoc mocarnych bohaterów takich jak ty - tu głos Irilyi zadrżał od hamowanego śmiechu - nic nie zdziała, a dwór i lud to wiedzą!

- Może masz i rację - zawahał się Conan. - Lecz czy nie istnieje taka ewentualność, że wojna na południu jest tylko mydleniem oczu? Pośród moich żołnierzy krążą plotki, iż większość zaopatrzenia przeznaczonego do Venjipuru zostaje przejęta po drodze lub zmagazynowana w Turanie. Na kampanię przeciw Yildizowi... - To bardzo dobrze! - wtrąciła nagle Irilya. - Nigdy nie wyobrażałam sobie, że ci dranie doprowadzą do tak stosownego końca. Śmierć wszystkim głupcom i tyranom! - Roześmiała się, ale oczy pozostały poważne. Po raz pierwszy też spojrzała na Conana z sympatią. - To dziwne, że mówię w ten sposób! Dawniej byłam pacyfistką. Szukałam jedynie sposobu zakończenia tej szaleńczej wojny. Lecz od tamtego czasu przeżyłam zbyt wiele rozczarowań i bólu, widziałam zbyt wiele zła...

- Współczuje, ci, Irilyo! - Conan namyślał się, czy otoczyć opiekuńczym gestem jej ramiona. W końcu zaryzykował i jedynie pogładził smukłe plecy. - Zabiłem tak wielu wrogów w Venjipurze, ale tu, w stolicy, spotkałem takich, którym śmierć o wiele bardziej by się należała!

Wydostali się na wierzchołek wzgórza w pobliżu zgrabnej, zwieńczonej kopułą świątyni. Na wschodzie i południu migotały światła miasta. Po północnej stronie lampy sygnałowe statków wyznaczały wijący się bieg rzeki Ilbars, a pochodnie i ognie wokół pałacu tworzyły widowiskowy motyw centralny. Łagodne powietrze perskiej nocy, ciepłe i pachnące jaśminem, osuszyło już włosy i odzienie.

- Wiesz Conanie - oświadczyła Irilya, zwracając się do swego towarzysza w miłszy niż dotychczas sposób. - Jak mówiłam wcześniej, najmądrzejsze, co możesz zrobić, to opuścić pałac i oddalić się z powrotem do twych pomocnych pustkowi. Lecz jeśli jesteś ambitny, a tak właśnie przypuszczam, i nie żywisz zbyt niewolniczych uczuć wobec cesarza i generałów, to otwiera się przed tobą inna droga. Możesz przyłączyć się do naszej rewolucji, użyć swych umiejętności dla wielkiej sprawy, a nawet wykorzystać swą sławę, by zostać przywódcą! Oczywiście, własną wolę musiałbyś podporządkować woli ludu.

- Irilyo, wygląda na to, że twoja sprawa ma już zbyt wielu przywódców.

- Nie sądzę, ale tak się może przydarzyć w przyszłości! Pomyśl nad tym. - Uścisnęła jego ramię dużymi, ładnymi dłońmi, delikatnie zmuszając Conana do milczenia. - Buntownicy są gotowi uderzyć lada dzień - nawet jutro, o ile nic nie stanie na przeszkodzie. I właśnie jutro, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ty będziesz stał na podium tak blisko imperatora jak teraz jesteś blisko mnie. Abolhassan również znajdzie się gdzieś niedaleko, bez wątplenia. Kiedy Yildiz sięgnie do twego turbanu, by przypiąć ci medal, ty musisz jedynie dobrać sztyletu i zatopić go w trzewiach imperatora...! - Jej nagły ruch miał w sobie tyle realizmu, że Conan odruchowo uskoczył przed połyskującą klingą. - Potem, dla sprawiedliwości, możesz również zabić Abolhassana.

Dźgając nocne powietrze nożem, uśmiechała się do Cymmerianina. Wyglądała tak dziko ze swymi rozczochranymi jasnymi lokami jak jakaś dziewczyna-wojowniczką, amazonką.

Chłód przeszedł Conanowi po plecach.

- Nie, dziewczyno - zaprotestował - chyba nie wiesz o co prosisz! Abolhassan jest moim wrogiem. Tylko Abolhassan! Dlaczego? Nawet nie pytaj, po prostu czuję to w kościach! - Z uporem potrząsnął wilgotnymi czarnymi włosami.

- Jutro, kiedy odbiorę swe odznaczenie, oskarżę generała przed Yildizem i powiem prawdę o wojnie w Venjipurze. Obiecałem to moim towarzyszom broni.

Wyłożę wszystko. Może też zabiję generała, o ile czas pozwoli. Wyjaśnienia tobie wydają się zbędne, ale ja wierzę, że zmieniają sytuację. Przysięgam! To musi zadziałać!

Conan nagle stwierdził, że w uniesieniu mocno złapał Irilyę za ramiona i potrząsał nią. Wyrwała mu się i odsunęła, ze złością rozcierając siniaki.

- A więc świetnie, sierżancie! Wygląda na to, że nie mamy ze sobą nic wspólnego, więc równie dobrze możemy się rozstać. Stąd pójdę już sama, swoją drogą.

- Nie, zaczekaj Irilyo! - Potrząsając skołataną głową, aby odzyskać jasność myślenia, Conan ruszył za kobietą wyciągniętym krokiem. - Mam spotkanie w miejskich koszarach o północy. Czy mogłabyś wskazać mi drogę?

Odwróciła się i chłodno na niego spojrzała.

- Cóż za zbieg okoliczności, właśnie tam się udaję. Zaprowadzę cię, o ile mogę zaufać, że nie zdradzisz mych przyjaciół!

## XVIII

### Nocny pojedynek

W centralnej dzielnicy Aghrapuru ucichł zgiełk dnia. Przebrzmiał tupot i szuranie maszerujących stóp. Mieszkańcy poszli spać, a krew na bruku dawno już wyschła. Jednak na ulicach widoczne jeszcze były ślady życia. Cudzoziemscy kupcy mamrotali przy obozowych ogniskach tłących się czerwono przed ich kramami, a miejscowi wałkonie rozłożyli się pod arkadami wokół placu, śpiewając ballady i częstując się winem z bukłaków. Tu i tam włóczyły się grupki niespokojnej młodzieży, podnieconej ostatnimi wydarzeniami, dezorientowanej i niepewnej tego, co może przynieść następny dzień.

Conan nadal towarzyszył Irilyi. Jasnowłosa piękność co i rusz machała komuś ręką na powitanie lub pozdrawiała napotkanych. Padały żarty, przekazywano wiadomości, lecz ani razu nie wymieniono żadnego imienia.

- Cześć, bracie! Bądź gotów na jutro! Obywatele, czyście słyszeli? Straż portowa odmówiła atakowania tłumu. Są z nami! Siła jest po naszej stronie!

Wreszcie zamajaczył przed nimi najeżony kolcami mur koszar miejskich. Tutaj przechodniów było już niewiele, a Irilya stała się ostrożniejsza. Lecz ku zaskoczeniu Conana, gdy tylko zbliżyli się do tylnej bramy, bez wahania wyciągnęła rękę i śmiało zakołatała. W judaszu mrugnęło światło i wrota otwarły się. Irilya weszła do środka, a Conan posuwał się tuż za nią. Powitał ich pomruk powitań. - Spójrz, oto żołnierze wierni woli ludu. Mój towarzysz - przedstawiła Conana trzem wojownikom, na twarzach których malowała się mieszanina podejrzliwości i zainteresowania - jest oficerem. Potrafi dochować tajemnicy, zwłaszcza gdy pozna wagę naszej sprawy.

- Wystarczy, siostró, o ile ty raczysz za niego. Teraz chodźcie. Kapitan wysłuchał naszych żądań i właśnie czekamy na odpowiedź!

Jeden z żołnierzy pozostał na posterunku przy drzwiach. Jego towarzysze zaś poprowadzili gości sklepionym przejściem do izby - obrad. Była ona przepełniona szeregowcami i oficerami garnizonu, dziwnie ożywionymi jak na tę nocną porę. Uzbrojony tłum wylewał się do hallu, tarasując wejście. Z wnętrza dobiegał ostro brzmiący, spokojny głos.

- ...Przeczytałem waszą petycję i zgadzam się, że takie ekscesy, jak dzisiejsza jatka, nie mogą się powtórzyć. Jestem przygotowany, by oceniać przyszłe rozkazy mych przełożonych w świetle tego, co sam uznaję za dobro publiczne. Oczywiście, pod warunkiem, że wy będziecie w dalszym ciągu wykonywać bez zastrzeżeń moje polecenia. Ze swej strony obiecuję trzymać się waszych wytycznych. Nigdy więcej straż miejska nie będzie używana przeciw niewinnym współobywatelom lub w służbie niesłusznej sprawy!

Okrzyki i wiwaty, które nagrodziły tę wypowiedź, świadczyły wymownie o odzyskanym przez przywódcę zaufaniu. Żołnierze szybko zostali jednak uciszeni, gdyż mówca chciał kontynuować.

- Wiele sił ścierało się ze sobą podczas minionych dni. Czeka nas też szczególnie burzliwe jutro, a to z powodu planowanych uroczystości i imprez publicznych. Dlatego rozkazuję by, począwszy od tej chwili, wszystkie oddziały pozostały uzbrojone i zmobilizowane.

Ta część przemowy wywołała jeszcze więcej wiwatów, a Irilya w podnieceniu ścisnęła ramię Conana.

- Czy słyszałeś, on jest z nami. Wszystko wydarzy się jutro. Lecz Cymmerianin, ściągawszy podejrzliwie brwi, parł naprzód przez tłum rozentuzjasmowanych żołnierzy. Przecisnąwszy się do środka sali, rzucił okiem na rozpartego za stołem mówcę. Był to, jak Conan już się domyślał, kapitan Omar.

Nie dając po sobie poznać zaskoczenia, kapitan spokojnie kończył rozmowę z siedzącym oficerem.

- Wydałem rozkaz. Teraz upewnij się, że konie będą nakarmione i osiodłane przed świtem. Zanim udam się do sztabu, mam jeszcze sprawę, którą muszę się zająć. Idź, a ja wkrótce do was dołączę. Kiedy adiutant opuścił salę, głos Omara przybrał podejrzanie dworny, uprzejmy ton.

- No, barbarzyńco, być może oskarżanie cię o tchórzostwo było zbyt pochopne. - Kapitan zerknął z filuternym rozbawieniem na nielicznych, którzy pozostali na miejscu. - Mimo wszystko, spóźnić się to nie jest nawet w części taki dyshonor jak uciec. Żołnierzu, pożyczcie naszemu gościowi swój miecz!

Zgromadzeni przesunęli wzrok z dowódcy na Conana. Było jasne, że wiedza lub domyślają się, co się dzieje. Żołnierz, któremu Omar wydał rozkaz, wy dobył broń z pochwy i rękojeścią do przodu podsunął Conanowi. Potem pospiesznie odstąpił na bok. Cymmerianin machnął mieczem kilka razy. Stwierdził, że ma on standardowe wyważenie i nadaje się do uczciwej walki. Prawdopodobnie.

- Nie rozumiem, sierżancie. - Irilya pociągnęła Conana za łokieć. - Więć już wcześniej spotkałeś kapitana Omara? O co tu chodzi?

Ignorując ją, Conan ruszył pomiędzy ławami ku jasno oświetlonemu środkowi izby. Omar dobył własnego miecza i teraz trzymał go przed sobą w gotowości.

- Bardziej honorowo byłoby potykać się na placu ćwiczeń, ale tutaj mogę dać ci nauczkę, że oficer kawalerii nie jest tchórzem, czy to pieszko, czy na koniu!

To mówiąc, rzucił się do przodu, próbując dosięgnąć gardła Conana. Sprężył się do skoku przed zadaniem pchnięcia. Cymmerianin potrzebował całej swej siły i szybkości, by je odbić. Miał najwyraźniej do czynienia ze śmiertelnie groźnym przeciwnikiem. Błyskawiczne ruchy Omara dawały niewiele okazji do riposty. Dwie klingi raz po raz zderzały się ze sobą, a każda z nich sprawnie udaremniała mordercze zamiary przeciwnika. Po chwili szermierze rozdzielili się dla złapania oddechu.

- Conanie, co ty próbujesz zrobić? - Przenikliwym głosem zaprotestowała zza pleców walczących Irilya. - Kapitan Omar jest naszym sojusznikiem, zwolennikiem naszej sprawy! Nie możemy sobie pozwolić na jego utratę w jakiejś dziecinnej bójce. Natychmiast skończ tę burdę!

Nagle, ku swemu przerażeniu, Cymmerianin poczuł dłonie chwytające go za łokieć i siłą powstrzymujące przed ciosem. Omar, spostrzegłszy dogodną sytuację, szybko ruszył do przodu i uniósł broń do cięcia, by odrąbać uzbrojoną, a w tej chwili bezsilną, rękę wroga. Niesamowitym unikiem Conan wyprzedził przeciwnika. Równocześnie, oburącz dźwignął miecz w górę i odbił cios. Błyszcząca klinga prześliznęła się o włos od jego ramienia. Ze wściekłym krzykiem odepchnawszy wciąż protestującą Irilyę, olbrzymi barbarzyńca okręcił się, by odparować kolejne cięcia. Omar jednak nie rezygnował. Cymmerianin zamarł w obronnym wyroku, usiłując odzyskać swój zwykły lodowaty spokój. Nie może sobie pozwolić na luksus gniewu wobec tak doświadczonego wroga.

- Sierżancie, przerwij ten pojedynek albo sama cię zabiję! - Z dzikim spojrzeniem Irilya dobyła sztyletu. Conan odsunął się od niej najdalej jak zdołał, a jego oczy przesunęły się niespokojnie od jednego do drugiego.

Lecz, ku zaskoczeniu wszystkich obserwatorów, następny cios kapitana spadł na osłupiałą Irilyę. Płazem, z donośnym plaśnięciem Omar uderzył kobietę w policzek. Jasnowłosa dama chwiejnie cofnęła się, przyciskając palcami bladą przęgę w miejscu, gdzie stal dotknęła delikatnej skóry.

- Pani - warknął Omar - czyż trzeba ci tłumaczyć, że to sprawa honorowa? Twoje natarczywe ujmowanie się za moją osobą jest niepożądane, wręcz obraźliwe, więc sugeruję, byś stąd wyszła. Zresztą pewien nasz sprzymierzeniec - ktoś wysoko postawiony, czyje imię nie może zostać ujawnione - zażądał spotkania z tobą właśnie dziś wieczór. Wy dwaj - zwrócił się do gapiących się żołnierzy - równie dobrze możecie zabrać ją do pałacu teraz... No już!

Zanim Irilya zdołała ochłonąć, dwóch odzianych w turbany szeregowców karnie ruszyło, by spełnić rozkaz Omara. Złapali kobietę pod ramiona i pociągnęli ku drzwiom. Zgromadzony w izbie tłum przyglądał się niezdecydowanie.

Wszyscy byli bez wątpienia pod wrażeniem pojedynku. Autorytet straszliwego kapitana został poparty stałą jego miecza.

Lecz Conan nie zamierzał dłużej zwlekać. Miotając przekleństwa, gwałtownie zaatakował zdrajcę. Miecz barbarzyńcy wśród nawałnicy ciosów dzwonił i szczekał, odbijał klingę kapitana, ciął i chłostał nieprzyjaciela dzikimi, morderczymi razami.

Turańczyk kontrolował ciosy zręcznie i z dużą wprawą. Wydawało się, że otacza go aura nietykalności, choć nieustannie narażony był na niebezpieczeństwo z coraz to innej strony. Elegancko robił wykroki i uniki, cofał się i oszczędzał siły, czekając na wyczerpanie energii rozwścieczonego napastnika. Fala każdego ataku ma swój punkt kulminacyjny, o czym wie każdy doświadczony szermierz, potem zaś opada i słabnie. Ten właśnie moment mądry wojownik potrafi wykorzystać.

Przesilenie nadeszło, gdy świszcząca klinga Conana zadała potężny cios z góry, którego Omar, uwięziony między stołem a ścianą, nie mógł uniknąć. Możliwe było jedynie brutalne sparowanie. Dwie klingi zderzyły się z impetem nad głowami walczących. Zwarły się w powietrzu, zgrzytając o siebie bezsilnie. Brak miejsca nie pozwalał na wyrefinowaną szermierkę ani na żadne eleganckie rozwiązania. Pozostawała brutalna siła... Po chwili Conan cofnął swój miecz i odwrócił się. Z brzucha Omara sterczała wysadzana klejnotami rękojeść sztyletu.

Gdy kapitan upadł, tłoczący się w sali żołnierze jakby nagle ożyli i rzucili się ku leżącemu. Conan spokojnie ruszył do drzwi. Zatrzymał się jednak w progu.

- Możecie zatrzymać sobie sztylet, który utkwiał w żebrach waszego dowódcy. Chciałem wyrwać nim kłamstwa z jego gardła, tak jak wydobywa się perły z małży! Ale teraz muszę się spieszyć, by udaremnić choć małą część wyrządzonych przez niego krzywd!

Conan dogonił Irilyę i jej strażników w opustoszałym zaułku niedaleko koszar. Urowadzona szamotała się, próbując odzyskać wolność. Trafiony kopniakiem, jeden z żołnierzy cofnął się gwałtownie i nadział na miecz Cymmerianina. Conan odtrącił wijące się w agonii ciało i przyskoczył do boku Irilyi. Dostrzegł, że drugi z porywaczy opada na kolana, usiłując wyrwać sztylet, który broniąca się kobieta wbiła mu w gardło.

Dygocąc ze zdenerwowania, zalana łzami Irilya chwyciła ramię Conana. Po długiej chwili uspokoiła się i odezwała zachrypniętym ze strachu głosem.

- Więc kapitan Omar nie żyje?

- Tak lub wkrótce umrze! To nie był prawdziwy przyjaciel twoich buntowników, raczej pachołek naszego wspólnego nieprzyjaciela.

- Być może. - Irilya westchnęła chrapliwie, pozwalając Conanowi odprowadzić się od cuchnących potem i krwią ciał.

- Wobec tylu intryg i zdrad, jakie wyszły na jaw tej nocy, jakże być pewnym czegokolwiek? Wszystko wydaje się takie nieprawdopodobne... Może chaos zacznie maleć jutro! Próbuję w to wierzyć. - Któż to wie? Nie jesteśmy bogami. - Conan pogładził kobietę po ramieniu. - Trudno nawet zgadnąć czy zwykły śmiertelnik zdolny jest coś tu zmienić.

Szli szybkim krokiem, trzymając się mrocznych, pustych zaułków. Wreszcie dotarli do placu, gdzie łagodnie pluskała fontanna. Ku zaskoczeniu Conana, Irilya puściła jego ramię, przestąpiła rzeźbione obrzeże i zaczęła brodzić w wysrebrzonej księżycem wodzie.

Odwrociwszy się do Cymmerianina, po raz pierwszy uśmiechnęła się czarująco.

-I znowu jesteśmy oboje zbrukani, tym razem krwią złoczyńców. - Rozpiąwszy suknię, pozwoliła jej zsunąć się z kremowych ramion do sięgającej po uda wody. - W ten sposób łatwiej ją uprać - powiedziała i wyciągnęła ku mężczyźnie białe ramiona. - Chodź, bohaterze, pozwól, że pomogę ci się obmyć!

- Co powiedziałaś, eunuchu? Kapitan Omar nie żyje? - Generał Abolhassan nerwowo krążył po swej komnacie, a czarna peleryna i turban rzucały cień na zdobiące ściany szkarłatne draperie. - To dziwne. Taki doskonały szermierz, pokonany przez dzikusa z dżungli! Nie spodziewałem się tego. - Potrząsnął głową ze zdumieniem, a klejnoty na jego turbanie rozbłysły w świetle lampy. - Śmierć kapitana jest dla nas pewną niedogodnością. Dopilnuj, by zastąpił go ktoś godny zaufania. - Generał obrócił się i utkwiał spojrzenie w swym gościu. - A co z barbarzyńcą, czy został ranny?

- Nie, panie. - Euranthus wyraźnie czuł się nieswojo w charakterze herolda złych wieści. - Moi szpiedzy donieśli, że ostatnio widziano go nagiego w publicznej fontannie. Zabawiał się z lady Irilya.

Twarz Abolhassana pociemniała. Próbując się opanować, generał zrobił jeszcze kilkanaście długich kroków, podzwaniając ostrogami.

- Rozumiem - odpowiedział wreszcie, z wymuszonym, nieprzyjemnym uśmiechem. - Być może to nawet błogosławieństwo, że moi wrogowie trzymają się razem, co ułatwia mi ich obserwację. Ale pamiętaj, gdy tylko dziewczyna zostanie sama, chcę by ją dostarczono do pałacu!

- Tak, generale. - Młody przywódca eunuchów starał się przyjąć pozycję „na baczność, ale jego dłonie nerwowo zaciskały się i rozwierały. - A barbarzyńca...? - Upewnij się jedynie, że przybędzie na ceremonię. Muszę opracować nowy plan działania.

Generał znów zaczął przechadzać się po komnacie. Wyglądał jak dowódca w przededniu swej największej bitwy. Wreszcie odezwał się ostro do Euranthusa.

- Jutro, gdy nasz imperator spełni swe głupie marzenia o stosownym uczczeniu bohatera, będę stał obok, by wręczyć barbarzyńcy złote świecidełko. Poprzednio uważałem, że taka rola jest poniżej mej godności, ale teraz dostrzegam całkiem nowe możliwości. Bez trudu można ugodzić sztyletem Yildiza, a potem krzyknąć, że zabójcą był Conan. Trzeba, oczywiście, zadźgać również i jego! Nikt się na tym nie pozna, a jeśli nawet, to nie ośmieli się mówić. W każdym razie najbliższe podium zgromadzą się i tak przede wszystkim nasi przyjaciele. - Podzwaniając ostrogami, Abolhassan zatrzymał się przed gościem. - No, Euranthusie, co o tym myślisz?

Smukły młodzieniec znieruchomiał, a oczy rozszerzyły mu się w obliczu ogromu przedsięwzięcia.

- Śmiały plan lordzie Abolhassanie! Wspaniały! Generał uśmiechnął się szeroko.

- Tak, eunuchu, i w dodatku bezbłędny! Tym sposobem nie dojdzie do rozruchów, nie będziemy uzależnieni od motłochu. To dla mnie najpewniejsza droga do tronu! Teraz musimy tylko dopracować szczegóły...

## XIX

### Nagroda za męstwo

Podczas godzin poprzedzających brzask, dzięki wysiłkom niewidocznej, zręcznej rzeszy niewolników i eunuchów, zawsze czekających w pogotowiu na rozkazy Najświetlejszego Imperatora, Dwór Protokołu przeszedł kolejne przeobrażenie. Usunięto z podłóg resztki jadła i ciała nieprzytomnych, oczyszczono zachlapaną mozaikę, wypolerowano złocenia. Transparenty i flagi zostały zawieszane wysoko pod rzeźbionym sklepieniem, a jedwabnymi poduszkami wyścielono krzesła i ławy dla wielkich Aghrapuru. Przez otwory wentylacyjne, wysokie, wąskie ostrołukowe okna i świetliki w kopule wpadło rześkie powietrze poranka i złocisty snop promieni słonecznych.

Najszacowniejsi obywatele stolicy spieszyli do pałacu, dręczeni obawą, że nie przybędą na czas. Niektórzy byli jeszcze na wpół przytomni po nocnej hulance, inni rozglądali się niezwykle uważnie, niepewni, czy dobrze zrobili przyjmując zaproszenie. Zaniepokojeni pogłoskami o planowanym buncie, wzięli ryzyko pojawiania się publicznie w pałacu przeciw niebezpieczeństwu, które może wyniknąć ze zbyt łatwej do zauważenia nieobecności na uroczystości, zarządzanej przez wszechwładnego imperatora Yildiza. Nie mogąc podjąć właściwej decyzji szli na kompromis i spóźniali się.

Goście napływali i zasiadali na starannie upatrzonych ławach lub poduszkach, kierując się w wyborze miejsc względami politycznymi, protokołem, chęcią zwrócenia na siebie uwagi imperatora, a wreszcie bliskością drzwi. Dostojnicy uroczysto wygładzali fałdy swych szat, konwersując przyciszonymi głosami i ignorując ludzi niższego stanu. W miarę upływu czasu służba zaczęła prześlizgiwać się z tacami napojów i jadła, którego widok przyprawiał o mdłości uczestników wczorajszej uczyty.

Jednak kilka przynajmniej osób powitało poczęstunek z entuzjazmem. W kącie sali w pobliżu podium panował nastrój zgoła zaprzeczający powszechnej atmosferze znudzonej rozlazłości. Siedział tam Conan z Irilyą. Jasnowłosa dama bez skrzepowania okazywała, w jak znacznej są zażyłości. Obydwoje zachowywali się

bezwstydnie i hałaśliwie. Wokół nich przemykali służący z tacami, gnąc się w ukłonach i uśmiechając uprzejmie na widok figli kochanków. Wkrótce pojawił się też eunuch Sempronius.

- Miło mi widzieć, że dobrze się bawicie na dworze, sierżancie.

Znaleźliście sobie uroczą... wielbicielkę. - Sempronius niepewnie spoglądał na nieprzystojną pozę Irilyi, która leżała, oplatając ramionami Cymmerianina i wsuwając nogę między jego uda. - Mam nadzieję, że doceniacie również powagę i dostojęstwo dzisiejszej uroczystości, kiedy to Aghrapur i jego nieśmiertelny imperator pragną uczcić bohatera.

- Tak, jasne, że doceniam - zagrział dobrodusznie Conan, pieszczotliwie burząc jasne loki kochanki. Irilya zaczęła mruczeć z zadowolenia. - Uroczystość zaiste godna bohatera. O takiej mogą tylko marzyć moi koledzy z oddziału! Dziękuję ci za wszystko z całego serca, rzezańcze! - Ułożył się wygodniej na niskiej kanapie, przyciągając bliżej Irilyę. - A teraz może byś pomyślał nad znalezieniem nam nowych tunik. Chcemy zdjąć te mokre łachy!

- Oczywiście! To powinno poprawić wasz wygląd. A poza tym nie będziecie musieli tak... tulić się dla rozgrzewki. Zaraz się za czymś stosownym rozejrzę! - Eunuch odwrócił się gwałtownie, a zdeorientowani służący rozpięchli się przed nim na prawo i lewo.

Gdy Sempronius odszedł, Irilya usiadła u boku Conana. Z tęsknym westchnieniem obserwowała, jak barbarzyńca opróżnia srebrny puchar kumysu i odstawia go na lakierowaną tacę do ponownego napełnienia.

- Wiesz, on ma rację - wymruczała kochankowi do ucha. - Chociaż rozsmakowaliśmy się w sobie i nie mogę oderwać od ciebie rąk - pogładziła go delikatnie pod zmiętymi fałdami tuniki - musimy pamiętać o powadze dnia i zagrożeniach, jakie zewsząd czyhają. - Omiotła chłodnym spojrzeniem salę, służących, wciąż napływających dworzan oraz gwardzistów stojących sztywno przy arkadach. - Doceniam twe dobre intencje. Chcesz ostrzec Yildiza, Conanie, choć prawdopodobnie i tak niczego to nie zmieni. W każdym razie nie możemy być zbyt pijani czy odurzeni miłością. Trzeba wykorzystać chwilę, by przynajmniej samemu się ocalić.

- Tak, Irilyo, masz rację. Od tej chwili będę pić tylko kwas. - Conan skinął ręką, odprowadzając jednego ze służących, a przywołując innego. Potem rozejrzał się wokół i roześmiał się. - Ale ostrzegam cię, nie mogę ręczyć za mego druha, Jumę, który właśnie nadchodzi. Sądząc po jego mętnym spojrzeniu, może potrzebować mocniejszego trunku.

Czarny wojownik właśnie zbliżał się do ich ławy. Prawdę powiedziawszy, ani trochę nie wyglądając na zmęczonego. Obydwoma rękami obejmował dworki, które poznał poprzedniego wieczoru. Obie dziewczyny wyglądały na wyraźnie zadowolone, wręcz promieniały. Jurna pomógł swym towarzyszkom przedostać się wśród poszturchiwań i chichotów do kącika koło podium. Irilya przyjęła całą trójkę z opanowanym spokojem i wszyscy usadowili się razem na giętej, wyściełanej jedwabiem sofie.

Przybycie drugiego z bohaterów przyciągnęło uwagę bezczynnych obserwatorów. Wreszcie pojawił się też Sempronius, przynosząc do przymiarki nowe stroje dla Conana i Irilyi. Z głośną wesołością, ukryci za jedwabną zasłoną trzymaną przez służących barbarzyńca i jasnowłosa dama przedziali się w świeże szaty. Potem całe towarzystwo rzuciło się ochoczo na jedzenie i picie, wymieniając się anegdotami i żartami.

- Powiedźże mi, Jumo - zapytała Irilya Kushitę - czy Conan ma kobietę w Venjipurze? - Niespodziewane pytanie wywołało chichoty u pozostałych dziewcząt i głucho milczenie obu mężczyzn.

- Żeby nie skłamać, pani - odpowiedział Jurna niemal bez zająknięcia - nie brak kobiet w Venjipurze! Dziewki obozowe, karczmarki, wieśniaczki, których pocałunki można mieć za mosiężny grot od strzały. Lecz Conan, jak ci wiadomo, jest niezwykle prawym człowiekiem i mężnym wojownikiem. Nie rozdrabnia się na takie...

- Tak, mam kobietę - przerwał Conan przyjacielowi, patrząc z wyrazem szczerości na Irilyę. - Nazywa się Sariya. Ocaliłem ją od śmierci podczas pogańskich obrzędów.

- Więc nadal ją chronisz? - Tak. Mieszkamy razem w bambusowej chacie. Sariya jest mądrą, zdolną dziewczyną, znacznie lepiej wykształconą niż ja... Lecz, szczerze mówiąc, czasami nie potrafię jej pojąć.

Spojrzenie Irilyi pełne było zrozumienia. Jasnowłosa dama milczała.

Jurna i jego towarzyszek spróbowali przerwać krępującą ciszę, zwracając uwagę na jakiś ruch w pobliżu podium.

Nie działo się jednak nic ważnego, zwykle zamieszanie towarzyszące przygotowaniom do dworskich ceremonii. Czterech niewolników wniosło w lektyce tropikalne drzewko z Venjipuru. Ustawiony się koło podwyższenia, zsunęli nań glinianą donicę. Drzewko pozostawione samo sobie wyglądało nieco dziwnie. Jego gruzłowaty pień i mięsiste, zakurzone liście wywoływały kilka niepochlebnych komentarzy.

Narastała jednak atmosfera oczekiwania, a wraz z nią zdawały się ponownie budzić dręczące zgromadzonych wątpliwości i obawy. Rozmowy w coraz bardziej zatłoczonej komnacie stały się przyciszone i poważne. Conan zwierzył się ze swych niepokojów Jurnie. Obaj mężczyźni skrycie sprawdzili przydatność bojową ceremonialnych szabl o złotych rękojeściach. Jednocześnie obserwowali przybycie znaczniejszych osobistości cesarskiego dworu. Irilya podawała imiona niektórych gości lub witała znajomych skinieniem dłoni.

Najgorszymi przeczuciami napełnił bohaterów uroczystości widok dwudziestoosobowego oddziału Honorowej Gwardii Cesarskiej prowadzonego przez generała Abolhassana. Żołnierze sformowali szereg. Ustawieni plecami do podium, tarasowali doń dojdzie. Generał, wysoki i robiący wrażenie w swym czarnym mundurze, nie pozdrowił towarzysztwa Conana. Nawet na nich nie spojrzął. Wiele natomiast czasu spędził, wędrując po sali, witając różne osobistości i szepcząc im do ucha.

Conan zauważył wiele symptomów niezbyt podnoszących na duchu. Twarze szlachty miały wyraz napięty i ostrożny. Eunuchowie, niemal dorównujący liczebnością gwardzistom, kręcili się wśród tłumu, uzbrojeni w długie sztylety. Znany już gościom Sempronius starał się ich unikać, co mogło mieć związek z rozmową, którą odbył z głównym eunuchem, Euranthusem. Cymmerianin już przedtem wyczuwał, że hałaśliwe deklaracje lojalności wobec imperatora brzmiały w ustach Semproniusa niezbyt szczerze. Teraz nagle rzezaniec przestał jakby dbać o pozory. Zupełnie też nie interesował się tym, co robią jego dwaj podopieczni. Nagle rozległy się fanfary, po których nastąpiła cisza, maćona jedynie szuraniem butów i grzechotem broni w pochwach. Przez wysokie środkowe drzwi wkroczył imperator Yildiz. Przydomek „Świetlisty” niezbyt pasował, zdaniem Conana, do sylwetki władcy. Krępy i wręcz otyły mężczyzna prezentował się dużo gorzej od generała Abolhassana i towarzyszącego mu wysokiego oficera w szarym turbanie. Za imperatorem kroczyły dwie uśmiechnięte, skąpo odziane hurysy, których wysoki wzrost i posągowe kształty niemal ośmieszały defekty urody cesarza. Yildiz wyraźnie nie dobierał swej świty z większą dozą wyobraźni.

Oficerowie, wstąpiwszy na podwyższenie, zajęli miejsce po obu bokach imperatora. Hurysy opadły na ziemię u jego stóp.

- Wierni poddani - zaczął Yildiz pompatycznym, lecz zaskakująco mocnym głosem. - Zarządziłem to święto i zażądałem waszej tu obecności dla uczczenia bohatera! Nie, nawet niejednego bohatera, całej ich armii - dzielnych, zdolnych synów oraz przybranych synów Turanu, którzy walczą za naszą sprawę w odległym Venjipurze i w wielu innych miejscach, broniąc naszych niespokojnych granic.

- Bez wątpienia są to bohaterowie, wszyscy razem i każdy z osobna. Niosą światło imperium do najciemniejszych zakątków ziemi. Pomnażają nasze zasoby, bo dzięki handlowi i daninom, Aghrapur staje się pierwszym pośród miast całego świata! Rozniecają brask cywilizacji pośród mroków barbarzyństwa. A ponad wszystko, pamiętajcie, prowadzą wojnę za naszą świętą wiarę. Dzięki tym ludziom prawdziwa religia ma szansę wyprzeć starożytnych i prymitywnych bożków, szatańskie obrzędy na ich cześć, o których wiele słyszeliście. Bohaterowie narażają się nawet na śmierć. Lecz pamiętajcie, jako rzecz nasz Prorok Tarim, śmierć ciała oznacza narodziny duszy dla sprawiedliwszego świata!

- Walczą dla Tarima i wielkości naszego imperium. Jednakże pośród mych poddanych są i tacy, którzy trapią się obciążeniami, jakie niesie ta święta wojna. Lamentują nad stratami, nad utratą ukochanych synów i braci, płaczą i złorzeczą przeciw nieubłaganej sile przeznaczenia. Tym wszystkim pragnę przypomnieć, posługując się znowu nieśmiertelnymi słowami Tarima, że człowiek jest oceniany również wedle wartości swych wrogów. Pytam więc was, jest że możliwy człowiek bez nieprzyjaciół lub imperium bez wojen? - Chciałbym, żeby ten dzień uczczenia bohaterów był źródłem odnowy narodowego ducha, świeżą inspiracją dla naszej sprawy. Mam nadzieję, że moi poddani, podporządkowawszy się spokojnie



przeznaczeniu, mniej zaczną wymagać od państwa, a więcej od siebie. A teraz - na nieznaczące skinienie cesarskiej dłoni pospieszył sługa, niosący złoty puchar na złotej tacy - do tych z was, którzy mają kielichy pod ręką, kierując toast! - W geście pozdrowienia wznosił puchar w kierunku tłumu. - Za bohatera Conana i jego druha Jurne! - Yildiz obrócił się w stronę cudzoziemców - Za wszystkich bohaterów, którzy służą naszemu imperium, w Venjipurze i innych odległych krainach!

Władca udał, że pije, pamiętając o ryzyku trucizny.

- A teraz pora na obiad. - Rozejrzawszy się po wzorzystym nieskazitelnie czystym parkiecie podwyższenia, Yildiz szybko uznał donicę z egzotycznym drzewkiem za świetny pretekst do pozbycia się podejrzanej zawartości kielicha. - Ofiara dla naszego mocarnego boga oraz dla ziemi Venjipuru, która wypiaستowała tę roślinę, ziemi stanowiącej część naszego kraju. Chwała Tarimowi! - Cesarz opróżnił puchar do donicy, po czym odrzucił go na bok.

Toast został spełniony, choć zgromadzeni dyskretnie pominęli ofiarę dla bogów, poza nielicznymi, którzy niechcący rozbryzgali napoje, wznosząc w górę kielichy. Conan dosłyszał imię swoje i Jurny powtarzane przez dziesiątki ust. Ogólnie rzecz biorąc, reakcja tłumu na przemowę imperatora świadczyła o sympatii. Yildiz wyraźnie odniósł zwycięstwo nad większością swych słuchaczy i uśmierzył obawy najpłochliwszych przed zamieszkami społecznymi. W komentarzach wymienianych przez najbliższej stojących, Conan po raz pierwszy wyczuł nutę akceptacji i ulgi.

- A teraz - powiedział Jego Światłość - niech bohaterowie podejda, byśmy mogli uczcić ich osobiście... - Na znak Semproniusa, Conan i Juma wstali i ruszyli ku podium. - Dobry generał Abolhassan niesie oto oznaki naszej życzliwości. Ale cóż to, cud?

Conan obserwował nachmurzonego generała w połyskującym złotym szamerunku mundurze. Abolhassan trzymał przed sobą obszytą frędzlami poduszkę, do której przypięta była para wspaniałych klejnotów. Jednak zdumiony głos Yildiza odwrócił uwagę Cymmerianina. Na podwyższeniu działy się istotnie niezwykle rzeczy. Egzotyczne drzewko wiło się i dygotało, a jego gałęzie i błyszczące liście poruszały się z impetem, jakiego nie mógłby wywołać żaden ziemski wiatr. Wydawało się, że roślina cierpi z powodu nieoczekiwanych zmian. Drzewko zmieniało się w olbrzyma. W czasie, jaki zajęło Conanowi otwarcie ust ze zdziwienia, niemal podwoiło ono swą wysokość i szerokość, odpychając i usuwając Yildiza i jego konkubiny. Rozrastało się zachłannie w promieniach słońca, wpadających snopami przez okna i świetliki w kopule.

Proces rośnięcia wyglądał przerażająco naturalnie, jeśli pominąć jego niezwykłą szybkość. Conan wpatrywał się osłupiały w gałęzie prace przed siebie jak ślepe, macające drogę robaki, oraz młode, zielone listowie, eksplodujące ze świeżych pąków. Jednak nie był to rozwój chaotyczny. Znieruchomiały w pół kroku Cymmerianin zaobserwował, że długie pędy odrastały od grubiejących ciągle konarów, rozcapierzając się niczym pazerne palce. Najwyraźniej gałęzie szykowały się do schwywania w niespodziewany uścisk imperatora Yildiza i jednej z jego przestraszonych konkubin. Nastąpiło to niewiarygodnie szybko, nim przerażony monarcha zdążył się cofnąć. Druga hurysa rzuciła się płasko na podłogę. Wijąc się i pełzając, wykorzystując całą swą sprawność haremowej tancerki, zdołała uniknąć pędów, które macały wokół, by schwytać ją we wnyki.

Tymczasem Yildiz i jego konkubina zostali błyskawicznie uniesieni z podłogi i zawisli bezradnie wśród gałęzi, szamocząc się w uścisku drzewa. Wężowym ruchem wysunęły się nowe pędy, by otoczyć ich szyje i twarze. Makabryczne drzewo w dalszym ciągu rozrastało się we wszystkie strony, rozszerzając swój zasięg nawet szybciej niż poprzednio, ale tym razem w kierunku zgromadzonych widzów.

Przerażona tancerka z haremu przeczołgała się pod nogami Conana, lecz po chwili poderwała się z ziemi i rzuciła boso do ucieczki. W sekundę później gwardziści stojący przed podwyższeniem zostali zaatakowani przez gałęzie. Zapomniałszy o rozkazach i przepisach, dobyli broni, by walczyć o przeżycie. Jednocześnie Abolhassan cisnął na bok obszywaną poduszkę i sięgnął do szabli. Wściekle uderzył na rozrastające się konary. Conan, nie zastanawiając się nad względami politycznymi, ruszył z dobytym mieczem, usiłując przedrzeć się ku z wolna dławionym ofiarom.

Zdołał wykonać ledwie dwa kroki, gdy został wciągnięty do walki. Zachłanne pędy, wijąc się jak węże, spadły na niego z wciąż potężniejącej korony

drzewa. Uderzył na nie z wprawą znającego dżunglę wyjadacza, tnąc mieczem o złotej rękojeści jak wielką maczetą. Jednak bezgłośnie, zdradliwe macki zaatakowały również od tyłu, owijając Cymmerianinowi szyję i ramiona gwałtownym, liściastym uściskiem. Chwył był zaskakująco mocny i Conan wkrótce poczuł, że zasięg jego miecza staje się niebezpiecznie ograniczony. Bezowocnie zmagając się z lepkiem listowiem, przerażony obserwował, jak giętkie pnącza nieustępliwie oplatają mu dźwierżące miecz ramię, a potem szepiają się z nowymi pędami, budując wokół walczącego gęstą sieć.

Nagle kątem oka dostrzegł błysk klingi, a jego uszu dobiegły ciężkie odgłosy uderzeń, sapanie i przekleństwa.

- Niech szlag trafi to zielsko, szatańską sztuczkę Ito z przeklętej dzikiej dżungli! - wydyszał mu w ucho Jurna.

Czując, że ciasne więzy na jego ciele nagle się obluźwiają, Conan wyszarpnął się z sieci pędów, dziękując Kushicie urwanymi słowami.

Ku swemu zaskoczeniu, ujrzał obok niego Irilyę. Jasnowłosa dama wraz z Jurną cięła ciężkie konary. Służyła jej do tego zakończona sierpowatym ostrzem pika, którą Irilya musiała zabrać jednemu z padłych gwardzistów.

- Kobieto, co ty tu robisz? - krzyknął Conan, równocześnie unosząc miecz, by odrąbać nowy pęd diabelskiego drzewa.

- Co? Jak to? Ratuję cię, ty niewdzięczny dzikusie! - Pika cięła niebezpiecznie blisko twarzy Cymmerianina. - A gdzie niby miałabym być?

- Powinnaś... eee... - Conan chciał polecić kochance, by usunęła się w jakiś bezpieczny kąt, ale rzut oka na salę przekonał go, że takie miejsce nie istnieje.

Wszędzie wśród oszalałego tłumu przedzierającego się ku arkadom pełzały i wiły się szatańskie pędy. Mizerne drzewko rozrosło się niesamowicie, wypełniając cały Dwór Protokołu. Trudno było zgadnąć, jak wysoko dotarło pod rozległą kopułę, gdyż jedyną wskazówką była tu coraz mniejsza ilość światła przedostającego się między gałęziami. Wielu gości, szczególnie zajmujący uprzywilejowane miejsca przy samym podwyższeniu, zwisało z pokrzywionych konarów drzewa. Niektórzy byli już martwi, inni jeszcze wściekle walczyli dusząc się powoli. Owinięci pnączami, przypominali miotające się w pajęczynie owady albo dziwaczne żywe owoce.

Czy jednak śmierć przez zadławienie była gorsza od stratowania przy drzwiach, trudno było Conanowi ocenić. Tnąc niezmordowanie wciąż odrastające pędy, zawołał więc do Irilyi i Jurny: - Chodźcie! Trzymajcie się razem i idźcie za mną! Powalimy to czarodziejskie drzewo jak spróchniały pniak! Przedsięwzięcie nie zapowiadało się zbyt obiecująco, gdyż pień drzewa wyrósł już proporcjonalnie do korony. Donica już dawno rozpadła się na kawałki. Teraz masywne konary wystrzeliwały promieniście z labiryntu nad szorstkim brzuchatym balem. Grube, pełne narośli korzenie wcisnęły się między płyty posadzki, jak szpony ściskające fundamenty pałacu. Żłobiły w krąg bruzdy, poświadczające ich kręte szlaki pod podłogą. Twarde jak mocno zawiązane liny, zdawały się czerpać życie z kamiennego podłoża.

- No, dobrze. My, wojownicy z dżungli, przynajmniej lepiej nadajemy się do karczowania niż oddziały straży miejskiej czy walczący na pustyni! - Mówiąc to, Conan osłaniał plecy przyjaciół, a oni cięli lepkie rozłogi omotujące Yildiza i jego hurysę. Wkrótce posiniałe twarze dwojga nieszczęśników wynurzyły się spomiędzy liści. Ofiary desperacko próbowały schwycić oddech.

Zostawiwszy uwolnionych, Conan i Jurna zaatakowali pień drzewa. Miarowo walili ostrymi toporami, upuszczonymi przez nieszczęsnych strażników. Uderzali na zmianę w żwawym tempie, przedzierając się przez sprężystą korę i soczyste zielone łyko, a potem dalej - w głąb wilgotnego, bladego mięszu. W milczącym porozumieniu skoncentrowali się na najszerszej części pnia - dziwnie obrzmiałym wyrzuczeniu. Energicznymi ciosami wyrąbawali grube kawały drewna, które przyskały na wszystkie strony. Irilyi powierzyli uporanie się ze zdradzieckimi, pełzającymi pędami. Kobieta cięła je ostrzem piki z desperacką energią.

- Uwóżaj, strzeż się korzeni! - Pomiędzy uderzeniami topora dosłyszał Conan schrypnięty głos Jurny.

Spojrzał w dół. Rzeczywiście, drzewo broniąc się wypuszczało spod porozbijanych płyt posadzki blade, kosmate wasy. Rosły one zatrważająco szybko. Po chwili groźnie już sięgały węzowymi splotami powyżej łydek mężczyzn. Jeszcze Conan nie zdążył cofnąć nogi, gdy Irilya z furją zaczęła rąbać podstępne odrosty niebezpiecznie blisko jego stóp. Ryzykując zranienie piki, pozostał na miejscu i

jeszcze mocniej przyłożył się do ciosu, rąbiąc rytmicznie wielki pień, którego bulwiasta narośl odpowiadała teraz głucho na każde uderzenie.

- Na Croma, puste w środku! - zdziwił się, odrzucając poczerniałe szczapy z samego rdzenia pnia. - Fee, czujecie ten smród! Czyżby jużgniło?

- Popatrz, w środku jest skarb! - Klękając przed rozdartą dziuplą, Jurna wskazała klejnoty błyskające z ciemności wnętrza, jak mrugające oczy. - Nie, nie sięgaj ręką! - Irilya odepchnawszy dłoń Kushity, wetknęła zakrzywione ostrze piki do tajemniczej dziury. Po chwili wyciągnęła na zewnątrz świecąca bryłę.

- O, to ludzka czaszka, grubo pokryta srebrem i klejnotami! - stwierdził Jurna i w tej samej chwili gwałtownie cofnął rękę, gdyż topór Conana uderzył w znalezisko. Cios rozbił szatański ornament. Wokół rozleciały się kawałki srebra, klejnotów i kości.

- To godło Mojurny, przywódcy hwongijskich buntowników - wyjaśnił Cymmerianin, widząc pytające spojrzenia pozostałych. Uwolnił łydki z korzeni, które nagle stały się kruche i łamliwe. - Powinienem był się domyślić, że przeklęte drzewko zostało wysłane, by wyrzucić zemstę na imperatorze Yildizie i całym jego dworze!

Słowa Conana przypomniały jego przyjaciółom o nieszczęsnym władcy. Zwisał on ciągle jeszcze wraz z nieszczęsną hurysą wśród gałęzi drzewa. Obydwoje byli na wpół uduszeni, jednak żyli. Jurna wyciągnął sztylet i wziął się za uwalnianie ofiar.

Wraz z rozbiciem wysadzanej klejnotami czaszki zdawała się przemijać piekielna żywotność czarodziejskiej rośliny. Conan i Irilya widzieli usychające na ich oczach i opadające liście, które zaścielały posadzkę jak gruby dywan. Gałęzie we wszystkich kątach komnaty trzeszczały i opuszczały się, obciążone swymi ofiarami. Ci, którzy ocaleli przed pogromem, umknęli z komnaty już dawno temu. Dla większości schwytych w sidła gałęzi śmierć drzewa przyszła zbyt późno.

Conan i Irilya obeszli wielką salę, odcinając nielicznych żywych szczęśliwców - kapitana straży, którego ocalił hełm i napierśnik, kurtyzanę uratowaną dzięki ciężkiej metalowej obręczy wokół szyi. Irilya wskazywała na purpurowe twarze uduszonych. Znaleźli martwego Semproniusa i Euranthusa, fanatycznego najwyższego kapłana, Tammuraza, młodego strojnisia, Philandra, i wielu innych znajomych. Generał Abolhassan, omotany splotami szatańskiego drzewa zwisał głową w dół, a wystający z jego ust język był tak poczerniały, jak jedwab rozwiniętego turbanu.

W końcu Conan ze swą towarzyszką wrócili do imperatora, który oddychał już miarowo, dochodząc do siebie pod czułą opieką Jurny. Spojrzenie przekrwionych oczu stawało się coraz bardziej przytomne. Yildiz odezwał się zachrypniętym głosem.

- Co za makabra! Cała nasza ceremonia zepsuta... - powiódł wokół omdlewającym wzrokiem i przekrzywił na ramię podłysiałą głowę. - A co z moją turkaweczką, czy wszystko w porządku? - Jego Światłość uważnie przyjrzał się bujnym, ciężko falującym piersiom swej hurysy. - Dzięki Tarimowi, żyje! Ale obawiam się, że wielu nie miało tyle szczęścia.

- Większość dworzan, panie. - Irilya nisko się pokłoniła. Conan przyklęknął obok niej. Niepewny intencji swej przyjaciółki, czujnie obserwował, czy jej dłoń nie sięgnie po sztylet. - To dzień wielkiego smutku dla naszego miasta - ciągnęła. Ku swemu zaskoczeniu, Conan spostrzegł błysk łez w pięknych oczach. - Ale najgorsze zagrożenie minęło. Jakoś zdołamy się podnieść, panie, a twoje panowanie będzie trwać w pokoju, jeśli tylko Wasza Światłość zechce zakończyć zamorskie kampanie i skupi się na naprawie ojczystego domu.

- Tak, imperatorze - dodał burkliwie Conan. - Pomiędzy zmarłymi są zdrajcy, którzy intrygowali przeciw tobie. Teraz możesz od nowa stworzyć dwór. A co do wojny w Venjipurze... Cóż, wciąż można ją wygrać, ale trzeba innego dowództwa. Obecna władza na tym terenie przeżarta jest korupcją...

Tak jak wcześniej Conan się obawiał dłoń Irilyi pomknęła ku sztyletowi. Cymmerianin złapał kobietę za nadgarstek i ze zdumieniem stwierdził, że broń i pełne nienawiści spojrzenie były skierowane nie przeciw Yildizowi, a przeciw niemu. Pełne napięcia milczenie zostało przerwane nagle bolesnym jękiem.

- Venjipur! Nie mówcie mi o Venjipurze - błagał imperator, wskazując dłonią ogromne, więdnące drzewo śmierci. - Czyż ta straszliwa zagłada nie była skutkiem jeszcze jednej klątwy ich czarownika, ciosem wymierzonym we mnie w samym sercu mego imperium? Venjipur! Och, jakże żałuję, że kiedykolwiek

usłyszałem tę nieszczęsną nazwę i przeklinam własną żądzę łupów, która doprowadziła do tej kampanii! Ustępuję! Słyszycie, bogowie, już nie chcę Venjipuru!

Ocalali poddani Yildiza klęczeli, zmieszani spoglądając na siebie i wsłuchując się w przysięgi władcy. Wówczas przy drzwiach rozległ się tupot i krzyki. Mieszkańcy Aghrapuru pokonali strach i odważyli się powrócić do pałacu.

XX

Powrót do Venjipuru

- Wiatr od zatoki niesie dym. - Siedząc obok Conana w kołyszącym się siedzisku, Jurna potwierdził przypuszczenia przyjaciela. Od pewnego czasu było wyraźnie czuć silną woń. - To nie sezon na wypalanie pól ryżowych. Coś się dzieje w okolicach delty rzeki. Spójrz, nawet słoń się niepokoi!

Kushita wskazał brodą trąbę olbrzyma, która wzniesiona w górę przypominała tańczącą kobrę. Zwierzę węszyło niespokojnie. Słoń Conana i Jurna podążał na czele pochodu. Nie musiał więc wdychać kurzu i odoru swych czterech współbraci oraz pięciu setek piechoty pogranicznej, maszerującej zaraz za nimi.

Conan nie odpowiedział przyjacielowi, tylko wciągnął głęboko powietrze i uważnie wpatrzył się w zamgloną przestrzeń pól uprawnych i odległej dżungli. Powracał do kraju, którego śmiertelnie nienawidził, lecz jednocześnie tęsknił za nim w minionych tygodniach. Cymmerianin sam nie pojmował swego wzruszenia. Z pewnością tęsknił za Sariya, ale to co teraz czuł nie sprowadzało się do miłości czy pożądania.

- Ha! - zagadnął znów Jurna. - Wygląda na to, że nawet ja nie doceniałem zagrożeń związanych z odgrywaniem bohatera. A teraz zostaliśmy w dodatku obciążeni rolą mediatorów. W jaki sposób mamy wyplatać z chaosu wojny legiony cesarskie, kiedy dysponujemy zaledwie symbolicznymi siłami? Czy myślisz, że stary Mojurna i jego hwongijscy współplemieńcy poczują przypływ miłosierdzia i pozwolą nam odejść w spokoju?

Kushita, wyrozumiale traktując zadumę Conana, roześmiał się i kontynuował swój monolog.

- Ale z drugiej strony, pominawszy te wszystkie trudności, któż mógłby odrzucić propozycję Yildiza? A raczej jego łaskę - dla ciebie awans do rangi kapitana, dla nas obu gwarancja stanowisk w Cesarskiej Gwardii Honorowej. Kiedy wrócimy i jeśli wrócimy! Sądzę, że to nie będzie koniec twoich sukcesów w służbie Jego Światłości, o ile nie zrobisz nic, by zepsuć sobie dobrą opinię!

Zwróciwszy spojrzenie na rozmarzonego Conana, Kushita zmarszczył brwi, z lekka poirytowany.

- Wyznam, że jestem trochę zazdrosny. Dlaczegoś wybrał do awansu ciebie, młodszego z nas dwu, kiedy to ja odciąłem go z szatańskiego drzewa i niańczyłem aż powrócił do życia? - Jurna potrząsnął głową z rezygnacją. - Wygląda na to, że jesteś jego ulubieńcem, Conanie. Witaj w świecie uprzywilejowanych i niech ci się uda tam przeżyć! - Westchnął. - Ale nieważne. Kiedy dostarczymy cesarską proklamację i powrócimy do Aghrapuru, obaj będziemy wieść miłe i dostatnie życie.

Jurna gawędził dobrodusznie, gładząc czule ozdobną tuleję zawierającą dekret Yildiza w sprawie przerwania działań wojennych i wycofania z Venjipuru turańskich wojsk. Conan, zwróciwszy się w stronę przyjaciela, wreszcie otworzył usta, by się odezwać. Ale właśnie wtedy dobiegł ich krzyk kornaka.

Przypominające skrzydła nietoperza słoniowe uszy zatrzepotały ostrzegawczo. Przed sobą dojrzeliby zbliżających się drogą jeźdźców.

Było ich może ze dwie setki. Żołnierze w turańskich mundurach, złachmanionych i brudnych, dosiadali zabłoconych wierzchowców. Zatrzymali się na widok kolumny piechoty, lecz nie okazywali radości ze spotkania posiłków. Conan rozpoznał dowódcę oddziału.

- Witaj, Shahdibie, jakie nowiny?

- Najgorsze, Conanie... kapitanie Conanie, jak widzę - poprawił się jeździec, patrząc z szacunkiem na ozdobiony złotym medalem turban dawnego towarzysza. - Buntownicy nie składają broni, a jest ich więcej niż kiedykolwiek przedtem. Miasto Venjipur padło po jednym dniu! Mniejsze placówki zostały zmiecione, forty są oblegane. Wczoraj uciekliśmy przed upadkiem Karapuru...

- A Sikander? - zapytał natychmiast Cymmerianin.

- Sikander walczy od wielu dni. Jeśli dotąd nie padł to cud. W każdym razie, długo się nie utrzyma. - Oficer spuścił głowę i po - trzasnął nią, wyraźnie unikając spojrzenia Conana. - Właśnie w tamtym rejonie buntownicy okazali się najaktywniejsi. Nawet nie próbowaliśmy iść z odsieczą...

- Więc pójdziecie teraz - odparł mu Conan, dając gestem znak piechocie. - Udajemy się właśnie do Fortu Sikander.

Kolumna ruszyła naprzód i konni, znużeni i niechętni, zawrócili wierzchowce, by jechać na jej czele.

- A niech to spalą gromy Otumbe! - mruknął ponuro Juma. - Od kiedy wyjechaliśmy, sprawy przybrały marny obrót! Zgadza się z tobą. Nie mamy innego wyboru, jak tylko spróbować szczęścia w paszczy tygrysa i liczyć, że uda nam się ocalić garstkę przyjaciół nim zostaną przeżuci i połknięci. Mam nadzieję, że buntownicy zaakceptują rozejm. Pokój jest jedyną naszą nadzieją.

- Być może. - Conan ponownie usiadł po turecku, obserwując otwierającą się przed nimi zadymioną dolinę. - Z drugiej strony, nasze siły są zaprawione w boju i mogą powiększać się o niedobitków z innych oddziałów. Powstanie triumfuje jednego dnia, a pada następnego.

- Conanie, chyba nie ośmielisz się sprzeciwić imperatorowi? - Juma zerknął na dłoń przyjaciela, dzierżącą tuleję ze zwojem zawierającym cesarski dekret. W potężnej garści barbarzyńcy błyszcząca spiżowymi zdobieniami tuba przypominała królewskie berło.

- Czyżby Yildiz mógł okazać niezadowolenie, gdyby Venjipur został mu podany jak na półmisku? - Oczy Conana, srogie i dzikie, rzuciły druhowi lodowate spojrzenie. - Ta wojna od początku była marnie prowadzona. Ty i ja możemy to naprawić. A co do buntowników... Jeśli skrzywdzili Sariyę, to nie skłaniałbym się zbyt do proponowania im pokoju!

Na drodze do Sikander nie napotkali zbrojnego oporu. Miejscami błotnisty szlak zapełniał się uchodźcami. Pojawiały się też większe grupy Venji, którzy wyglądali na ludzi zdecydowanych na wszystko. Nawet jeśli były to oddziały buntowników, ustępowały spokojnie z drogi wojskom Conana i nie dopuszczały się żadnych akcji zaczepnych. Juma i Conan zdawali sobie sprawę, że mimo dużej liczebności turańskich posiłków, pomylenie powstańców z przyjaznymi wieśniakami mogłoby mieć ponure skutki.

Wreszcie na horyzoncie zamajaczyła pokierszowana palisada Fortu Sikander. Cymmerianin poczuł ucisk w sercu, gdy mijali miejsce, gdzie kiedyś wznosiła się jego chata. Teraz pozostało po niej jedynie rumowisko zwęglonych bali. Osada za murami fortu została spalona, a jej gruzy przekształcono w prowizoryczne szańce. Conan dał rozkaz ludziom, by się zatrzymali, a on sam i Jurna pojechali ku głównej bramie. Wrota znaleźli uchylone. W ich pobliżu kręciło się kilku tubylców i pozbawionych broni turańskich żołnierzy.

Conan rozpoznał niektórych z nich. Dostrzegł jednouchego Orvada i paru innych swych dawnych towarzyszy, którzy pozdrawiali go ostrożnymi uśmiechami i skinieniami głowy. Zauważył jednak, że twarze wszystkich wartowników miały rysy typowe dla Venji. Żadna nie wzbudzała zaufania. Zatrzymawszy słońca, Cymmerianin zsunął się po jego boku na ziemię.

- Murad, co tu się wydarzyło? Więc Fort Sikander padł? - zagadnął nadchodzącego właśnie siwowłosego oficera.

Szare oczy kapitana odpowiedziały Conanowi roztargnionym spojrzeniem. - Zapytaj swoją przyjaciółkę! - stwierdził, wzruszając ramionami.

- Dlaczego? Czy ona jest gdzieś tutaj? - Conan pytająco zerknął na Jurnę, który stał u jego boku, wyraźnie również zagubiony. Kiedy obaj spojrzeli w górę, skrzydła bramy fortu rozwarły się przed nimi do końca. Na dziedzińcu przed drewnianym ołtarzem, zarzuconym stertą liści palmowych i kwiatów, stała grupa jaskrawo odzianych Venji - wodzów, kapłanów, hwongijskich wojowników i niewiast. Otaczali oni niezwykle wyglądającą kobietę.

Była wyższa niż ktokolwiek z pozostałych, owinięta w białą szatę, którą przepasała nabijaną ćwiekami skórą węża. Jaskrawe kwiaty dżungli zdobiły jej włosy, a na szyi zwisały liczne amulety. Jedna z upierścienionych dłoni kobiety zaciskała się na wysokiej tycce, zakończony znajomym znakiem - czaszką leśnej świni, której ostre kły oplatały kwitnące pęcza. Rubinowe szpile błyszcząły w oczodołach, skrzyły się małe kawałki srebra i kamieni szlachetnych. Conan rozpoznał talizman, który niegdyś zdobił szczyt dachu jego chaty. Trzeba było tylko podnieść wzrok, by spojrzeć w twarz czarownicy.

- Sariya, dziewczyno, to ty! Czy jesteś jeńcem? Nieważne, widzę że nie traktowali cię źle! - Conan ruszył naprzód, rozkładając ramiona, by ją objąć. - Ciepło mi na sercu, gdy widzę cię tutaj.

- Nie, nie dotykaj mnie - odrzekła kobieta królewskim tonem. Nie odrywała oczu od przybysza, a dwie groźnie wyglądające dziewczyny stanęły u jej boku. - Jestem teraz kapłanką. Nie należę już do ciebie, Conanie z Hyborii! Dla twojej wiedzy, Venjipur ma tylko jedną kapłankę! Czas, gdy byliśmy razem, bezpowrotnie przeminął. - Sariya, co...? - Conan zatrzymał się, zaniemówiwszy z wrażenia. Osłupiały przyglądał się sztywnym twarzom i uroczystym szatom zebranych. Nagle jego dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza. - Jeśli oni do czegoś cię zmuszają, Sariyo...! Czy to jakiś nowy urok Mojurny?

- Mojurna umarła, kapitanie. - Jej zimny ton zamknął mu usta. - Kiedy straciła moc, nie mogła już dłużej żyć. Bo Mojurna była kobietą, jak się dowiedziałeś.

Uniósłszy wolną rękę, wskazała na ukwiecony ołtarz. Conan pojął, że był to stos pogrzebowy. Pomiędzy liśćmi i kwiatami, dostrzegł zasuszoną twarz starej czarownicy.

- A teraz - dokończyła Sariya - nadszedł czas, bym zajęła jej miejsce... Do tej roli byłam przygotowywana przez...

- Sariyo, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem, Mojurna próbowała cię zabić! - Conan przerwał jej ze złością, wskazując na stos pogrzebowy. - A może raczej złożyć z ciebie ofiarę nieśmiertelnemu demonowi! Ta podła stara wiedźma...

- Tak, to prawda. Chciała złamać odwieczne prawo. - Głos Sariyi dźwięczał pewnie. Teraz mówiła już nie tyle do Conana, co do pozostałych słuchaczy. - Bo Mojurna była surową kapłanką o silnej woli, pozbawioną litości, gdy dowodziła swymi wyznawcami w bitwie. Być może sądziła, że ta wojna nigdy się nie skończy albo że ja byłabym zbyt słaba, by ją wygrać. A ja, ze swej strony, wciąż mam nadzieję, że pewnego dnia nastanie tu pokój. - Błyszczące oczy o kształcie migdałów spoglądały chłodno na zebranych. - Próbowała skraść mi młodość i z pomocą bogini Sigtony przedłużyć własny żywot. Jeśli była fanatyczką, nawet szaloną na skutek straszliwego brzemia, jakie dźwigała, ja muszę jej wybaczyć. Przecież to moja matka.

Ostatnie słowa Sariyi omal nie przyprawiły Conana o utratę przytomności. Zachwiał się, jakby dostał cios młotkiem w głowę. Jurna objął przyjaciela ramieniem, aby go podtrzymać. Tymczasem kapłanka mówiła dalej ze śmiertelną powagą.

- Co by nie myśleć o okrucieństwie jej metod, doprowadziły nas one niemal do zwycięstwa, choć nikt nie wie, co może przynieść jutro. Mój sposób był inny, lecz został dobrany z równą dbałością o dobro naszego kraju. Sprzeciwiłam się Mojurnie, stworzyłam własną frakcję pomiędzy wiernymi i rozprzestrzeniałam moje poglądy. Nikt z Venji, poza mną, nie mógł stawiać oporu magii mej matki lub osłaniać heretyków. Dla własnego bezpieczeństwa w tych gwałtownych czasach przylgnęłam do tego, kto był niepokonany w bitwie. Do prawdziwego bohatera. Doradzałam mu, leczyłam jego rany i wzmacniałam go. - Po raz pierwszy w spokojnym głosie Sariyi zadźwięczała nutka wzruszenia. - Razem poznawaliśmy uroki życia domowego. I drogi miłości. Ale te dni minęły.

Zapadła długa przeraźliwa cisza. W końcu Conan zdołał ze ściśniętego gardła wydobyć głos.

- Magia Mojurny była dostatecznie mocna, Sariyo. Yildiz prosi o pokój.

Sięgnawszy do pasa, wyciągnął tuleję zawierającą pergamin z cesarskim dekretem i wręczył ją Sariyi.

- Przyznaję, że nie jest to dla mnie niespodzianką - odpowiedziała kapłanka. Magia Venji zawsze była mocniejsza od płytkiej wiary Turanu. - Skinęła na jednego ze swych wodzów, który w jej imieniu przyjął dokument. - Wezwę do zaprzestania walk i puszcę jeńców wolno. To umniejszy cierpienia, ale ich nie zakończy. Ci z moich współbraci, którzy służyli waszej sprawie, będą musieli podjąć decyzję, czy odejdą z wami, czy pozostaną. Pokój jest możliwy, o ile żołnierze turańscy posłuchają cię i odejdą za tobą z Venjipuru. Bezpowrotnie.

- Nie marzą o niczym innym. - Conan nie odstępował, patrząc na Sariyę. - A przynajmniej węższość z nich. - Szukał jej wzroku. - Jeśli chodzi o mnie, to wciąż jestem ciekaw, czy naprawdę życzył sobie takiego losu.

- Nie obawiaj się, Conanie. - Sariya spojrzała na dawnego kochanka z całkowitym opanowaniem - Niczego bardziej nie pragnę, jak wypełnić moje przeznaczenie. Jestem Kapłanką. Bądź pewien, że na mnie ród czarownic nie

wygaśnie. - Oparła się na ciężkim, zakończonym czaszką draгу i skinęła smukłą dłonią ku pokonanym Turańczykom. - Dla ciebie i twoich pobratymców nie ma tu dłużej miejsca.

- A więc dobrze, Sariyo. Bywaj! - Uniósłszy rękę do jej policzka, Conan po raz ostatni pieszczotliwie dotknął ciemnych włosów i gładkiej, złocistej skóry. Potem odwrócił się, by przemówić do swych żołnierzy czekających przed bramą. Jego słowa, choć urywane i brzmiące chrapliwie, niosły nadzieję na rychły powrót do kraju. W oddziałach zaczęła narastać radość. Wokół rozległy się entuzjastyczne okrzyki.

- Poślijcie wieści do wszystkich walczących placówek: turańskie siły ekspedycyjne mają dołączyć do oddziałów Conana. Potem skierujemy się na północ, chłopcy, do domu!